

Instytut Wydawniczy
Wiedza i Życie

RODZINA

rolska



**MIESIĘCZNIK
LUSTROWANY
WARSZAWA**

ROK XII MARZEC 1938

Cena egz. 50 gr.

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

ZWIASTOWANIE

W ciszę wiejską Nazaretu wsnuwa się tajemnica, której wielkość opowiadają głośno wszystkie wieki. Przed chwilą z wieżycy parafialnego kościoła śpiewał o niej dzwon, że „Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi... a Słowo Ciałem się stało”...

Z jednym tylko momentem dziejów ludzkich da się porównać Zwiastowanie: z dniem i godziną stworzenia pierwszego człowieka. I tu i tam zaczyna się coś niesłychanie nowego na kuli ziemskiej. I tu i tam wytryskają dwa potężne, pierwotne źródła życia.

W raju tryska źródło życia cielesnego, w Nazarecie wytrysnął źródło życia Bożego dla świata. Zasięg nurtów, co z obu tych źródeł biją, jest nieskończony, a wielkość ich i głębia jest i pozostanie niedocieczoną.

W całej prawdzie swej i ogromie znaczenia nie powtórzy się stworzenie pierwszego człowieka. Rodzą się stale ludzie nowi, zapewne. Każda rodzina, świeżo założona, witać będzie z radością swych pierwotnych. Ale w żadnej już rodzinie nie przyjdzie na świat „pierwszy człowiek”. Raz to źródło wytrysło przed wiekami, a teraz tylko rozlewa się z pokolenia w pokolenie. Wbrew marzeniom i deklamacjom różnych, zawieruszonych głów, nowej, lepszej rasy ludzkiej nie ujrzymy ani na północy, ani na południu kuli ziemskiej. Wszystkie rasy płyną z tego samego źródła. Te same to wody rajskie, choć nieco inaczej, tu tam są zabarwione.

Podobnież i Zwiastowanie w całej swej prawdzie historycznej i znaczeniu nie powtórzy się raz drugi. Raz wytrysło w Nazarecie to źródło życia Bożego dla dusz ludzkich. Raz dana światu *pełność łaski* — złożona w sercu Maryi. I ta pełność łaski w niczyjej duszy już się nie powtórzy, jako źródło pierwsze.

Ale jak z serca Ewy popłynęły wszystkie dalsze — macierzyste, rodowe — źródełka krwi, tak z Serca Maryi popłyną wszystkie fale łaski Bożej dla dusz. I czy na wschodzie, czy na zachodzie, na południu, czy północy, wszelka łaska duszom udzielana, będzie zawsze tylko „łaską Zwiastowania”, wyczerpnięciem z „pełności łaski” Nazaretu.

Pierwszego więc narodzenia drugi raz — nie będzie, ale są narodziny dalsze. I pierwszego Zwiastowania drugi raz nie będzie, ale powtarzają się i mnożą zwiastowania dalsze.

Łaska płynie. Z Nazaretu do Jeruzalem, z Jeruzalem do Antiochii, do Rzymu, a potem na wszystkie strony świata. Najbogatsze katedry i najuboższa kapliczka będzie — nie tylko przypominać głosem dzwonów — lecz i podawać duszom cud łaski, cud „ich zwiastowania”.

Katolikom, można by powiedzieć, spowszednieli poniekąd „aniołowie Pańscy”, którzy łaskę Bożą ich sercom zwiastują. Często i w pełnej mierze, jeśli zechce, każdy katolik może z niej czerpać. Ma otwarte na oścież bramy sakramentów, ma cały, bogaty skarbiec modlitw i nabożeństw Kościoła na swe usługi, ma przed sobą wolną drogę wytyczoną dobrych czynów, słów i myśli... Na każdej z tych ścieżek oczekuje go „jego” anioł zwiastowania. Otrzymuje łaskę Bożą... Dlatego też katolicy odczuwają silniej dopiero nieco większe natężenia tych „zwiastowań”. Czasem niedoceniają zwykłych, posilnych dawek „chleba powszedniego” łaski. Tęsknią i zapisują sobie głębiej w pamięci dopiero słodczy

i smakołyki, w niezwykłych warunkach otrzymane „zwiastowania”.

Będą to czasem jakieś chwile klęsk i nieszczęść osobistych, czy rodzinnych, które nagle rozjaśni, jak otchłań czarną błyskawica — łaska Boża. Kiedy indziej znów przyjdzie to „zwiastowanie”, jako cudny, wonny wieniec róż, ukoronować szczęście człowiecze. Albo po wielu błakaniach i wędrówkach w cieniu grzechu, w mroku śmierci wiecznej, nagle obejmie miłość ojcowska w swe ramiona najśłodsze syna marnotrawnego...

Wyjątkowym wyrazem i blaskiem promienieje taka chwila „zwiastowania” w życiu ludzi, którzy powracają w progi Kościoła świętego z bezdroży herezji.

— Cade 10 lat — pisze jeden z nich — odsuwałem od siebie łaskę Bożą. W świetle własnego rozumu czułem jej głos i tylko skrupuły mnie wstrzymywały. Aż w miesiącu Maryi 1927 roku przyszło rozstrzygnięcie. W pierwszych dniach tego miesiąca napisałem list do przyjaciela, katolika, któremu dokuczały bardzo wątpliwości we wierze. Rozsnułem przed nim piękno i głębię wezwań litanii loretańskiej. Po napisaniu listu pierwszy raz uświadomiłem sobie jasno, że ja już w sercu jestem katolikiem. Kilka dni później, podczas pewnych odwiedzin w Magdeburgu, odczułem najwyraźniej, że jakaś tajemnicza Moc daje mi do wyboru: albo zostać katolikiem, albo na wieki zgubionym. Skoro tylko wybrałem nawrócenie, zalało mi duszę takie szczęście, jakby mi kto cały świat podarował, jakby dla mnie zakwitło życie nowe. I to, co przedtem zewnętrznie poznałem: — rzeczywiste mieszkanie miłości Bożej w duszach świętych i Bogu poświęconych — stało się teraz objawieniem, najgłębszym przeżyciem mego własnego serca: „Ipsa enim Pater amat vos, quia vos me amastis et credidistis — Sam bowiem Ojciec miłuje was, gdyż wyście mnie umiłowali i uwierzyli”...

Przedziwny układ świąt Kościoła sprawia, że dzień „Zwiastowania Maryi” przypada w okresie Wielkiego Postu, spowiedzi i Komunii wielkanocnej. Dla iluż to wtedy dusz bije godzina ich własnego „zwiastowania”, pełniejszego zaczerpnięcia łaski Bożej!

Wdzięcznym sercem umiļujmy zwiastowanie nasze...
Jan Czar.



**Przy swędeniu ciała
i WYRZUTACH SKÓRNYCH**
stosuje się **KREM «LAIN - AGE»**

kosmetyk usuwający WADY NASKÓRKA tak
u dorosłych jak i u dzieci.



CHOROBY PŁUC

GRUŻLICA PŁUC

jest nieubłagalna i corocznie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar. — Przy zwalczaniu chorób płucnych: bronchitu, grypy, uporczywego męczącego kaszlu itp., stosują pp. lekarze „BALSAM TRIKOLAN-AGE”, który ułatwia wydzielanie się płwociny, usuwa kaszel.

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK
ILUSTROWANY

ROK XII.

WARSZAWA – MARZEC 1938

Nr 3

Z POWROTEM DO POLSKI

Wśród zagadnień naszej polityki państwowej są niektóre tak wielkiej wagi, iż rozstrzygają o naszej przyszłości jako mocarstwa. Do takich spraw należy przede wszystkim sprawa Gdańska.

Nie ma dziś Polaka, który by nie interesował się Gdańskiem i jego stosunkiem do Rzeczypospolitej. Siły nieprzyjazne nam nie dopuściły, by Gdańsk stał się integralną częścią państwa polskiego. Ale traktat wersalski związał Wolne Miasto z Rzeczypospolitą mocnymi węzłami. Reprezentuje ona Gdańsk na zewnątrz, ma obowiązek bronienia go przed najazdem obcym. Gdańsk należy do wspólnego z Polską obszaru celnego, koleje gdańskie są pod zarządem polskim, Polacy, zarówno obywatele Wolnego Miasta jak i obywatele Rzeczypospolitej, korzystają z takich samych praw politycznych, jakie przysługują gdańskim Niemcom. Rzesza niemiecka wszelkich swych roszczeń do Gdańska zrzekła się uroczyście. — Gdańsk pozostaje pod opieką Ligi Narodów, która za pośrednictwem swojego Wysokiego Komisarza ma pilnować, by konstytucja Wolnego miasta i prawa zainteresowanych stron (Polski i Gdańska) nie były narażone na szwank.

Takim jest stan prawny. Można by uważać, że właścicielem suwerenem Gdańska jest nie kto inny, tylko Polska.



Niestety, nasze umowy z Wolnym Miastem, zawierane w pierwszych latach naszej niepodległości — pod naciskiem „przyjaciół” osłabiły tę pozycję. Nie warto opowiadać o gdańskich próbach uważania siebie za odrębne państwo i o treści gdańskich skarg do Ligi Narodów. Gdańsk, rządony przez obcy, pruski, żywioł napływowy, Gdańsk żyjący kosztem Polski, gdyż czerpiący z ceł niesłusznie wysokie dochody, bogacący się jako port Rzeczypospolitej — wyzyskiwał i wyzyskuje cierpliwość polską.

Popelniliśmy przy tym szereg ciężkich błędów. Mała Litwa w odpowiedniej chwili — wyzbyła się opieki obcej nad Kłajpedą. Polska wciąż liczyła na dobrą wolę Gdańska. Łamanie konstytucji gdańskiej przez hitlerowców nasze czynniki urzędowe uważały za wewnętrzną sprawę Gdańska. Patrzono spokojnie na to, iż w Wolnym Mieście zaczęła rządzić ta sama partia, która kieruje losami Niemiec, że w Gdańsku głos Berlina jest decydujący...

Można było zrozumieć chęć pozbycia się ingerencji Ligi Narodów do spraw Gdańska, gdyby to przyczyniło się do wzmocnienia naszego stanowiska nad ujściem Wisły. Dziś zaś sytuacja tak się przedstawia, iż w najistotniejszych sprawach Gdańska musimy rozmawiać już nie z Genewą, ale z Berlinem...

Stan formalny nie uległ zmianie, stan zaś faktyczny zmienił się zasadniczo na naszą niekorzyść. Można sobie piętnować „alarmistów” niepokojących się o losy Gdańska, ale sarkanie to nie zasłoni smutnej rzeczywistości..., przede wszystkim zaś faktu, że w Gdańsku Polacy muszą kryć się ze swoją polskością, terroryzowani przez nich.

Gdańsk, niegdyś miasto i port słowiański, od czasu pamiętnej rzezi, urządzonej przez Krzyżaków w 1308 roku — stał się niemieckim. Wrócił do Polski w 1466 r. i do rozbiorów Rzeczypospolitej dzielił z nią dolę i niedolę. Przemocą włączono go do Prus. A dziś zaledwie 10 proc. obywateli Wolnego Miasta przyznaje się do narodowości polskiej. W tym grodzie, pełnym pamiątek polskiej przeszłości, na każdym kroku spotykamy Gdańszczan, których nazwiska świadczą o polskim pochodzeniu... Nie umieliśmy wyzyskać posiadania Gdańska w przeszłości — nie umiemy postępować z Gdańskiem i dziś.

W Gdańsku powiewają chorągwie ze znakiem swastyki i rozbrzmiewa hasło: „Zurück zum Reich” — chociaż Gdańsk właściwie nigdy do Rzeszy nie należał. Czy istotnie doczekalibyśmy się tego, iż ujście Wisły będzie zamknięte przez obce nad nim panowanie? Czy będziemy świadkami, jak Gdańsk — stanie się znowu portem wojennym zhitleryzowanych Prus-Niemiec i zagrażać będzie ustawicznie naszemu drugiemu portowi na Bałtyku — Gdyni?

Mimo dotąd popełnionych błędów — mimo trudności w naprawieniu ich, nie możemy zapominać, iż przyszłość nasza u ujścia Wisły od nas zależy.

Posłuchajmy, co mówi młodzież polska w Gdańsku przez usta swego przedstawiciela na łamach czasopisma „Młodzież Katolicka” (nr II, 1938 r.). Stwierdza on, że w Gdańsku „trwamy na swoim stanowisku z uporem szaleńców, z wiarą niezwykłych”. Pracują rzetelnie wszystkie instytucje polskie w Wolnym Mieście, wszystkie stowarzyszenia i związki, aby stawiać opór fali germańskiej i bronić polskości i jej praw na terenie najbardziej zagrożonym. Walka trwa. Walka o duszę Polaka, po którą sięga chciwie ręka potomków krzyżackiego zakonu. W tej walce wspomaga nas wiara, że Gdańsk

był, jest i będzie nasz całkowicie tak, jak był naszym za czasów Korony Polskiej i mamy niezłomną wolę bronić go do ostatka, bo jesteśmy prawowitymi spadkobiercami tej Polski, która Gdańsk posiadała tak jak posiadała Poznań, Kraków, Warszawę i inne miasta. Żadna siła nie jest zdolna odebrać nam Gdańska, tak jak i żadna siła nie jest zdolna wynarodowić Polaków-Kaszubów, którzy tak śpiewają za swoim poetą Derdowskim:

„Tam, gdzie Wisła od Krakowa w polsci morze płynie,
Polsko wiara, polsko mowa nigdzie nie zadzinnie”.

Niech nas — dodamy do tych słów — nie przeraża potęga dzisiejszych Niemiec. — Rośnie ona z dnia na dzień, ale rosną też siły, które podcinają ją od korzeni. Czas pracuje dla nas. Jesteśmy narodem młodym, przężnym, zahartowanym w przeciwnościach losów. Nie wymieramy jak narody zachodnie, lecz rozradzamy się. Przyszłość jest nasza...

Niech nas nie obezwładnia dynamizm hitlerowskich Niemiec. — Kto wie jak długo to potrwa, na jak długo stąrczy sztucznych podniet i fascynujących hasel. Katastrofa może przyjść rychlej, niżli się spodziewać można.

Ale nie liczymy tylko na sprzyjające losy.

Cudem wprawdzie było złamanie przez nas więzów niewoli. Czy wielu mogło wierzyć w upadek trzech zaborczych potęg, a jednak to nastąpiło. Cudem było obudzenie się narodowe Górnego Śląska, ziemi od 600 lat „straconej”, gdzie wysunięcie polskiej kandydatury do parlamentu — „doświadczeni politycy” uważali za rzecz niebezpieczną, bo narazimy się niemieckiej partii centrowej, rzekomo dla nas życzliwej... A jednak, zwyciężyła polityka Korfantego!

Gdy przed 20 laty w Brześciu zwycięskie nad Rosją Niemcy podpisywały traktat pokojowy z Bolszewią i państwem z nieprawdziwego zdarzenia Ukrainą Hruszewskiego — byli tacy, którzy załamywali ręce, gdyż odrywano od nas męczeńską Chełmszczyznę. Lecz przyszedł listopad 1918 r. i z traktatu brzeskiego nie pozostało ani śladu. Opatrzność dźwignęła Polskę z niebytu politycznego.

Ale dziś, wierząc w sprawiedliwość Boga i w siły własnego narodu, trzeba siły te nie tracić bezużytecznie, lecz skupiać je i organizować w obronie praw naszych do Gdańska. Trzeba pracować, by ziszczyć się mogło twierdzenie: „Miasto Gdańsk niegdyś nasze, znowu będzie nasze”. Hasłu hitlerowców gdańskich „Zurück zum Reich” — przeciwstawmy nasze hasło: „Z powrotem do Polski”. Ono też musi zwyciężyć.

TADEUSZ JASTRZĘBIEC

Polska święta rzecz!...

Więcej światła!...

Więcej pracy!...

Więcej czystych dusz!...

Ze snu zbudźmy się Polacy,

W ogniu krwawych zórz...

Dzwony biją dookoła,

To na trwogę dzwon...

Jednym głosem Polska woła:

„Życie, albo skon!...”

Huraganem krwawych wojen —

Zacieśniają nas,

Czas, by duch się w siłę zbroił,

Czas już wielki czas!...

Weźmy na się Pancierz Wiary,

Czynów dobrych miecz,

Brońmy, tej Ziemięc starej,

Polska — Święta Rzecz!...

Że nie zgubi Jej nikt z wrogów

Obcych, czy też z nas —

Przysięgnijmy Panu Bogu,

Bo już nadszedł czas!...

Brońmy tej Piastowej Ziemi —

Bohaterstwem serc,

Zastońmy piersiami swymi

Mury świętych twierdz!...

Przysięgnijmy to na krzyżu:

Tak nam pomóż Bóg,

By Ojczyzny nie poniżył

Żaden kat, ni wróg!...

Piękny zamek
na Śląsku Opolskim.



Ks. ST. ADAMSKI, biskup śląski.

AKCJA KATOLICKA A POLITYKA

Katolik jest obywatelem. Ma nie tylko prawo, ale i obowiązek zajmowania się sprawami swojej ojczyzny i brania w nich czynnego udziału. Katolik zatem nie może nie interesować się sprawami państwa, polityką, dążeniem do wielkości i pomyslnego rozwoju swojej ojczyzny. Ojciec św. Leon XIII już w encyklice „Immortale Dei” z roku 1883 sprawę tę stawia bardzo jasno, mówiąc:

„By nie pozbawiać państwa korzystnej współpracy katolików, niechaj Biskupi starają się wpoić w nich przekonanie, że odmowa udziału w sprawach publicznych byłaby równie naganną, jak odmowa współpracy dla dobra ogólnego, a to tym więcej, że katolików zobowiązuje wyznanie i wypełnianie owych zadań z całą sumiennością. Gdyby katolicy pozostali na uboczu, bez przeszkód uchwycą ster ci, których poglądy nie rokują poprawy stosunków. Poza tym przyniosłoby to szkodę sprawie chrześcijańskiej, gdyż wówczas wrogowie Kościoła posiadaliby wszelką władzę, jego zaś obrońcy żadnej”.

Katolicy zatem w całej pełni mogą i powinni korzystać ze swoich praw obywatelskich. Katolicy mają obowiązek starania się o to, ażeby zapewnić ojczyźnie swojej pożyteczny rozwój zgodnie z prawami Chrystusowymi. Mają zatem katolicy prawo należenia do stronnictw i grup, i władz politycznych, i do zajmowania się czynną polityką. Jeden wszakże spełnić winni warunek, aby wszędzie i zawsze pozostawali katolikami, działali według zasad katolickich, wybierali na przedstawicieli swoich przekonanych katolików i dbali o to, ażeby ich wybrańcy i przedstawiciele czy to w polityce, czy w sprawach zawodowych, czy stanowych zawsze na katolickim stali stanowisku i kierowali się zasadami katolickimi.

Oto streszczenie praw i obowiązków katolików w polityce. Katolicyzmi nie uznaje podwójnej moralności

na żadnym polu. Polityka podlega, tak jak inne czyny ludzkie, pod kodeks Chrystusowych praw moralnych. Dotyczy to zarówno katolika osobiście, jak i partyj i ugrupowań katolików zajmujących się polityką czynną. Członek Akcji Katolickiej w niczym nie jest krępowany, gdy chodzi o spełnianie obowiązków i korzystanie z praw państwowo obywatelskich. Przeciwnie, zaniedbanie spełnienia obowiązków obywatelskich i korzystania z praw obywatelskich, jeśli przez to szkoda wyrasta Ojczyźnie lub Kościołowi, poważnym może stać się przeciwnikiem moralnym.

Akcja Katolicka jako organizacja, której zadaniem jest czynić w dziedzinie apostołskiej to, co czyni Kościół, nie może pomijać spraw, które w wysokim stopniu łączą się z przeprowadzeniem myśli katolickiej w państwie. Akcja Katolicka zatem tak jak Kościół krzewić będzie zdrowe zasady, dotyczące praw i obowiązków, które panować powinny w życiu państwowym, obywatelskim i politycznym, współżycia państwa z Kościołem, tak samo jak czyni to Kościół.

Z drugiej strony Kościół jest powszechny i łącząc wszystkich katolików bez względu na ich przynależność partyjną głosi prawa i zasady obowiązujące bez wyjątku ludzi. Kościół nigdy nie utożsamia się z jedną partią lub ugrupowaniem politycznym. Akcja Katolicka podobnie ogarnia wszystkich katolików bez względu na różnice drugorzędne, które ich dzielą. Akcja Katolicka ani nie jest własnością jednego narodu, ani też nie może zamknąć się lub związać z jakąkolwiek partią polityczną, chociażby ona w programie i w praktyce jak najczęściej katolickie zajmowała stanowisko i wyznawała zasady. Stolica Apostołska w tym kierunku oświadczała się wielokrotnie. Ojciec św. Pius XI w liście do przewodniczącej Międzynarodowej Unii Kobiet Katolickich

„RZUT OKA NA HISTORIĘ MAŁŻEŃSTWA W KOŚCIELE KATOLICKIM”

Z artykułem niżej umieszczonym rozpoczynamy druk cyklu referatów, wygłoszonych w Paryżu na I Międzynarodowym Kongresie Rodziny Chrześcijańskiej (I Congrès International de la Famille Chrétienne). Kongres ten zwołany został na specjalne życzenie Ojca świętego, który, jak to wynika z listu kardynała Pizzardo do organizatora kongresu ks. Viollet, bardzo się tym kongresem interesował i, jak się wyraził ks. Viollet, osobiście zatwierdził listę prelegentów. Nazwiska ich zresztą mówią same za siebie. Referaty te tłumaczy nam z francuskiego b. posłanka na Sejm i delegatka Zjednoczenia Zrzeszeń Rodzicielskich w Polsce na wyżej wspomniany kongres paryski p. W. Ładzina.

Redakcja.

Jak pogodzić prawo jednostki z prawem społeczeństwa, prawo poddanego z prawem władcy, prawo poszanowania osoby człowieka z obowiązkiem współpracy ludzi dla wspólnego dobra? Oto wielkie zagadnienia, których rozwiązanie narzuca się we wszystkich dziedzi-

nach życia ludzkiego: etyce, polityce, ekonomii, socjologii. Kościół katolicki w rozwoju kwestii małżeńskiej znajdował się stale w obliczu tych zagadnień. Rozwiązywał je stopniowo w ciągu wieków. W istocie rzeczy, Kościół katolicki potrafił powierzyć wolnej woli człowieka utworzenie i utrzymanie związku małżeńskiego, a równocześnie poddał tę wolność służbie Bogu i ludzkości przez rodzinę.

Zobaczmy, czego w tym kierunku dokonał Kościół: 1) *w obronie ludzkiej osobowości*, 2) *przeciw indywidualizmowi*. Można by ująć oderwanie wyniki tej podwójnej akcji Kościoła katolickiego, formułując po prostu zasady i logiczne wnioski, ale pozbawiłoby to nas pięknego widoku walki, jaką katolicyzm prowadził o zachowanie zasad teoretycznych i praktycznych w małżeństwie. Byłoby to także zaniedbaniem przedstawienia jednego, z najbardziej przekonujących dowodów, stwierdzających, jaki związek istnieje między doktryną

już w r. 1928 mówi o Akcji Katolickiej, że stać ona powinna „poza i ponad wszystkimi partiami politycznymi”. Gdy zaś swego czasu praski arcybiskup śp. Kordacz zapytywał się, czyby nie było wskazany, aby czeska organizacja młodzieży katolickiej, należąca do Akcji Katolickiej, współpracowała z katolickim stronnictwem ludowym, Stolica Apostolska zabroniła łączenia Akcji Katolickiej z jakąkolwiek organizacją polityczną i partyjną. Podobnie odpowiedziała Stolica Apostolska JEm. Kardynałowi Bertramowi, że chociażby tylko jedna istniała w kraju i to wybitnie katolicka partia, Akcja Katolicka z nią się łączyć nie może.

Kościół bowiem nie uprawia czynnej polityki partyjnej, lecz poprzestaje na uświadamianiu wszystkich katolików wszelkich partij o zasadach katolickich i obowiązkach katolika, aby tym sposobem na wszystkie oddziały stronnictwa, do których należą katolicy. Akcja Katolicka, jako organizacja pomocnicza Kościoła, tą samą idzie drogą. Musi zatem być niezależną od jakichkolwiek partij; nie może więc brać udziału w życiu partyjnym lub wiązać się z partiami. Za to wśród wszystkich katolików, do jakiegokolwiek należą partii, szerzyć będzie i krzewić zdrowe zasady oraz uczyć zastosowania i pilnowania zasad katolickich w życiu publicznym, politycznym i zbiorowym zgodnie z zasadami katolickimi.

Akcja Katolicka i jej organizacje nie biorą zatem udziału w akcji wyborczej lub politycznej, natomiast członkom swoim przypominają obowiązek spełnienia zadania obywatelskiego zgodnie z sumieniem katolickim, wynika stąd, że organizacje Akcji Katolickiej nie współpodpisują odezwy politycznych i nie biorą udziału w zebraniach politycznych. Organizacje Akcji Katolickiej bowiem tworzą zespół dla siebie, istnieją samodzielnie i nie podporządkowują się żadnym innym zespołom.

Politycy walczący są równocześnie podejrzliwi i zachłanni. Pokusa wykorzystania Akcji Katolickiej dla partyjnych celów jest wielka. Akcja Katolicka mając szersze od partii pole pracy, nie powinna narażać się

na zarzut, że popiera jakąkolwiek partię polityczną, skoro jej zadaniem jest współpracować z katolikami wszystkich kierunków politycznych, nie potępionych przez kompetentne władze kościelne.

Stolica Apostolska dawno już wypowiedziała zasadę, że katolik mający pracę kierowniczą w Akcji Katolickiej nie powinien równocześnie przewodzić w politycznej robocie i odwrotnie. Praktyka ta wiedzie do rozsądnego podziału pracy, nie pozbawiając nikogo swobód obywatelskich. Katolik należący do Akcji Katolickiej może bez przeszkody być członkiem partii politycznej, której zasady i praktyka zgodne są z zasadami katolickimi. Kierownicze jednak stanowisko ma zajmować albo w jednej, albo w drugiej organizacji, aby łączeniem wpływów w dwóch organizacjach nie narażać ani siebie, ani Akcji Katolickiej na zarzuty i podejrzenia.

Akcja Katolicka rośnie na znaczeniu. Jedni lękają się jej wpływów i pragnęliby sparaliżować jej rozrost, drudzy może pragnęliby ją uczynić narzędziem na usługach partij politycznych.

Lewicowe, antyreligijne ugrupowania nieustannie podnoszą zarzut, że Akcja Katolicka popiera politykę faszystowską, jako że wszystko, co z nimi nie idzie, zasługuje w ich mniemaniu na miano faszystowskiego ruchu — z drugiej zaś strony nie brakło usiłowań polityków katolickich we Włoszech, Hiszpanii, Czechosłowacji i gdzie indziej, by siłę Akcji Katolickiej wyzyskać dla swoich partyjnych celów politycznych.

Stolica Apostolska, jak wyżej wykazano, zabrania takiego uzależniania się, a nawet idąc dalej, celem uchronienia Akcji Katolickiej przed zarzutem polityczności, nie pozwala powierzać kierowniczych stanowisk w Akcji Katolickiej ludziom, którzy równocześnie czynny i wybitny biorą udział w pracy politycznej. Stolica Apostolska swego czasu zabroniła organizacjom Akcji Katolickiej włoskiej nawet korzystania z bezpłatnie ofiarowanych lokali partij politycznych.

(Fragment z „Ruchu Katolickiego”).

małżeństwa katolickiego, a zasadniczymi wymogami Ewangelii. Prócz tego, przedstawiając oderwane wyniki podwójnej akcji Kościoła katolickiego, nie wykazaliśmy tej ciągłej reakcji sumienia chrześcijańskiego przeciwko naciskowi świeckiemu, oraz wahaniom lekarzy, dążącym do obniżenia wymagań Kościoła katolickiego w dziedzinie małżeństwa. Postęp ideologii katolickiej w dziedzinie małżeństwa rozpatrywać będziemy w trzech okresach jej rozwoju. 1) Przed rokiem 1000. Zasady są postawione, ale nie oparte na syntezie, a państwo nie pozostawia jeszcze Kościołowi wyłącznej jurysdykcji, nawet w zakresie pierwiastka duchowego w małżeństwie; 2) od roku 1000 do reformacji. Kościół jest wyłącznym prawodawcą i sędzią w sprawach małżeńskich. Ten monopol w oparciu o średniowieczną filozofię nauk kościelnych pozwala doktorom Kościoła ustalić klasyczną doktrynę o związku i pożyciu małżeńskim; 3) po reformacji. Kościół coraz bardziej energicznie walczyć musi przeciwko wzrastającej jurysdykcji świeckiej w kwestii małżeńskiej, a pod naporem walki klasyczna doktryna katolicka całkowicie się wyjaśnia. Ograniczymy się tutaj do zbadania doktrynalnego rozwoju istoty małżeństwa, nie wnikając w różne ustawy ścisłe kościelne lub w przeszkody, które nie dotyczą bezpośrednio naszego tematu.

I. W OBRONIE OSOBOWOŚCI LUDZKIEJ

Przedstawienie kilku zasad o małżeństwie ustalą przede wszystkim wybitną rolę człowieka w kształtowaniu się związku małżeńskiego.

1. Zasadnicza rola zgody.

Choć Doktorzy Kościoła tej zasadzie nigdy nie odmawiali słuszności, to jednak dopiero około końca wspomnianego pierwszego okresu ustalone zostało orzeczenie, że tylko zgoda stanowi o małżeństwie. W 866 roku papież Mikołaj I w odpowiedzi Bułgarom stwierdził, że choć należy zachowywać obrządki ślubne, to samo małżeństwo jest skutkiem jedynie woli małżonków.

To oderwane wypowiedzenie się Mikołaja I było podjęte i rozwinięte przede wszystkim w XII i XIII wieku. Podczas gdy wszystkie ludy starożytne upatrywały raczej w związku małżeńskim przymierze dwóch rodzin, niż związek dwóch osób, Doktorzy Kościoła wykazywali, że zachodzi tu przede wszystkim wymiana zgody między nowożeńcami, czyli dobrowolna umowa.

W XII wieku stają przeciw sobie dwie teorie: jedna — to teoria O. Lombarda, uznająca słowa i znaki, przez które mężczyzna i kobieta zobowiązują się żyć w małżeństwie, za stanowczo decydujące o zawarciu małżeństwa, i druga teoria Gracjana, który, nie pomniejszając wagi zezwolenia w zawieraniu małżeństwa, twierdzi, że zezwolenie to ma pełne urzeczywistnienie dopiero przez faktyczne spełnienie małżeństwa. Po długoletnich sporach zwyciężyła zasadniczo teoria O. Lombarda, ale z teorii Gracjana utrzymała się zasada unieważnienia małżeństwa w wypadku, jeśli małżeństwo nie zostało spełnione.

2. Swoboda zgody.

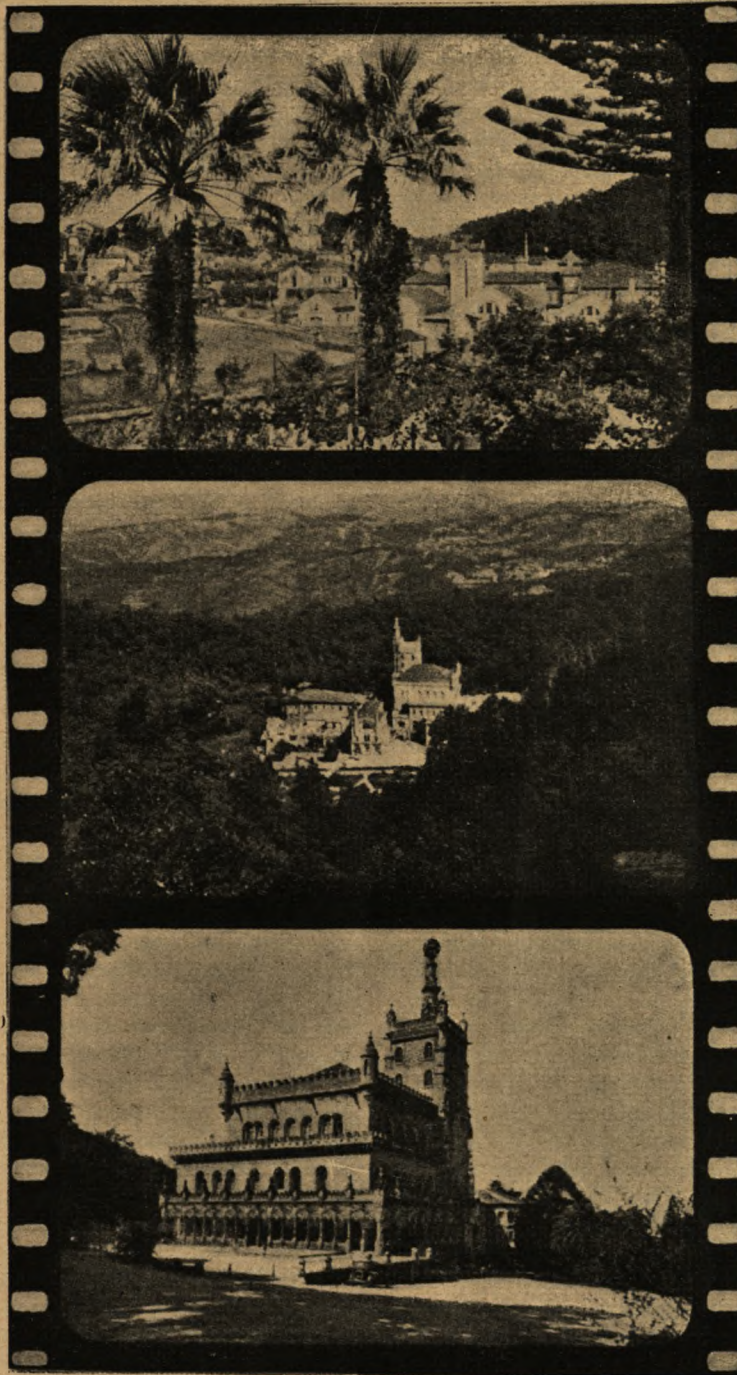
Prawo rzymskie, gdy nowożeńcy nie byli „sui juris”, wymagało dla ważności małżeństwa — zezwolenia głowy rodziny „pater familias”, którą mógł być również dziadek, gdy „pater familias” nie istniał.

U barbarzyńców zezwolenie kobiety nie było wymagane, gdyż małżonek nabywał od ojca po prostu władzę „mandium” nad kobietą.

Zdaje się, że póki istniało cesarstwo rzymskie, Kościół nie protestował przeciwko władzy „pater familias”, ale przeciwstawił się zwyczajom germańskim; sobór w Compiègne w 757 r. postanowił w kanonie VI, że młoda dziewczyna, wbrew swej

woli zaręczona, może zerwać umowę.

W okresie rozwoju kanonicznego prawa małżeńskiego władza „pater familias” została odrzucona po pewnych wahaniami przez Doktorów Kościoła. Podczas gdy Gracjan żąda zgody ojca dla ważności małżeństwa, O. Lombard wyznaje doktrynę przeciwną, która stopniowo w ciągu XII i XIII wieku zwycięża.



Piękno Hiszpanii.

Kiedy od połowy XVI wieku władza świecka stopniowo odbierała Kościołowi jurysdykcję małżeńską, władza ojca rodziny unieważniająca małżeństwo na nowo powróciła. Ojcowie francuscy na soborze trydenckim żądali nawet zatwierdzenia tej zasady, lecz bezskutecznie. Jednakże prawodawstwo świeckie we Francji utrzymało nieważność małżeństwa małoletnich, zawartego bez zgody rodziców, pod pozorem nielegalności i porwania dla uwiedzenia.

Kościół bronił również swobody niewolników w zawieraniu małżeństwa. Prawo rzymskie uważało ich za niezdolnych do wstępowania w związki małżeńskie, ale już na początku III wieku papież Kalikst oświadczył, że związki ich są prawdziwym małżeństwem. Niemniej długo jeszcze władza kościelna wymagała zgody odnośnych panów dla ważności tych związków, aż do chwili, w której papież Adrian IV (1154 — 1199) zniósł ten warunek. Inną kwestią była sprawa małżeństwa między niewolnikami i wolnymi ludźmi. Została ona ostatecznie rozstrzygnięta w XII wieku w duchu wolności i ważności, na mocy utrwalonej zasady równości między chrześcijanami — mówi Esmain. Uznano jedynie za nieważne małżeństwa zawarte w nieświadomości, co do stanu niewolnictwa u jednego z małżonków ze strony wolnego obywatela. W tej sprawie idzie o wyjątkowo ważną omyłkę, a nie o stan niewolnictwa.

Wreszcie Kościół protestował w różnych czasach przeciwko rozkazowi dawanemu przez monarchę rodzicom, aby wydali za mąż córkę za daną osobę. Praktykę taką potępiały w szczególności IV sobór orleański (541), III sobór paryski (por. 556) i sobór trydencki (XXIV sesja „o reformie małżeństwa”, rozdział IX, 1563).

3. Małżonkowie sami wykonawcami sakramentu małżeństwa.

Składniki teorii sakramentu małżeństwa istniały od początków chrześcijaństwa, ale zostały opracowane w formie doktryny ogólnej dopiero w końcu XII wieku. W XIII w. pojęcie, że sakrament, a umowa u chrześcijan, stanowią toż samo, coraz bardziej się zakorzeniło. Św. Tomasz oświadcza wyraźnie, że jeżeli moc Boża jest pierwszym źródłem sakramentów, to ich narzędziami są różne materialne obrządkowe, których skuteczność wypływa z boskiego źródła instytucji, i że np. w małżeństwie — narzędziem przyczynowym jest zgoda małżonków. Stąd dochodzi się do wniosku, że zgoda stanowi samą formę sakramentu. Ale ten, kto nadaje formę sakramentu, jest jego wykonawcą. Wniosek wydaje się oczywisty, ale dopiero w XIX w. stał się poglądem powszechnym.

4. Równość małżonków w małżeństwie.

„Kościół wprowadził do prawa małżeńskiego korzystną nowość, pisze Esmain — a mianowicie ogłosił w zasadzie równość mężczyzny i kobiety”. Zasada równości postawiona została już w pierwszym liście św. Pawła do Koryntian, następnie potwierdzona i coraz jaśniej występuje u Ojców Kościoła. Laktencjusz stosuje ją w sposób nieodparty, twierdząc, że mąż i żona jednakowo podlegają obowiązkowi wierności. Następujące wyrażenie św. Jeremiego stworzyło zasadę: „u nas, czego nie wolno kobiecie, tego nie wolno i mężczyźnie”, i uznaje się, że jednakowe warunki prowadzą do jednakowych obowiązków. Szczególnie podkreślają tę zasadę „książki pokutne”, że istnieje tylko jedno prawo dla kobiet i mężczyzn.

Za naszych czasów Kościół słusznie się szczyci, że on pierwszy ogłosił tę prawdę. (Encyklika: Arcanum, Leo-

na XIII). Zapewne równość ta nie jest bezwzględna: samo prawo kanoniczne uznaje pewną przewagę męża, wynikającą z istoty rzeczy i usprawiedliwioną przez teksty Pisma Św. Ale równość bezwzględnie jest obowiązująca w dziedzinie, na której najwięcej kobietom zależy, w dziedzinie wzajemnych obowiązków, a głównie obowiązku wierności małżeńskiej. Wszystkie ustawodawstwa starożytne ustalały w tym punkcie głęboką różnicę między mężem a żoną. O ile prawo rzymskie dawało pod innymi względami szeroką swobodę kobiecie, tutaj zastrzegło mężczyźnie wyraźne przywileje. Zauważyć zresztą należy, że zasada równości napotykała i w prawie kanonicznym na długotrwały opór. A jednak wyszła zwycięsko nie tylko u Rzymian, ale i u barbarzyńców, gdzie wywarła może jeszcze znaczniejszy wpływ.

Powoli więc ludzie obu płci, jak i klasy społeczne doczekały się równości w prawie kanonicznym małżeńskim. Mówiliśmy o tym przy rozpatrywaniu małżeństw między niewolnikami, lub tychże z wolnymi ludźmi. W III wieku, papież Kalikst uznał za ważne związki małżeństwa patrycjuszek z mężczyznami niższej sfery, choć prawo rzymskie tych związków nie uznawało.

II. PRZECIWIW INDYWIDUALIZMOWI

W myśl doktryny Kościoła, małżeństwo dokonywa się na mocy swobodnej, opartej na zasadzie równości, zgody małżonków. Lecz czy z tego wynika, że są władni ustalić sami wszystkie warunki swego związku. Nauka katolicka przeciwstawia się temu zbyt wybujałemu indywidualizmowi. Małżeństwo jest umową, ale umową natury specjalnej, która podporządkowuje małżonków celom o wiele wyższym, niż te, jakie oni znaleźć mogą w swym współżyciu.

1. Cele małżeństwa.

Już Stary Testament określał, jako pierwszy cel małżeństwa — dawanie życia. Bóg rzekł do pierwszych rodziców: „Idźcie i rozmnażajcie się, zapelnijcie ziemię i uczynicie ją sobie podległą”. Bóg potępił grzech Onana.

Młody Tobiasz oświadcza: „Jesteśmy dziećmi świętych i nie możemy kojarzyć się, jak poganie, którzy Boga nie znają. Wiesz, Panie, że nie dla zadowolenia mej namiętności biorę żonę, lecz dla jedynej pragnienia, by mieć dzieci, które chwalić będą imię Twoje po wszystkie wieki” (Tobiasz VIII, 5 i 9). Genenez wskazuje jeszcze inne cele małżeństwa, stawiając kobietę jako równą mężczyźnie, „pomocnik podobny temuż” (11, 8, adjutorium simile sibi).

Nowy Testament przyjmuje tę naukę, jako dowiedzioną. Zapamiętajmy ten ustęp z pierwszego listu do Tymoteusza: „Kobieta zbawi się przez macierzyństwo” (11, 15).

Ojcowie łacińscy do przesady robili nacisk na dawanie życia, jako cel pierwszy małżeństwa. Przede wszystkim święty Augustyn (De bono conjugali), po nim św. Cezariusz, Grzegorz Wielki, święty Izydor, dla których jedynie dawanie życia usprawiedliwia współżycie małżeńskie, poza tym współżycie to zawiera zawsze znamie grzechu powszedniego, gdyż jest rezultatem niewłaściwej pożyteczności (J. Tisceront: „Historia dogmatów w starożytności chrześcijańskiej”, t. III, str. 421, Paryż 1912 r.).

Dawne sakramentarze leonijski i gelański, z których kilka tekstów przeszło do Mszy św., odprowadzanej z okazji zaślubin, utrzymują, że dawanie życia jest celem małżeństwa.

Ojcowie greccy, którzy nie zakreślali grzechowi pierworodnemu tak daleko idących skutków jak św. Augustyn, uważali, że współżycie małżeńskie samo przez się nie powinno świadomie unikać dawania życia. Jest to również zdanie św. Jana Chryzostoma, powołującego się na św. Pawła, który zaleca małżeństwo, jako naturalne zaspokojenie zmysłowości i uważa, że świat już jest aż zanadto zaludniony. (O „niewinności”, rozdz. XIX, Migne, „Ojcowie łacińscy”, t. XLVIII, kol. 347).

Ale i tu doktryna zachodnia rozwija się coraz bardziej poza wpływami Wschodu. Teoria św. Augustyna trwała bardzo długo. Piotr Lombard wyznaje ją bez zastrzeżeń. Św. Tomasz nie widzi w zadowoleniu zmysłów celu współżycia małżeńskiego (In IV Sent. dist XXVI 9 llust. 2). To samo głoszą św. Bonawentura i Dun Scott. Dopiero od końca XIV wieku zostały przyjęte i drugorzędne cele małżeństwa: Durand de Pourçain (zmarł w 1396 r.), święty Antoni Florencki (1389 — 1439), Almain (zmarł w 1516 r.), Sanchez (de Matrimonio 1602), Ledesma. Ale Doktorzy Kościoła łacińskiego, czy są zwolennikami św. Augustyna, czy nimi nie są, jednomyślnie twierdzą, że pierwszym dobrem małżeństwa jest potomstwo (proles). Kanon 101 Kodeksu Kanonicznego z 1917 r. określa dokładnie co do powyższego tradycje Zachodu. Pierwszym celem małżeństwa jest dawanie życia i wychowywanie potomstwa, celem dalszym, drugorzędnym, wzajemna pomoc i zaspokojenie namiętności.

2. Nierozzerwalność.

Pisarze interpretujący Pismo Święte, wierzący lub nie, przyznają jednomyślnie, że Ewangelia, reagując stanowczo przeciw tolerancji głoszonej przez Mojżesza, stwierdza bezwzględnie nierozzerwalność małżeństwa.

Przeciwstawia się nieraz tej zasadzie dwa ustępy ze św. Mateusza, mianowicie: „a ja wam powiadam, że ktokolwiek porzuci swoją żonę, *poza przyczyną jej złych obyczajów*, naraża się na cudzołóstwo, a ktokolwiek pojmie kobietę porzuconą — cudzołoży (Mat. V, 31 — 32), drugi: „a ja wam powiadam, że ktokolwiek porzuca swoją żonę, *nie dla jej złego prowadzenia*, a weźmie inną — cudzołoży” (Mat. XIX, 9).

Otóż współcześni egzegeci widzą w tych tekstach nie upoważnienie do ponownego małżeństwa za życia porzuconej żony, lecz zdanie niejasno sformułowane, w którym wyjątek przewiduje prawo porzucenia, lecz nie prawo ponownego małżeństwa. Interpretację powyższą potwierdzają teksty Ewangelii św. Marka, św. Łukasza oraz pisma św. Pawła, które głoszą nierozzerwalność małżeństwa bez żadnych wyjątków. Zauważyć należy, że w społeczeństwach, zanim rozpowszechniła się Ewangelia, rozwód był dość uznawany. U Żydów wolno było mężowi porzucić żonę, jeżeli miała w sobie coś odpychającego, mowa tu o ułomności fizycznej, budzącej wstręt (Deutéronome, XXIV, 1). Prawo rzymskie uznawało kilka przyczyn usprawiedliwiających rozwód, jak np. w ustawodawstwie Justyniana: zdradę małżeńską, złe obyczaje, czynny gwałtowny, zamach na życie małżonka i zgodę wzajemną. U Germanów mąż miał prawo porzucić żonę, ale zapłacić musiał karę, o ile uczynił to bez dostatecznego powodu; kobieta nie mogła opuścić męża pod karą śmierci. Za czasów Hincmara z Reims prawo porzucenia żony istniało jeszcze w ustawodawstwie świeckim (około r. 850, patrz Esmein: „Le mariage en droit canonique”, t. I, 2 éd. p. 19). Za czasów cesarstwa rzymskiego, Ojcowie Kościoła łacińskiego nie odstąpili ani na jotę od zasady nierozzerwalności małżeństwa. Na Wschodzie nawet w ciągu pierwszych trzech

wieków karność dla nakazów Ewangelii całkowicie się utrzymała. Orygenes wspomina o kilku odchyleniach w tym względzie ze strony biskupów i otwarcie ich potępia.

Ale gdy zapanował w Kościele pokój, niektórzy Ojcowie greccy, i to bardzo wybitni, pozwolili zdradzonemu mężom na ponowne małżeństwo za życia niewiernej żony. Uczynili to św. Grzegorz z Nazjanzu i św. Bazyli. Co do Zachodu, w czasach barbarzyńskich przyznać trzeba, że sobór w Verberie (756) i w Compiègne (758) oraz niektóre księgi *pokutne* zezwalały na rozwód nie tylko z powodu wiarołomstwa, lecz i z innych przyczyn, jak: zamach na życie współmałżonka, trąd itd. Były to poszczególne ustępstwa, gdyż nawet i wówczas nie brakowało oświadczeń, głoszących o nierozzerwalności związku małżeńskiego.

Od czasów Karola Wielkiego nie widzimy na Zachodzie żadnych wahań w kwestii rozwodu. Znane są heroiczne walki papieży, staczane z monarchami o to, że ci chcieli porzucić żonę, aby pojąć kochankę lub zawrzeć związek małżeński, odpowiadający widokom dynastii.

Przytoczmy stanowisko Mikołaja I wobec Lotara II, Innocentego III z Filipem-Augustynem, Klemensa VII z Henrykiem III, wreszcie Piusa VII z Napoleonem I.

Wschód natomiast uznawał stale wypadki rozwodów na podstawie ustawodawstwa Justyniana (z wyjątkiem, że od IX wieku potrzebna zobopólna zgoda małżonków), gdyż *władca* narzucał tu swe prawa.

Dlaczego musiała istnieć nierozzerwalność związku małżeńskiego? Do dowodzeń pisarzy nauka klasyczna dodaje dowody czysto rozumowe. Przyroda popycha rodziców do dawania życia i wychowywania potomstwa, co wymaga związku stałego, a bezustanna potrzeba wzajemnej pomocy wymaga związku, który tylko śmierć rozerwać może. Tak dowodzi w szczególności św. Tomasz. W ten sposób nierozzerwalność związana jest z celami małżeństwa i odnośna teoria nabiera tym większej łączności jednego pojęcia z drugim.

Wnioski ogólne.

Pomimo zaciętej opozycji, pomimo wahań biskupów i Doktorów pełna doktryna małżeństwa skryształizowała się w Kościele katolickim. Przedstawia ona dwa oblicza, które wzajemnie się uzupełniają.

Poszanowanie godności człowieka wymaga, żeby związek małżeński tworzył się zasadniczo na mocy swobodnego zezwolenia obojga małżonków i żeby oni, o ile są chrześcijanami, stwarzali jednocześnie umowę i sakrament małżeństwa. Żadna władza rodzicielska, królewska lub cesarska nie będzie mogła zniweczyć skutków prawnych decyzji małżonków. Ponadto, co również wypływa z pojęcia godności ludzkiej, związek małżeński musi w pełni urzeczywistniać równość mężczyzny i kobiety niezależnie od tego, do jakiej warstwy społecznej należą.

Ale umowa, stanowiąca o związku małżeńskim, ma i dla społeczeństwa poważne znaczenie. Zgoda więc małżonków nie może zmienić ani natury, ani wymogów małżeństwa. Małżonkowie do celu wskazanego im przez naturę, dążyć muszą przez dawanie życia, wychowanie dzieci i współżycie w jak najściślejszej ze sobą współpracy, którą tylko śmierć przerwać może. Dążąc do takich celów, poparci łaską Bożą, małżonkowie nie pomniejszają swej osobowości. Człowiek bowiem znajduje szczęście w ciągłej ofierze samego siebie na rzecz innych i właśnie w tej dobrowolnej służbie zaznacza się jego wielkość.

PANNA MŁODA MODEL 1867

WPROWADZENIE BEZ WZRUSZEŃ

Z kobietą po trosze jest jak z samochodem, który konieczne co roku musi zmieniać sylwetkę. Wytwórnice Fordów, Buicków czy Chevroletów myślą o tym bardzo pracowicie. Raz nadwozie wydłużą się w kształt strzały, kiedy indziej fascynować będzie linią aerodynamiczną czy opływową, czasami wreszcie przyczai się z przodu, płasko rozszerzy rozłożystymi błotnikami i wtedy nazywa się to model 1937.

Między modelami z poszczególnych lat (takie jest bowiem znaczenie liczby przy słowie „model”) mogą zachodzić różnice poważniejsze, każdy przecie rok daje samochodom szereg ulepszeń i udogodnień, ale choć to będą różnice nawet zasadnicze, tak przeciętnie, na oko, cechy drugorzędne, zewnętrzne bierze się pod uwagę przede wszystkim i modele samochodów rozróżnia się właśnie po sylwetkach. Z kobietą dzieje się podobnie. Markizę wyobrazi sobie każdy w rozłożystej krynolinie, kobietę z czasów powstania styczniowego widzi się w tiurniurze, znowu zatem rozróżnień dokonywa się wyłącznie po sylwetkach. Nie usiłuje się myśleć o odrębnościach psychicznych czy umysłowych kobiet z różnych epok, znać się raczej chce kobietę model 1771 czy model 1863; dlatego bez żadnych skrupułów można mówić o pannie młodej model 1867.

Niemożliwą jest rzeczą porównać samochód model 1867 z modelem 1937, można się jednak odważyć i zaryzykować twierdzenie, że różnica między nimi a między pannami młodymi z tych samych lat jest na pewno niemniejsza. Samochodu model 1867 nie stworzy się na zawołanie i nawet na coś więcej, różnice za to w drugim wypadku każdy z łatwością ustali, gdy panna młoda model 1867 stanie przed naszymi oczyma.

Oto otwieramy stare żurnale mód, przerzucamy karty wymuskanych, ręcznie barwionych drzeworytów i właśnie ją mamy! Taki strój dla panny młodej dyktowała moda w r. 1867. Wśród kobiet niby dzwony ona jest białym dzwonem, na który spływa lekki wodosпад welonu. I dziwi tylko to, że ten welon jest powściągliwszy od dzisiejszych. Dziś wlecze się on bez mała przez cały kościół. Ideałem dzisiejszej panny młodej byłoby mieć taki welon, żeby od ołtarza sięgał po wielkie drzwi. Tu welon spada równo z suknią, choć zdawać by się mogło, że nie współczesna utleniona kruszynka, lecz właśnie kobieta-dzwon z tamtych czasów dla tym większego uwydatnienia swej postaci wymagałaby welonu o wymiarach dzisiejszych.

Taki był „eksterier”, żeby użyć wytwornego wyrażenia francuskiego, które podchwyciła skwapliwie polska terminologia... weterynaryjna. Żurnal mód ukaże dokładnemu obserwatorowi szczegóły wiązania kokard, zdobienia szyi czy rękawów, upinania welonu, lecz nie pokaże nam żurnal mód, jakie było demonstrowanego modelu wnętrze intelektualne i emocjonalne. Bo panna młoda model 1867 mimo najzawziętszych wysiłków nie mogła nie myśleć w tak ważnej dla niej chwili, ani nie mogła nie przeżywać wzruszeń. Niestety, musiała, bo była żywą kobietą, nie zaś podbarwioną ilustracją z żurnala mód.

Trudno zaspokoić życzenie tych, którzy pragnęliby wiedzieć, co myślała podczas ślubu i wesela jakaś tam panna Marianna Pustogłowska. Panna Pustogłowska

mogła być lekkomyślną, do tego jednak stopnia, ażeby demonstrować swą lekkomyślność potomności, nie posunęła się, niestety. Pamiętników i obszernych listów nie pisała na pewno. Lubiła wysiłek mniejszy. Tym czasem kobieta, która się stanie posłanką tamtych dalekich czasów i opowie nam o tym, jaką była panna młoda model 1867, to kobieta o dużej kulturze towarzyskiej i dużym na owe czasy wykształceniu, arcyprzyjemna grafomanka, pisząca powieści dla rozerwania rodziny, niekiedy natchnienie kompozytorów i poetów niższej próby, no i przede wszystkim autorka wzruszającego naiwną szczerością pamiętniczka — o niepozornym tytule¹⁾, okupionym za to najwspanialszą dla miłośnika dawnego obyczaju treścią.

Gdybyśmy popytali naszych babek, czy prababek nawet (bo autorka, nazywana przez najbliższych Mizią, mogłaby chyba być już naszą prababką), to ani babki, ani prababki tym bardziej, nie umiałyby odmalować z taką bezpośredniością tych uczuć, które rozrzewniały im serca na ślubnym kobiercu. Tego, co one, doznawały tysiące kobiet, lecz tylko Mizia umiała to wyrazić, tylko jej jednej można wierzyć, ponieważ i babki, i prababki tym bardziej, dzisiaj mówiłyby o tym przez pryzmat swego długiego życia, gdy tym czasem Mizia zrobiła to bezpośrednio. Tak, to tylko ona może się stać posłanką tamtych dalekich czasów, tylko ona z własnych przeżyć może najlepiej zaprezentować pannę młodą model 1867, wobec tego...

MIZIA MA GŁOS:

Dnia 12 października, w sobotę, o godzinie 11-tej rano, w Kościele Panien Wizytek, przed wielkim ołtarzem, jak mówią, bo ja nic nie widziałam, rześcisto oświeconym i kwiatami przybranym, wzięłam ślub z najukochańszym moim Jasiem. Marynia Maciejowska, kuzynka pana Gutman, śliczna blondynka z czarnymi oczami, była starszą druhną, młodszą zaś Aleksandra Targowska, kuzynka Maryni Gutman. Miała być Brońcia Dąbrowska, ale umarła jej siostra, Anielka, więc ona w żałobie, a pani Paszkowicz na pierwszą wieść o jej chorobie wyjechała w Płockie i tak się zaziębiła, że już słaba była na moim ślubie. Brat Jasia, Ignacy, był starszym družbą, a Józef Essen, jego kuzyn, młodszym. Od ołtarza prowadzili nas: mój najlepszy wuj Masson i stryj Jasia, pan Gustaw Zieliński, poeta, autor „Kirgiza”, moja droga ciocia Masson i pani Paszkowicz, matka mojej ukochanej przyjaciółeczki, Maryni. Świadkowie: wuj Masson, który mi ojca zastępował, i stryj pana Jana, pan Piotr Zieliński. Osób było bardzo niewiele, księży dwóch, ten co nam ślub dawał (Jakubowski) i z Jasia parafii, rodzice pana Jana, jego brat rodzony i stryjeczny, pan Gustaw Zieliński i pan Piotr, stryjowie, i tylko jedna sio-

¹⁾ „Ważniejsze wypadki z życia Michaliny Karra, przez nią samą zebrane i spisane, i różne notatki, od najmłodszych lat aż do jej zamążpójścia”.

Pamiętniczek ten nie był do tej pory drukowany zupełnie, więc jest to pierwsza w ogóle publikacja fragmentu o ślubie i weselu — bezpośrednio z rękopisu. Ponieważ autorka pisze wszystko jednym ciągiem, dla przejrzystości wprowadzono podział na akapity, poprawiono starą pisownię na najnowszą i ujednostajniono znaki przestankowe. Poza tymi szczegółami tekst zachowuje się z całkowitą wiernością.

stra, Emilka, bo Jadwisia karmiąc córeczkę wyjechać nie mogła, a Marynia spodziewa się słabości. Zmartwiłam się tym mocno, a głównie że Jadwisi nie było. Tyle było osób z pana Jana strony, z mojej zaś kochana moja przyjaciółeczka Marynia Gutman z mężem, moje dwie druhny; Maryni siostra, Felka; brat, pan Kazimierz; i dobra, droga pani Paszkowicz. Żałowałam mocno, że Adaś Paszkowicz nie przybył, a przecież i jego Mama prosiła, bo pan Paszkowicz-ojciec, staruszek, nigdzie prawie nie bywa.

Ach, tego dnia nigdy nie zapomnę, a szczególnie chwili, gdy klękając z panem Janem prosiłam o błogosławieństwo mojej matki, wujostwa Masson, ciotki Mizi, rodziców Jasia i kochanej pani Paszkowicz, którą zupełnie do swej rodziny zaliczam. Wszyscy płakali. Wuj był blady ze wzruszenia, a ja... ja płakać nie mogłam... pomimo że żal ścisnął serce moje... Szłam do ołtarza z wybranym moim, a czułam wyrzut sumienia, że opuszczam dla obcego tych wszystkich, którzy mnie tak kochają i którym ja do śmierci poświęcić się powinnam za tę miłość, za to staranie, koło mnie łożone... Ach, jakże ja niewdzięczną jestem! Zostawiam ich samych... Kto im teraz zagra, kto zaśpiewa, kto rozmową zabawi, a Jaś czy mi zastąpi moją rodzinę, czy mnie tak jak oni kochać będzie? O, bo ja się nie zmienię, ukochałam go miłością pierwszą, miłością czystą i do grobu mu wierną pozostanę, lecz potrzebuję serca, serca...

Moja parafia była kościółek śś. Barbary, lecz że ja trochę przesadną jestem, a tenże jest na cmentarzu, uprosiłam Papeczki, żeby mój ślub był u Wizytek. Podaliśmy prośbę i w asystencji księdza od śś. Barbary rektor Jakubowski, którego i Papeczko znał, bo zasiadał razem z nim w Senacie, dawał nam ślub, a wesóło to staruszek. Nigdy nie zapomnę, co on mi w kościele przy ceremonii ślubnej powiedział. Przy wykonaniu przysięgi kazał mi na pana Jana patrzeć, lecz ja nie śmiałam. Co spojrzałam, to wzrok odwróciłam i patrzałam się na księdza. Wtedy on się uśmiechnął i rzekł: „Niech się pani na narzeczonego patrzy, bo pani ze mną ślubu nie bierze”. Zawstydiłam się okropnie i widocznie źle z panem Janem ręce sobie podałyśmy, bo nam poprawił. Marynia, dobry prorok, wszystko przewidziała na ślubie Jadwisi. Szłam od ołtarza z panem Janem, ale każde z nas osobno było prowadzone, tak jak ona powiedziała. Kościół był ludzi pełen, wszyscy prawie nasi znajomi byli obecni i ściekając mnie za ręce życzyli wszystkiego dobrego. Nawet był ów Janek Marchwicki.

Pod smutną jednak wróżbą poznałam pana Jana i pod smutną ślub brałam. Pocziwy, dobry mój nauczyciel muzyki, pan Ignacy Dobrzyński, nagle umarł i właśnie w dzień mego ślubu, o 4-tej po południu, były jego wyprowadziny z kościoła śś. Krzyża na Cmentarz Powązkowski. Pan Troschel wraz z artystami teatru miał na moim ślubie śpiewać „Veni Creator”, a tymczasem tegoż dnia było nabożeństwo żałobne za Dobrzyńskiego i wszyscy poszli mu śpiewać „Salve Regina”. Pocziwy pan Troschel jednak był z całą rodziną w kościele. Gdybym bardzo przesadną była, to hymn wyrzuciła, że życie moje to będzie ciągły smutek, ciągła żałoba, bo i Bóg dał nam bardzo przykrą pogodę, deszcz kropił i zimno było.

Śniadanie, jak wszyscy utrzymywali, było świetne i su-te, jakieś miały być znakomite likiery i wina, lecz ja nie jeść nie mogłam i nic nie wiem, co było. Widziałam tylko tort i tacę z eleganckimi cukrami od Loursa, ale to tylko dlatego, że przede mną stała. Pili nasze zdrowie, pan Gustaw Zieliński zrobił nawet wiersze na

moje oczy, które nazwał „łagodne a czarujące”²⁾. Zrazu znać, że poeta, bo to tylko poeci tak wszystko umieją idealizować. Po obiedzie oczepliły mnie mężatki i ubrałam się w podrózną suknię. Nie wiem, kto zaproponował, iż kładąc mi czepek każda mężatka ze swojej głowy szpilką mi takowy przypiąć powinna. Oby tylko moje życie nie było szpilkami najeżone!



Suknia ślubna na r. 1859, według współczesnego drzeworytu niemieckiego.

O 5-tej wieczór, po rozdzierającym rozstaniu z mamą moją, wujem, ciociami, panią Paszkowicz i jej rodziną, wyjechałam rozstawnymi końmi pocztowymi, a karetą pana Jana, do Ostrożenia. Papeczko zatelegrafował



Moda na karnawał 1867 r., według drzeworytu w „Kółku Domowym” ze stycznia tegoż roku.

²⁾ „Poezj Gustawa Zielińskiego” „wydanie zupełne, poprzedzone życiorysem, na podstawie listów poety skreślonym, i oceną jego działalności przez dra Piotra Chmielowskiego”, w żadnym ze swych dwu tomów nie mieści wiersza o oczach Mizi, wobec tego relacja jej byłaby jedyną wiadomością o niedochowanym w druku wierszu Zielińskiego. Ze względu na skąpość jego dzieła poetyckiego relacja przedstawiać może wartość nie do pogardzenia dla historyków literatury i dlatego trzeba tu było dać sygnał ostrzegawczy dla zwrócenia uwagi bodaj w formie krótkiego przypisku.

i wszędzie na nas czekały białe konie i pocztylion, „en galle” ubrany. Każdy też dostał rubla srebrnego.

Wracając z kościoła, pierwszy raz pan Jan wziął mnie w pól i mówiąc: „Teraz już można, Miziecčko”, ucałował mnie serdecznie i ja doprawdy sama sobie się dziwię, nie broniałam się wcale, tylko mu całusa oddałam. Przecież to mój mąż, więc już wolno. A jaki to przyjemny ten pierwszy pocałunek! Marynia i Jadwisia nie chcą wierzyć, żeśmy się przed ślubem nie całowali, ale one chyba żartują. Alboż to dobrze wychowana panna, chociażby najwięcej kochała, mogła się ścisnąć z obcym mężczyzną? A to by on zupełnie dla niej szacunek stracił i kto wie, czyby się nawet ożenił, boby stracił całą wiarę i zawsze by posądzał, że jak jego obcego całowała, to mogłaby i kogo innego. Męża to co innego, z tym się kryć nikt nie potrzebuje, bo to Kościół uświęcił i nikogo to nie zgorszy. Mnie się nawet zdaje, że te kradzione pocałunki to nawet nie muszą być bardzo miłe, ciągle się oglądać, czy kto nie podpatrzył. Najlepiej, jak my oboje, mieć przed Bogiem i ludźmi wzrok jasny, czoło pogodne i czyste sumienie.

O północy stanęliśmy w domu, służba nas już oczekiwała i przyjęła chlebem i solą. Kolacja była przygotowana, lecz ja nic jeść nie mogłam, tylko zaraz przez pocztyliona napisałam cztery listy: do wuja, mamy, cioci Masson i cioci Mizi, donosząc im, że zdrowo i szczęśliwie do domu przybyła, i dziękując im za wszystko. Wjazd do domu był lampami oświetlony, a chłopcy przyjeźli nas muzyką.

Już wiem teraz, co to jest być mężatką, a jednak sobie nie wierzę. O, trzeba bardzo, bardzo kochać, żeby znieść to wszystko, co Pan Bóg na nas biedne kobiety zsyła. Ja nawet o tym ani miałam wyobrażenia i, kto wie, czybym za mąż była wyszła wiedząc o wszystkim. Ach, Boże, Boże, daj teraz tylko, żebym była zdrowa, szczęśliwa i od męża kochana!

Zaraz nazajutrz pogodę mieliśmy śliczną.

Mama, ciocia Mizia i ojciec Zieliński nas dnia 26 października pierwszy raz odwiedzili, a wyjechali dnia 1-go listopada. Mama dała mi do zrozumienia, że coś źle jest z interesami męża mego, i ja to sama już widzę, bo coś na trzeci dzień przyszło kilku Żydów po swą należność za jakieś tam żyto, co mąż oddać nie mógł. Widziałam Jasia mego bardzo zmartwionego i zaraz oddałam mu rs. ³⁾ 750, które Papeczko dał mi na szpilki, żebym zaraz męża mego nie prosiła o pieniądze. Paulinka przed ślubem kazała dać panu Janowi jakikolwiek mnie pieniądze, żebym nigdy bez grosza nie była, a ja widzę, że mi się pieniądze pomimo tego trzymać nie chce. ⁴⁾

W parę dni po ślubie zaraz za pierwszą bytnością w kościele, ksiądz gończycki, Truszkowski, udzielił nam błogosławieństwa, a rozpatrzywszy się w moim gospodarstwie, napisałam list do Maryni i cztery do mojej rodziny, dziękując jej za wszystko i donosząc, że jestem szczęśliwa. Mama jednak zaraz za widzeniem się zrobiła mi uwagę, że nie powinnam była do Papeczki napisać: „Je suis contente de ma nouvelle position” ⁵⁾, bo żeby to pa-

³⁾ Zrozumiały kiedyś dla wszystkich skrót słów „rubli srebrnych”.

⁴⁾ Następujący po tym zdaniu fragment o sprawach posagowych, jako nie wiążący się specjalnie ze ślubem i weselem, zostaje opuszczony.

⁵⁾ „Jestem zadowolona z mojego nowego położenia.”

nowie schwyłali, to by się śmieli. Z czego? Mój Boże, czyż ja co złego myślałam? Przecież jestem szczęśliwą, bo mam dobrego męża, którego kocham, czyżby to kogo zadziwić miało?

DOPOWIEDZENIE Z ŁEZKĄ

Nie ma w pamiętniczku Mizi odpowiedzi na te wątpliwości. To ostatnie słowa, bo reszta kart (aż dwadzieścia cztery na sześćdziesiąt osiem dochowanych) została wycięta. Zostały w pamiętniczku chwile jasne i piękne, ocalała ledwie zapowiedź dni chmurnych, ale te dni przyszły, chociaż nie takie życie pragnęłoby się widzieć po takiej młodości.

Nie uśmiechnął się Mizi los, nie dało jej ukojenia pisanie pamiętniczka, przyszła ruina majątkowa, z nią powolny ale stały spadek w pozycji towarzyskiej, rozszalała się wojna z niemieckimi rekwizycjami (od których chroni czasami pokazywanie wysokich odznaczeń pruskich Aleksandra Massona), niedługie ukojenie zapewnia wódka (którą nie wstająca już staruszka kazała sobie pokryjomu przynosić do łóżka) i dopiero jedna śmierć, zesłała wreszcie ukojenie temu sercu, tak dobremu i czułemu sercu

Nie ma kropki po tych słowach, bo w tym miejscu na kartkę rękopisu spadła szczerza ła współczucia.

Pod protektorem

JEM. KS. KARDYNAŁA HLONDA, PRYMASA POLSKI,
URZĄDZA NACZELNY INSTYTUT AKCJI KATOLICKIEJ W POLSCE

JEDYNĄ OFICJALNĄ PIELGRZYMKĘ

na XXXIV Międzynarodowy
Kongres Eucharystyczny w Budapeszcie

w czasie od 23 do 30 maja 1938 r.

Koszt udziału w pielgrzymce wynosi od zł 128.-

Techniczną organizację pielgrzymki przeprowadza w łącznie:

POLSKIE BIURO
PODRÓŻY „ORBIS”

Zapisy przyjmują:

AKCJE KATOLICKIE oraz następujące placówki „ORBISU”: WARSZAWA, Ossolińskich 8 — Marszałkowska 98 — Al. Jerozolimskie 39, POZNAŃ, BYDGOSZCZ, Dworcowa 2, CZĘSTOCHOWA, GDYNIA, KATOWICE, KRAKÓW, Rynek 11, KRYNICA, LWÓW, Plac Mariacki 5, ŁÓDŹ, Piotrkowska 65, TORUŃ, WILNO, ZAKOPANE, GDAŃSK, Stadtgraben 7, INOWROCŁAW, Król. Jadwigi 15, LESZNO, Rynek 2, LUBLIN, OSTRÓW WLKP., Piłsudskiego 10, WŁOCŁAWEK, Kościuszki 4.

DINOL płyn — przy poceniu pach
proszek — przy poceniu nóg **OD POTU**

Cerę wypielegnowaną, ręce delikatne
opalenizną cudowną daje biolog. **krem CZARODZIEJ**

ALBRECHT DÜRER JAKO FORTYFIKATOR

W czasie wojny światowej i w latach ostatnich pojawiła się w Niemczech obfita literatura, dotycząca teoretycznych projektów i pomysłów fortyfikacyjnych Albrechta Dürera.

Ambicje narodowe skierowały autorów tych publikacji na tory wręcz fałszywe, spowodowały, że projekty Dürera, ich znaczenie dla rozwoju fortyfikacji, wyolbrzymiono do rozmiarów nie posiadających wspólnego z ich istotną wartością.

Genialny rysownik i malarz, jako teoretyk budownictwa wojskowego i wojennego, Albrecht Dürer był dyletantem, wrażliwie reagującym na wzory, z którymi zapoznał się we Włoszech i Niderlandach. W pracach, o których wspomnieliśmy na wstępie, ta zależność Dürera od oddziaływań i wzorów obcych jest starannie zatarta.

Dürer żył w czasach, w których powszechnie obudziła się świadomość, że dotychczasowy system fortyfikacyjny, oparty o tradycje średniowiecza, należy już do bezpowrotnej przeszłości.

Linie obronne miast średniowiecznych tworzyły mury obwodowe, opasujące miasto pojedynczym lub podwójnym pierścieniem.

Przestrzeń, zamknięta murami obwodowymi, otrzymała u nas niemiecką nazwę zwingeru.

Był to rodzaj placu broni, miejsce skupienia większych rezerw.

Mur zewnętrzny był zawsze niższy, a przez to obie linie obronne mogły brać równocześnie udział w walce.

Suchy lub nawodniony rów otaczał mur zewnętrzny, biegnąc równoległe do linii obronnej.

Na obwodzie murów wznosiły się wieże i bramy, równające się pod względem wysokości — zazwyczaj po-

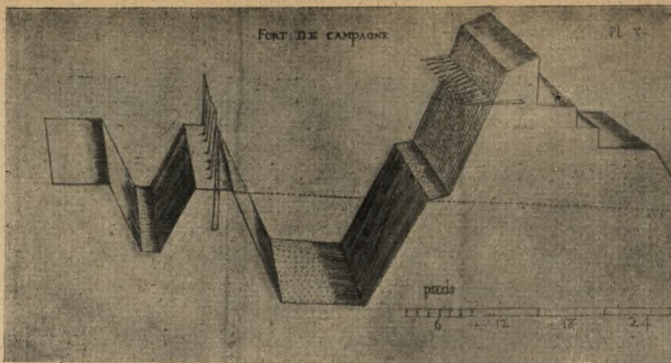
Gdańsk. Brama miejska przy Langegasse od strony miasta.



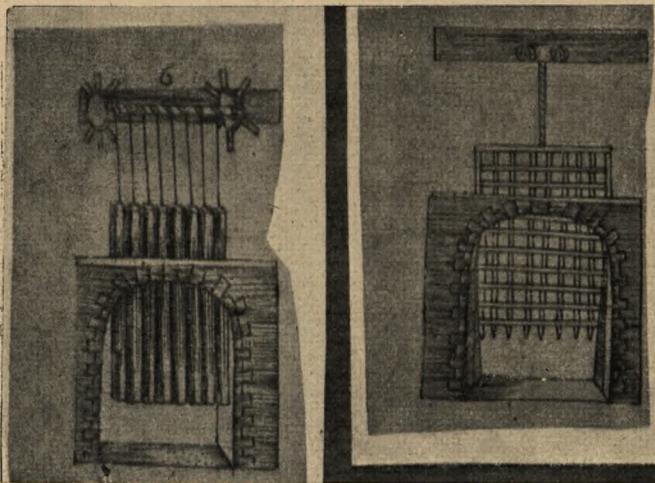
Gdańsk. Cztery bramy fortyfikacyjne przy Langegasse, po zniesieniu wałów miejskich.



Gdańsk. Zniesiona już obecnie linia obronna miasta. Na prawo widać zachowane dotąd cztery bramy przy Langegasse.



Szemat rowów fortyfikacyjnych z XVII wieku, opatrzonych przeszkodami w formie żelaznych palisad.



Brony, służące do zamykania bram fortecznych. Gdańsk. System obrony wejścia do miasta od ul. Lungegasse.



dwójnej wyniosłości murów, zbudowane na planie koła lub prostokąta, podzielone wewnątrz na kilka pięter.

Przyczyny, które wpłynęły na przekształcenie systemu fortyfikacyjnego były wszędzie te same; dyktowało je doskonalenie się środków ataku, tj. broni palnej.

Na skutek rozwoju artylerii w wieku XV zmienił się całkowicie stosunek atakującego do broniącego się, na niekorzyść ostatniego.

Poczęto więc na gwałt szukać nowych sposobów, nowych systemów, które by przywróciły równowagę pomiędzy siłami i środkami ataku a obrony.

„Ponieważ obecnie artyleria — pisał Leonardo da Vinci — zyskała o trzy czwarte na sile, przeto konieczną jest rzeczą wzmocnić odporność murów również o trzy czwarte”.

Pierwszym, niejako odruchem, było powiększenie grubości, a przez to i odporności murów.

Był to jednak środek bardzo kosztowny i na dalszą metę — zawodny.

Największą trudność przedstawiało rozmieszczenie artylerii. Chodnik na murach obwodowych był o wiele za wąski, nie przystosowany do ułożenia dział.

Tę samą wadę posiadały wieże i bramy.

Trzeba więc było przede wszystkim wzmocnić załony, uodpornić je na działanie ognia artyleryjskiego, obniżyć wysokość murów, stworzyć odpowiednie stanowiska dla dział i przeprowadzić obronę rowu, martwej w systemie średniowiecznym przeszkody, której ogień ze szczytów murów nie mógł dostatecznie osłonić.

W tym to okresie przejściowym, najżywszy ruch, zarówno w dziedzinie teorii jak i praktyki, obudził się we Włoszech.

Tak np. w r. 1509 Padwa otrzymała nowe umocnienia, a w trzy lata później ufortyfikowano odpowiednio do wymagań chwili — Ferrarę.

Z tegoż czasu pochodzą umocnienia Perugii, cytadele w Anconie i Castello San Angelo w Rzymie.

W r. 1525 San Michele wznosił nowe umocnienia Werony, stanowiące już wyraźne przejście od średniowiecznego systemu fortyfikacyjnego do nowożytnego frontu bastionowego.

W czasie, w którym Dürer pisał swe dzieło o fortyfikacji, pracowali we Włoszech wybitni inżynierowie wojskowi: San Michele, Peruzzi, Michał Anioł, Giovanni Battista da San Gallo.

Nieprzyjaciel z zasady kierował atak nie na wieże i silnie ubezpieczone bramy, ale na kurtyny, tj. odcinki frontu, łączące poszczególne baszty i bramy. Dlatego też wcześniej wyłoniły się projekty, zmierzające do zabezpieczenia kurtyn.

Problemem tym zajmował się głośny inżynier hiszpański Don Ramirez, twórca umocnień zamku Salsas (1497) oraz Leonardo da Vinci.

Leonardo projektował zabezpieczenie kurtyn przy pomocy umocnień zewnętrznych, usypanych w formie półkola lub trójkąta przed odcinkami starej linii obronnej. Zadaniem tego rodzaju umocnień zewnętrznych było nie tylko zabezpieczenie kurtyn.

Umocnienia te regulowały także ekonomię ognia, pozwalały na jego szersze wykorzystanie.

Linia zewnętrzna broniła bowiem rowu i posiadała należyłą osłonę w ogniu dział, pomieszczonych na kurtynie.

Pomysł Leonarda da Vinci ujął w sposób ściśle fachowy inżynier Francesco Giorgio Martini, twórca fortyfikacji na wybrzeżu Apulii, autor „Trattato di architettura civile e militare”.

Martini kładł duży nacisk na drobnych rozmiarów samoistne umocnienia zewnętrzne, przeznaczone do obrony rowu (capanati).

Zarówno Martini jak i Michał Anioł zmierzali do skrócenia kurtyn i stworzenia wielkich skupień artyleryjskich, w formie potężnych baterij flankujących, tzw. bolwerków.

Najstarsze bolwerki nie były murowane, ale wznoszono je doraźnie z ziemi, przy użyciu belek i desek.

O Michała Anioła oparł się Nicolo Macchiavelli w swej pracy, wydanej w r. 1521 pt. „Libro dell'arte della guerra”.

Jednym z momentów, który spowodował daleko idący przewrót w dziedzinie fortyfikacji była kwestia odpowiedniego wykorzystania ognia krzyżowego dla celów obrony.

Zastosowanie tego rodzaju ognia było możliwe jedynie przy pewnym ustosunkowaniu wzajemnym poszczególnych odcinków frontu, umożliwiającym współdziałanie w walce.

Pierwsi, właśnie Włosi, ustalili zasadę, że pewna część murów musi bronić części sąsiednie frontu. Dlatego też unikali oni zarysów okrągłych, uniemożliwiających współdziałanie odcinków linii obronnej.

Zasadniczy postęp w dziedzinie fortyfikacji stanowił traktat Antonia Averlino (Filarete), wydany w latach 1451 — 1464.

Nieskrystalizowanym dostatecznie pomysłem i projektem ukształtowania frontu, nadał Averlino formę konkretną, nową.

Jego linia obronna posiada kształt ośmiobocznej gwiazdy, a więc formę umożliwiającą szerokie stosowanie ognia krzyżowego.

Tam, gdzie w tych przełomowych czasach — warunki finansowe nie pozwalały na wznoszenie nowych fortyfikacji — przeprowadzano modernizację umocnień dawnych w następujący sposób:

Równoległe do starej linii obronnej wznoszono nowe umocnienia z ziemi, sypiąc je albo przed dawnymi murami, lub też bezpośrednio za nimi.

Tak np. Padwa otrzymała w r. 1509 nową linię obronną w formie wałów, biegnących od strony wewnętrznej, tj. za starymi murami.

Rowy, obiegające linie obronne, były suche lub nawodnione. Kwestia wyższości jednego rodzaju fosy nad drugą była przedmiotem licznych rozważań teoretycznych.

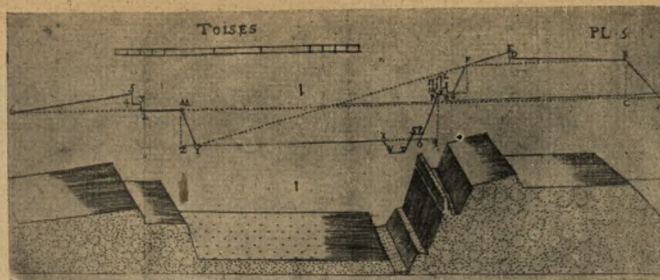
Rów suchy pozwalał na wprowadzenie umocnień, podnoszących jego wartość jako przeszkody. Umocnienia te tworzyły tzw. kaponiery. Były to samoistne forty, małych rozmiarów, wznoszone na dnie rowu, na planie koła lub kwadratu.

Po raz pierwszy zastosowano tego rodzaju umocnienia w r. 1430, podczas oblężenia Compiègne.

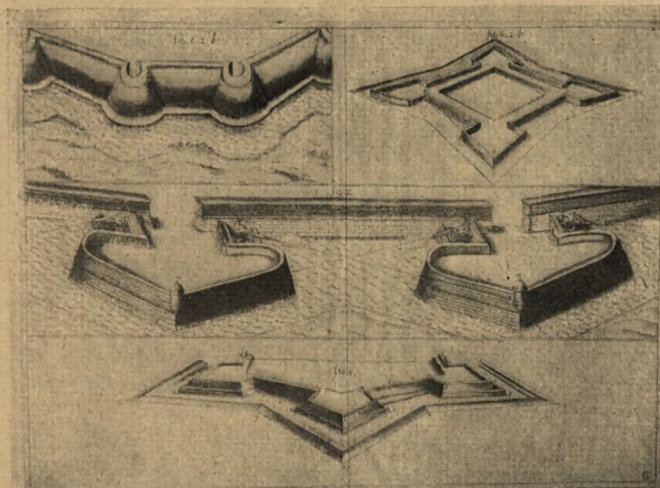
Rowu nawodnionego bronił wał lub palisada, opatrzona w strzelnice, biegnąca tuż nad jego brzegiem od strony miasta.

Zasady, na których Dürer oparł swój system fortyfikacyjny, wskazują wyraźnie na całkowitą zależność od wzorów włoskich:

- 1) Zasadniczą formę frontu tworzy koło lub wielobok.
- 2) Samodzielne umocnienia bronią rowów (kaponiery).
- 3) Wielkie kazamaty sklepione, wzmocnione na linii obronnej, zabezpieczają magazyny i rezerwy od ognia atakującego.
- 4) Poszczególne odcinki frontu posiadają charakter umocnień samoistnych.



Szemat rowu fortyfikacyjnego z XVII w.



Ogólny szemat frontu bastionowego i ukształtowanie jego narożników. Rysunek z okresu wczesnego frontu bastionowego.



Gdańsk. Fortyfikacje broniące dostępu do bramy miejskiej przy ulicy Langegasse.

Skłonność Dürera do zarysów okrągłych, była rezultatem ciężenia tradycji średniowiecznej, pomimo, że w praktyce zarysy te zawodziły, były przyczyną powstania tzw. punktów martwych, tj. przestrzeni na przedpolu twierdzy, której pociski obrony nie mogły dosięgnąć.

Bolwerki Dürera były to samoistne forty, niezależne od sąsiednich odcinków, zaopatrzone w magazyny, posiadające szereg ubikacyj mieszkalnych i komór na działa.

Dürer przejął bolwerki z fortyfikacji włoskiej, nie zdając sobie jasno sprawy z ich właściwego znaczenia i celu.

We Włoszech bolwerki tworzyły potężne odcinki flankujące, podporządkowane więc były całości linii obronnej, posiadają ściśle określone zadania.

Natomiast u Dürera związek bolwerków z całością systemu obrony uzewnętrznia się bardzo słabo.

Projektowana na planie koła tzw. „clausa” Dürera — wykazuje charakter fortu zaporowego, posiadającego większą ilość dział na krótkim froncie. Środek fortu zajmuje podwórze okrągłe. Wokoło wznoszą się potężne kazamaty sklepione. Płaski ich dach służy za platformę dla dział.

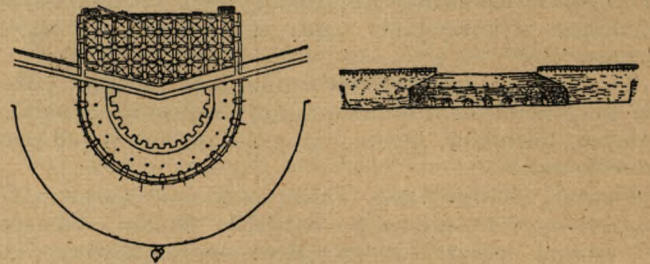
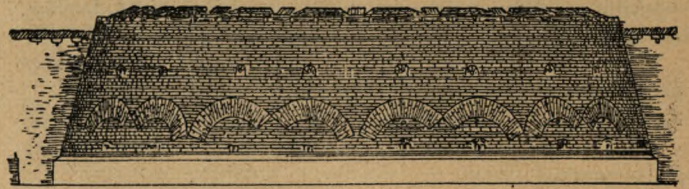
I tutaj Dürer nie był samodzielny, nie stworzył nic nowego. Jego bowiem „clausa” jest to powtórzenie planów Don Ramireza, jego zamku w Salsas.

Praca A. Dürera ukazała się w druku w Norymberdze w r. 1527 pt. „Etliche underricht zu befestigung der statt, schloss und flecken”.

Kosztowne bardzo a wątpliwej wartości projekty Dürera pozostały zawsze teorią.

Żadne miasto niemieckie nie pokwapiło się realizować pomysłów wielkiego artysty, ale dyletanta w dziedzinie sztuki fortyfikacyjnej.

Książka Dürera o fortyfikacji była wyrazem powszechnego niepokoju, wywołanego w tej epoce przełomu, zachwianiem się równowagi pomiędzy środkami obrony i ataku.



Albrecht Dürer: Plan bolwerku.

Praca ta była echem wpływów i oddziaływań włoskich, rezultatem promieniowania geniuszu Italii. Faktu tego nie zmienia mozolne a bezcelowe, bo nieprzekonywujące wypracowania publicystów niemieckich.



Brama floriańska w Krakowie. Przed nią (na prawo) widoczna jest część barbakanu.



Albrecht Dürer: Pożegnanie Najśw. Maryi Panny z Chrystusem. W głębi widać, tak typową dla fortyfikacyjnych pomysłów Dürera — „clausę”. Drzeworyt.

POWRÓT

Człap, człap... Chrup, chrup...

Ciężko stąpają nogi w wołokowych butach, nogi owinięte szmatami.

Człap, człap... Chrup, chrup...

Za wiotki przegub drobnej rączki, poniżej wielkiej, szmacianej rękawicy, trzyma czerwona od mrozu dłoń. Piętnastoletnia dziewczyna prowadzi sześciolatniego chłopca. Przekopują się dwie szare kukły przez śnieżną toń. Za nimi ślizgają się dwa przekorne, nieustępliwe cienie. Ślizgają się po zaspach śnieżnych i łamią się na ich grzbietach i nurkują w lejach. Księżyc ucieka przed chmurami. A chmurom w gonitwie przyświecają gwiazdy. Mrugają, śmieją się.

Człap, człap... Chrup, chrup...

Za nimi śnieg, wokoło śnieg, a przed nimi ten — czerwony ślep.

— Jasiu, możesz jeszcze?

— Mo - gę...

— Bo jeżeli nie, to cię poniosę?

— A daleko jeszcze?

— Tam, do tego czerwonego światła.

— A co tam?

— Chata, a w niej ludzie.

— I będzie piec?

— Zimno ci, Jasiu?

— Nie, ale czy piec będzie?

— Będzie...

— To dobrze, że będzie piec.

Człap, człap... Chrup, chrup...

Chwilami zapadają po kolana, to znów wdeptują się w wykopany głęboki ślad. Czerwona ręka ciągnie mniejszą kukłę.

— I co będzie jeszcze?

— Chleb.

— To dobrze, że będzie chleb.

— Czy głodny jesteś, Jasiu?

— Nie... A dla kogo tam będzie chleb?

— Tam jest chleb dla wszystkich.

— Pięć, czy dziesięć?

— Duża, duża góra chleba i kołaczki i twaróg.

— Twaróg? A czy ja będę jadł twaróg, Stefciu?

— Zaczekaj, Jasiu. Dojdziemy — tam.

— A daleko jeszcze?

— Patrz, tam, gdzie to czerwone światło...

Chrup, chrup...

— A dlaczego czerwone?...

Nagłym szarpnięciem urwała dziewczyna głos chłopca.

— Cicho! Kucaj, Jasiu, kucaj tu koło Stefci. I... cicho. Tak.

Szare kukły padają w śnieg. Cienie zatrzymują się obok. Nieruchomieją na warcie. Po ciszy stąpa dźwięk. Jeden, jedyny mocny dźwięk.

Chrup, chrup... chrup, chrup...

To nie dzieci już idą. Dzieci siedzą w śniegu. Chodzi wielki chłop w barankowej czapie, owiniętej baszłykiem. Na ramieniu ma karabin. Przechodzi woprzek kopnego śniegu, na którym przymarły w strachu dzieci.

— Kto to? — pyta cicho Jaś.

— To żołnierz — na ucho szeptem Stefka.

— Ojej... boje się...

— Cicho, Jasiu. On zaraz przejdzie. Wtedy pój-

dziemy dalej do tego czerwonego światła. A teraz wypocznij sobie trochę.

— Kiedy ja już wypocząłem, Stefciu.

Dziewczyna położyła zimną dłoń na ustach chłopca. Z ust buchało ciepło. Jakież gorące Jaś ma usta! Owinięty szmatami, workami; w butach ma papier, na piersiach papier, na plecach papier... Nie zmarznie... Jak to dobrze, że przynieśli tyle papieru do tej chaty, gdzie spędzili wczorajszą noc.

Stefka знаła te zadrukowane kartki i broszurki, które rozrzucono wszędzie i dawano wszystkim — kto chciał i umiał czytać. Czytać wprawdzie nie umiała, ale ludzie czytali często w głos, więc przysłuchiwała się. Jedne kartki nawoływały do oddawania zboża komitetom, ale chłopci palili je, a zboże chowali. Inne zapewniały, że za oddane zboże chłopskie robotnik fabryczny da ubranie i buty i statki wszelkie, ale i te kartki chłopci palili i obywali się bez ubrania, obuwia i statków. Ze lnu i konopi sami szyli sobie odzież; na jesieni zabijali barany i robili kozuchy na zimę; obuwie — sporządzali z wełny i łyka. Statków innych po wsiach nie mieli, jak te z gliny. Z gliny łatwo zrobić garnek. To znów były broszurki mówiące o tym, że hen na Zachodzie żyją ludzie biedni w niewoli bogaczy, że nie mają co jeść i w co się ubrać, bo nie masz tam komitetów rządzących podziałem wszelkiego dobra. I te kartki po przeczytaniu chłopci palili. A po cichu opowiadali dziwy o tamtych krajach: że tam słońce stale świeci, że tam zboża pełne pola i pełne gumna, że tam ludzie nie znają głodu i ubierają się jak żołnierze i jak komisarze. Słuchając tych wieści, szła Stefka z dalekiej Syberii już przez kilka lat. Szła od tej wiosny, kiedy umarła jej dobra Marta Kopeciowa. Wzięła Stefka Jasia na rękę i szła. Bo Kopeciowa powiedziała: — Pójdiesz przez stepy i lasy, i góry, i sioła, i miasta, aż dojdiesz tam do naszych pól i miast... Rozumiesz, Stefciu, do naszych? Tam czekają na ciebie mamusia twoja i twój tatuś. I będzie ci dobrze u nich, jak wtedy, kiedy wszyscy byliśmy razem. Pamiętasz, pamiętasz?... Pamiętała jeno biały sad, a w sadzie biały koc, a na kocu białą kobietę, a nad kocem białego, dużego mężczyznę. I sama była biała i białe trzymała w ustach kółko. To same kościane kółko, które ma i teraz na czerwonej ręce... Urosła... Kółko już nie zejdzie — za male. Chyba żeby rozpiłować — kpiły spotkane dzieci, ciągnąc ją za to kółko. Ale Marta Kopeciowa nie pozwoliła rozpiłować... — To znak, to twój znak, po tym cię poznają, gdy do nich dojdiesz. — I prosiła: — Weź, Stefciu, ze sobą Jasia... I umarła... Nie pamięta, ile to zim, ile lat tułała się po stepach, gościńcach i siołach, zdążając ciągle do kraju, o którym opowiadano takie dziwy, że tam każde dziecko ma ojca i matkę i własną izbę, że tam dzieci nie sypiają w stogach i lasach, w rowach i kanałach, i pod mostami w miastach. Słuchała żarliwie wszystkich wieści po drodze. Jakże ciężko było przedostać się tam. Krążyła po miastach i drogach polnych, traciła nadzieję i znów wierzyła. Przyłączała się do band dziatwy tułającej się po lasach i tłumnie nawiedzającej miasta. Spełniała wszystkie posługi, byleby zarobić na życie dla siebie i dla Jasia. Początkowo nosiła Jasia w płachcie owiązanej naokoło pleców. Jaś rósł, nauczył się mówić i chodzić, nauczył się pomagać jej, kiedy zbierała po lasach poziomki i jagody, i mali-

ny, i grzyby, i zioła różne. I nauczył się wślizgiwać do śmietników i rozróżnić w nich blachę od szkła i szmaty od papieru.

I tak wciąż dalej i dalej szli od wsi do wsi, mijali miasta — aż przyszli tu. Chłopi pokazywali Stefci. widniejące w oddali domki.

— To tam — mówili — mieszkają ci ludzie, którzy piją co dzień mleko i jedzą kołaczki... i mają i sól, i cukier, i śledzie. I wszyscy mówią po twojemu, dziewczyno.

Stefkę aż zatykało z podziwu: — więc to już tam?!

To tam — mówiły kartki papieru, mieszkają ci biedni ludzie, którym nasi dzielni żołnierze nie pozwalają wejść do naszych wsi i ograbić nas.

To tam — powtarzała w duchu słyszane kiedyś od Kopeciowej słowa — żyją ci nasi...

Stefkę ciągnęło ku tym ludziom i bała się ich, bała się ich więcej teraz, kiedy tu już przysła, niż tam, w stepach Syberii, kiedy była od nich tak daleko. Nie wiadomo też, czy odważyłaby się pójść tam na drugą, nieznaną stronę, gdyby nie głód. We wsi od chwili przyjscia żołnierzy nie było chleba. Nie było nic. Żołnierze pilnowali, szukali, ale naprawdę nie było nic. Noc w noc znikano kilku ludzi ze wsi. Mówiono po cichu, że uciekali na tamtą stronę. Inni twierdzili, że ich wywożono hen do Moskwy, aby zmusić baby do wydania zboża. Ten i ów ukradkiem pokazywał czasem mogiły zaginionych. Było źle, coraz głodniej i chłodniej. Ludzie stali się nieczuli. Jedli pokryjomu — chciwie, jak wilki. Jedli wszystko. Czasami przynoszono chleb i kartofle z tamtej strony.

Aż wreszcie któryś z wieśniaków rzek do Stefci:

— Idź, dziewczyno, tam do nich, bo tu zginiesz z tym małym.

— Ale idź nocą, uważaj. Żołnierze stoją na granicy i czuwają. Mogą strzelać, gdy was zobaczą. Bo różni tędy przechodzą ludzie.

I wreszcie powiedziano wyraźnie: — Idź dziś, bo dziś jest noc, w której czekają przyjscia swoich zaginionych... Dziś tam wielkie święto. Nie sowieckie, nowe święto, ale święto ich — stare...

Nauczyli ją, jak ma przejść, pokazywali ścieżkę, wyprowadzili nocą za wieś i wskazali czerwony ślep.

— Oto Polska — wskazywali tajemniczo jedni.

— Jedna gęba mniej — myśleli drudzy.

Wtedy jakoś dziwnie osłabło jej serce, jedno bowiem tylko wiedziała, że mowa jej jest inna, niż mowa tych ludzi, wśród których tyle lat żyła, że mowa ta była czymś jej własnym — była mową, którą porozumiewała się tylko z Jasiem. Ktoś, słysząc ją kiedyś rozmawiającą z Jasiem, nazwał ją Polką. I nagle poczuła do tego człowieka sympatię, choć ją kopnął jednocześnie i wyrzucił ze swojej chaty.

— Jeżeli tam, gdzie to czerwone światło, są Polacy — powtarzała z wiarą — to chyba skończy się nasz głód i ból... I przytuliła czule Jasia.

Kroki żołnierza już ucichły. Poszedł dalej, obchodząc linię graniczną.

— Jasiu, chodź — szepnęła, porywając się nagle z miejsca.

— A żołnierz poszedł sobie?

— Poszedł. Ale bądź cicho.

— Będę już cicho, Stefciu, kiedy poszedł sobie.

Ruszyli dalej — wprost na czerwony ślep, ponad którym skrzyły się gwiazdy.

Chrup, chrup... Człap, człap...

Ciężko. Stają, rozglądają się. Stefka ma oczy bystre, ale nie widzi nic, tylko ten czerwony ślep coraz

bliżej. Więc mocniej ciągnie Jasia. Opatulony Jaś nie widzi nic; czapka zsunęła mu się na nos. Boi się. Drży.

— Zimno ci, Jasiu?

— Nie, Stefciu. Ale... boję się.

— Nie bój się, Jasiu... Zaraz będzie ciepły piec i dużo, dużo kołaczy. I będzie tatuś i mamusia...

— Tatuś? Kto to?

— Kto... ojciec.

— A co to ojciec?

Jak to wytłumaczyć Jasiowi? Stefka wiedziała tylko, że z ojca i z matki śmiać się należy. — Niepotrzebni — mówiły dzieci, z którymi wędrowała przez stepy i lasy, z którymi ukrywała się w kanałach miejskich i podmiejskich dołach po kartoflach.

Tatuś, to duży człowiek.

— Duży? To się boje.

— Nie bój się, Jasiu, bo mamusia nie da cię bić.

— Mamusia? Jaka mamusia? — szepnęła lekliwie Jaś.

— Mamusia? — powtórzyła Stefka i łza spłynęła spod jej powieki. Otarła ją szmatą. Reszta zamarzała na policzku. — Mamusia, to... tak jak ja.

— To dobrze, Stefciu... Ja już chcę mamusi — i z trudem wyrwał spod czapki w górę.

Chrup, chrup... Człap, człap...

Toczą się, przekopują się przez grzaski śnieg dwie szare kukły.

— Kto tam?

A dzieci chyłkiem naprzód.

— Stój!

A dzieci dalej, dalej, jak zające.

Huk strzału: raz — dwa — trzy... Raz — dwa — trzy...

Stefka znalazła strzały. Małoż to razy polowano już na dzieci, gdy zbliżały się ich głodne bandy do miasta, gdy napadały wagony kolejowe, gdy jak szczury wdierały się nocą na bazy i, gdy wychodząc stadami z lasów, jak szarańcza niszczyły obsiane pola. Więc Stefka klapnęła w śnieg — jak długa. Zachwiał się Jaś, upadł na kolana i, szarpnięty czerwoną ręką, ugrzązł obok, jak kamień.

— Cicho, Jasiu — szepnęła nad nim.

Cisza. Z nieba spadają srebrne płatki. Drobnutkie jak szkiełka lśniące. I przysłaniają kurzawą księżyc. Stefka słucha.

— Jasiu?

— Boli...

— Jasiu?!

— Boli...

— Co ci, Jasiu?! Jasiu mój, pokaż!

Spod śniegu wyrasta wielka, czarna postać.

— Wy kto?

— To ja, a to mój...

— Kto ty?

— To wy strzelaliście?

— Milcz. Odpowiadaj, kto ty?

— Ja chciałam tam — wskazuje Stefka na mętniejący czerwony ślep — ale Jaś... — pochyliła się nad chłopcem, odwraca go twarzą.

— No, tam... nie trzeba. Ot i masz — tam! A ty czegoś tam chciała?

— Bo tam mówią po naszymu...

— A ty kto? Polka?

— Tak... a on też polski... Jaś... To my do swoich, towarzyszu.

— Ludzie wszędzie jednakowi. A dzieciom zarówno, jak mówią.

— Nam mówili, że jesteśmy polskie dzieci.
— Et, co tam mówili. Dziecko jest dziecko. — Nie ma napisane, jakie jest. Odwykniesz. Będziesz so-
wieckie dziecko.

— To nie pozwolicie nam iść tam?

— No, ruszaj, ty! I marsz z powrotem!

Szturchnął dziewczynę butem, kolbą poprawił w plecy.

Jaś leżał ciężko, Stefka pochylała się nad nim.

Cisza. Jaś nie wstaje, nie odpowiada.

— Jasiu?

— No, co on, twój Jaś?

Stefka podnosi chłopca, potrząsa nim — jakby unosiła ciężki wałtuch waty.

— Jaaasiu!

Księżyc spojrział w bladą twarz chłopca, a po niej wije się czerwona wąska nitka... Kap, kap, kap...

— Zabiliście Jasia! Patrzenie, to krew!

— Et, com miał go zabić? Rozbił się dzieciak. Zawinięsz — przejdzie.

Ale Stefka nie słuchała, nie wierzyła.

— Co ja teraz zrobię bez Jasia?...

Kucnęła, przytuliła chłopca, płacze, zawodzi.

— Jasiu, mój Jasiu, odezwij się, Jasiu... Żyjesz?

— Będzie dosyć tego krzyku! Tu nie można.

— A dokąd ja z nim teraz pójdę? Ratujcie... Patrzenie, nie rusza się, nie mówi... A tak mówił pięknie — prosił o chleb, o ciepły piec.

— No tak cóż... idź teraz z nim tam... A może tam będzie i piec i chleb... Teraz można. Wiadomo — teraz można. — Tam?... Jak ja pójdę tam? A Jaś?

— Nu, Jasia bierz ze sobą. Na co on tu? Nam tu twój Jaś niepotrzebny, a tam może się przydać. No, ty, przedziej! Ja tu czasa dla ciebie nie mam. Idę dalej, a przyjdę, żeby cię tu już nie było. Bo wtedy zabiję. Naprawdę zabiję — oboje.

Odszedł. Wsiąknął od razu w srebrzystą, wirującą zamieć. Stefka uniosła się. Dźwignęła chłopca, ciężki był i nieporęczny było go nieść. Łzy marzły jej na policzkach, a na twarzy Jasia ścinała się sącząca krew. Oparła go o zaspę śnieżną i przewiązała szmatą krwawiące czoło.

— Stój, Jasiu mój... Stój, chłopczyku... Ja ci przewiążę to... A potem poniosę, poniosę Jasia tam. A gdy przyjdziemy, to już będzie ciepły piec i kołaczki i twaróg. I wszystko będzie, Jasiu mój, bo teraz już możemy tam iść.

Dźwignęła go oburącz i poczłapała naprzód.

Chrup, chrup... chrup, chrup...

Ciężko człapie podwójna, szara kukła przez kopny śnieg. A z nieba sypie srebrny pył. Pęcznieje, zmienia się w gwiazdki, płatki, gęstnieje sypiący śnieg, gęstnieje, mrocznieje przestrzeń. Zacierają się gwiazdne niebo, nikt nie księżyc, w szarą biel wsiąkają gwiazdy.

Nic — tylko ten lepki, ciężki śnieg. Zasypał, zadymił czerwony ślep. Chrup, chrup... chrup, chrup...

Przystaje Stefka, odpoczywa, dech łapie i pcha się dalej przez śnieg, niby przez gęsty, oporny i nieczystliwy tłum.

Nogi uginają się pod Stefka, na wojłokowych butach — lepkie kule śniegu, coraz większe, coraz cięższe. Zatacza się. Na szmatach śnieg, na głowie śnieg, Jasia przykrył śnieg. Czerwony ślep zasłonił śnieg. Śnieg zasłonił cały świat.

Człap — stop. Człap — stop. Człap...

Siadła. Ciężko przebrnąć przez zaspę, ani sposób przebrnąć. A za nią przecież czerwony ślep.. Za nią polska mowa. Opowiadała Marta Kopeciova, że hen

za Sowiecami na Zachodzie — Polska i Polacy i tyle mówiła jeszcze Marta Kopeciova o tym ich kraju... Co mówiła? Co mówiła?! Mówiła, żeby tam iść, iść... Stefka usiłując przypomnieć sobie. Siedzi miękko w zaspie, w ramionach trzyma Jasia z przewiązaną głową.

— Jasiu... co mówiła twoja matka? Jasiu, co mówiła, umierając?

Sypie śnieg. Biały miękki śnieg... Góra śniegu — ani przebyć jej...

... Co mówiła twoja matka, Jasiu? Mówiła, mówiła...

Śnieg przykrywa, okrywa, opatula dwie bezwładne kukły.

* * *

... Ja tu idę z tamtej strony, z dalekich stepów i gór, i lasów, i miast ludnych, szarych, biednych... Ja wiem, wiem — tu Polska. To już Polska. Tyle światła? Cemu tyle światła na tym drzewku? Tyle kołaczy! Skąd tyle kołaczy? Tyle cukierków, jabłek! Tacy dobrzy ci ludzie... Cemu nie popychacie? Cemu nie odpędzacie nas? Cemu się tak uśmiechacie do mego Jasia? Czy go nie znacie? Jasia kazała do Polski zaprowadzić moja niania, Marta Kopeciova. Jaś — to syn Kopeciovej. Tak, to pewnie ta sama Kopeciova... Mówiła mi zawsze o tatusiu i mamusi, że... Kopeciova? Umarła... Umarła na Syberii, w głuchym stepie... I wzięłam Jasia na ręce i poszłam do Polski... Bo w Polsce tatuś i mamusia... U nich w Sowieciach — nie ma ani tatusia, ani mamusi, dlaczego nie ma? A Kopeciova mówiła mi zawsze, że jak wrócimy z Syberii, to odnajdziemy was w Polsce... Tak, tak... mówiła, że podczas wojny rozłączono nas... ją i mnie — od was... Jak ciepło, ciepło tu w Polsce... Jaki piec, piec, piec; jak dobrze, dobrze... Bóg? Nie znałam. Nie słyszałam. Kto to jest Bóg, mamusiu? Kto to jest ten Bóg, tatusiu? Tam w Sowieciach nie było Boga. My tam nie znaliśmy Boga... Wysoko? Tam, wysoko, w niebie? A jak tam wejść, żeby zobaczyć? Czy trzeba iść tam hen, gdzie błyszczą gwiazdy, gdzie płynie księżyc, żeby dojść do Boga? Pójdę, pójdę, pójdę... Chodź, Jasiu... do Boga... Jak ciepło, ciepło... Chodź, Jasiu, daj rączkę.

Sypie miękki, puszysty śnieg. Zaspę śniegu, góry śniegu. Cisza — bo cicho pada śnieg...

Zielony świt. Pod ogrodami wyją wilki. Razi ich czerwony ślep. Razi ich śpiew człowieka. Chóralny śpiew. Zbliżają się powoli, rozważnie — krok za krokiem. Nosi na wiatr, ogony pod siebie. Idą cicho, jak widma.

I nagle skrzypnęły drzwi. Z wnętrza buchnęło ciepło — woń ludzka. Cofnęły się wilki — trzy kroki, dziesięć, dwadzieścia.

Z wnętrza domu wysypali się ludzie...

— Wilki! Hop! hop! Wilki! Trzask, trzask.

Zakotłowało się, zakurzyło. Czmychnęło szare stado.

Chrup, chrup... chrup, chrup... — Jest?

— Na Boga! To ludzie zasypiani w śniegu!

— Przedziej! przedziej!

Wnieśli do ciepłej chaty, uwolnili z łańchmanów, odchuchali, odgrzali, napoiili mlekiem, wódką, herbatą... I ułożyli w ciepłych kojach.

Z pieca parska rzeźki ogień. A z dali płyną dźwięki dzwonów. ... Bim, bam.. bim, bam...

Szurkiem ciągną ludzie przez zielony świt na Pasterkę... W nadgranicznej strażnicy czuwa nad kojami żołnierz i nuci: — Hej kołęda, kołęda...



Charakterystyczne budownictwo drzewne w Brzostowicach Wielkich.



*Zakład dla nerwowo chorych w Świacku.
Tykocin.*



Cerkiew w Supraślu.

LUDOMIR RUBACH

PIĘKNO ZIEMI

Niezbyt daleko od Warszawy znajduje się jedna z najciekawszych, a najmniej zwiedzanych ziem, na której piękno należy zwrócić uwagę wszystkich, którzy chcą poznać dobrze rodzinny kraj.

Ziemia białostocka, to kraj wielorakich osobliwości, bezcennego niejednokrotnie znaczenia. A tymczasem prawie nikt nie wie, że poza wspaniałym rezerwatem przyrody leśnej — puszczą białostocką — i jeziorami augustowskimi — ziemia ta jest jeszcze krainą usianą pięknymi pomnikami dawnych czasów.

Toteż niewielu turystów zwiedza województwo białostockie. Ten, kto już zajrzał do Grodna, czy nad jeziora augustowskie, nie kwapi się do wycieczek w głąb tej krainy, która potrafiłaby nader hojnie wynagrodzić jego ciekawość.

Poza niespotykanym niemal w Europie bogactwem leśnej przyrody, czarującymi widokami jezior, rzek i kniej, turysta natrafia w woj. białostockim na takie osobliwości, jak tajemnicze wzgórza, wznoszone ręką ludzką w zamierzchłych czasach — ślady obronnych niegdyś grodów, zabytkowe świątynie, zamki, pałace i dwory, świadczące o świetnej przeszłości minionych pokoleń, kiedy to Białostockie odgrywało ważną rolę w dziejach Rzeczypospolitej.

Poczynając od IX stulecia każdy wiek pozostawił tu ślady walk, prac i kultury naszych i nie naszych przodków.



BIAŁOSTOCKIEJ

Tuż pod Grodnem, na prawym, wyniosłym brzegu Niemna, w pobliżu ujścia Horodniczanki, znajduje się jedna z najstarszych murowanych świątyń w Polsce, pochodząca z XI wieku... kościół na Kołozy.

Cenny to zabytek wczesno-średniowiecznego budownictwa, świątynia-forteca, przeznaczona nie tylko do modlitwy i rozmyślań o znikomości życia, lecz i do obrony przed nieprzyjacielem.

Z Kołozy rozciąga się widok na Górę Zamkową w Grodnie, która kryła do niedawna wiele tajemnic. Dziś tajemnice zostały odkryte przez pracowitych archeologów i historyków, którzy odkopali ruiny kilku zamków i świątyń na obronnym brzegu Niemna. Najstarszymi wykopaliskami są resztki świątyni, pochodzącej z IX stulecia.

Gdy się jeden zamek rozsypywał w gruzy, na jego ruinach powstawał nowy. Dziś Góra Zamkowa w Grodnie jest prawdziwym labiryntem wykopalisk, a podróżny błądzi tu wśród złomów kamieni, resztek murów, rowów i fos, zmurszałych ostrokołów i głazów ofiarnych, w wyobraźni swej starając się na ich podstawie odtworzyć obrazy minionych stuleci.

Grodno poza Górą Zamkową, na której obok ruin wznosi się częściowo odnowiony zamek Stefana Batorego, posiada Zamek Nowy, wybudowany za Augusta II i wkończony za Augusta III, oraz kilka pięknych świątyń, godnych najbaczniejszej uwagi.



Grób poety Karpińskiego w Łyskowie.



*Kościół w Hnieźnie (1524 r.) pow. wołkowyski.
Ratusz w Ostrowi Mazowieckiej.*



Pałac w Podorosku.



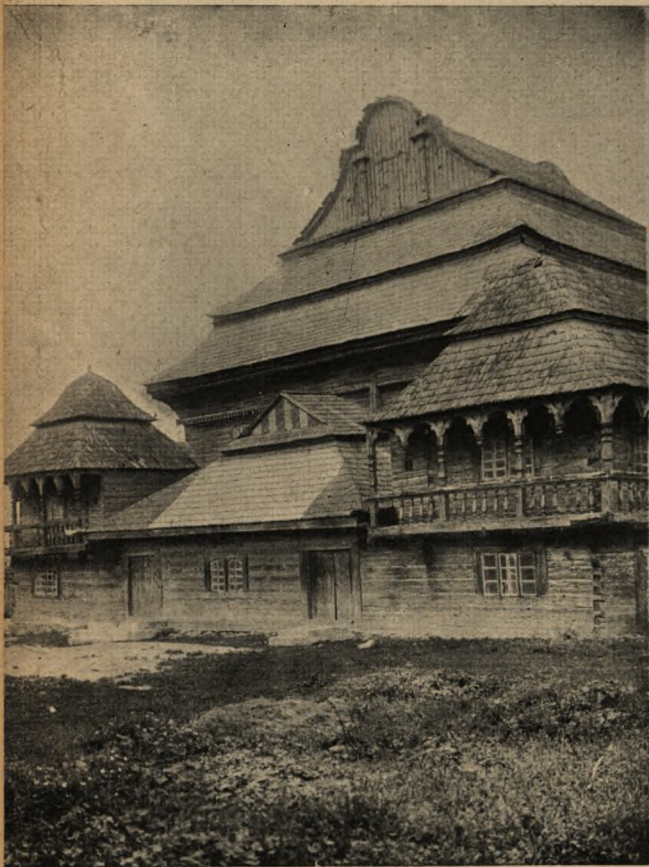
Również Mazowsze łomżyńskie posiada wiele cennych kościołów gotyckich, powstałych przeważnie w XVI w., a więc w czasach, kiedy w innych stronach Polski budownictwo gotyckie ustępowało miejsca nowym stylom.

Kościół gotyckie budowano przeważnie z cegły dobrze wypalonej.

Na uwagę zasługują kościoły w Szczepankowie pod Łomżą, Wąsocz, Kleczkowie i Wiznie, gdzie przez pewien czas przebywała królowa Bona. Dla niej to w kościele wiznieńskim umieszczono w prezbiterium specjalną lożę.

Wszystkie te kościoły odznaczają się masywnością budowli, połączoną ze strzelistością kształtów i wszystkie są oryginalnie rozplanowane.

Wółpa. Stara drewniana synagoga.



Klasztor pokarmelicki w Bielsku Podlaskim.

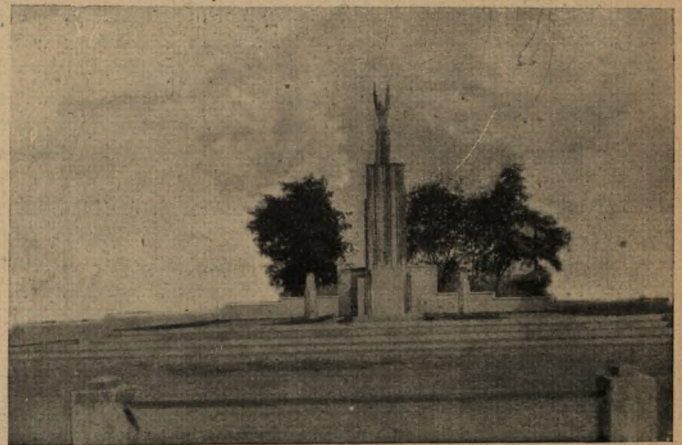


Kościół w Kleczkowie, wzniesiony na cmentarzu, otoczony był obronnymi murami, z których pozostały dziś jeno resztki. Ongiś na murach umieszczone były strzelnice, wzmacniała ich obronność głęboka fosa, przez którą przerzucony był most zwodzony.

Obronna była również świątynia pobazylińska w Supraślu, małym, ale szeroko dawniej znanym miasteczku w pow. wołkowyskim.

Świątynia zewnętrznym wyglądem przypomina nieco meczety muzułmańskie, świadcząc o ścieraniu się na naszych ziemiach kresowych kultury europejskiej ze wschodnią.

Piękny jest z XVIII w. pochodzący klasztor księży misjonarzy w Siemiatyczach, przez Michała Sapiełę w 1725 r. wzniesiony i podobny raczej do pałacu możnowładcy, niż do klasztornej ustronia.



Ostrow Mazowiecka. Pomnik wojskowy 18 p. a. p.



Widok Mscibowa.

Krajobraz piaszczysty pod Piaskami (pow. wołkowyski).



Charakter rezydencji wielkopańskiej nadaje temu osobliwemu klasztorowi bogato dekorowana fasada główna w stylu późnego baroku, czworoboczny kształt gmachu z czterema skrzydłami oraz piękny ogród, otaczający klasztor i sam z kolei otoczony fantastycznie powyginanym murem, opadającym ku rzece.

Mimo, że są znacznie skromniejsze, zasługują też na uwagę klasztory: pokarmelicki w Bielsku Podlaskim i w Ostrołęce.

Specjalnie ciekawy i obdarzony licznymi zabytkami jest pow. wołkowyski.

Ziemia wołkowyska bogata jest zarówno w skarby przyrody jak i cenne pamiątki pochodzący z Zachodu na Wschód.

Na południu powiatu nad górną Narwią szumi wspaniała, przez człowieka prawie nietknięta, dziksza od

Białowieskiej, Puszcza Świsłocka. Bogactwo pierwotnych lasów ziemi wołkowyskiej uzupełnia Puszcza Łyskowska.

Szczycą się regionalni działacze, zgromadzeni w ruchliwym wołkowyskim oddziale Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, pięknym rodzinnej ziemi, a przede wszystkim malowniczym krajobrazem górskim nad rzeką Rosią i równie pięknym przełomem Zelwianki u jej ujścia do Niemna.

Nad pięknymi jeziorami ziemi wołkowyskiej (jezioro Bezenne) i dzikimi bagnami (Orłowe Błoto) wznoszą się kurhany — ślady grodzisk przedhistorycznych — i zamczyska.

Odkryto grodzisko przedhistoryczne i zamczysko w Wołkowysku i w Mścibowie, zbudowane w kształcie

Cmentarz w Dziabkowicach koło Siemiatycz.



Narew w Puszczy Świsłockiej.



Kopalnia kredy w Roi.

Pałac w Krzemienicy.



Wołkowysk. Widok na „Szwedzką” Górę.



pierścienia i dobrze zachowane wśród trudnych do przebycia bagien. Ostatnio w roku ub. odkryto cmentarzysko przedhistoryczne w Rosi, a pod Łyskowem odkryto stare grodzisko sprzed XV wieku.

Koło Chróstowa na uroczysku Horodysko odkryto ślady dawnego kultu grzebalnego, a w odległości 12 km do stacji Zelwy, w gminie Międzyrzec, odnaleziono inne cmentarzysko przedhistoryczne.

Pamiętki czasów późniejszych również szczerze rozsię są po tej krainie puszczy i uroczysk. Niedaleko Wołkowyska we wsi Hniezna zachwyca nielicznych, zabłąkanych w te strony turystów Kościół św. Michała, pochodzący z 1524 roku, jeden z bardzo rzadkich a najciekawszych zabytków budownictwa, bo łączący w sobie gotyk z renesansem.

W miasteczku Świsłocz zachował się oryginalny okaz budownictwa drzewnego — Kościół Aniołów Stróżów.

W Krzemienicy oglądać można gmach byłego klasztoru kanoników regularnych z pięknym kościołem barokowym, któremu jednak wobec zupełnego braku opieki konserwatorskiej grozi rozsypanie się w gruzy. W Łyskowie miłośnicy poety Franciszka Karpińskiego odnajdują jego grób.

W Lewkowie Starym, Zelwie, Izabelinie, Podorosku, Mogilowicach, Łopienicy, Hornostajewiczach i w szeregu innych, nawet nazwy mało komu znanych miejscowości, zachowały się piękne kościoły, cerkwie, drewniane oryginalne bóżnice, zabytkowe dwory, pałace i parki, drewniane zamczyska i pomniki, a nawet stare miejskie jak np. w Świsłoczy, szczytącej się ponadto okazałym neoklasycznym gmachem byłego gimnazjum,



W służbie.

w którym uczyli się Józef Ignacy Kraszewski i Romuald Traugutt.

Tym wszystkim, którzy w czasie letnich wyczasów nie lubią przemierzać utartych szlaków polecamy ziemię wołkowyską, w zwiedzaniu której każdemu chętnie swej pomocy udzieli oddział wołkowyski Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

Osobna uwaga należy się w woj. białostockim budownictwu drzewnemu. Trzeba przede wszystkim pamiętać, że zachowała się tu znaczna ilość oryginalnych starych bóżnic drewnianych, o których pisał jeden z zasłużonych badaczy naszego budownictwa drzewnego, Zygmunt Glo-



Synagoga drewniana w Sopoćkiniach.

ger, że należą do najciekawszych zabytków budownictwa drzewnego w dawnej Polsce.

Do najciekawszych należą starożytne bóżnice w Suchowoli (pow. sokólski), Wołpie (pow. grodzieński), Zabładowie (pow. białostocki) i Śniadowie. Niemal wszystkie pochodzą z XVII i XVIII stulecia.

Nie można również pominąć starych śpichrzów wiejskich, których pewna ilość zachowała się w Białostockim, oraz dawnego drzewnego budownictwa kurpiowskiego.

Z chatami kurpiowskimi, należącymi do najstarszych zabytków budownictwa polskiego, mogą jedynie konkurować chaty podhalańskie.

Uważny turysta dostrzeże ponadto charakterystyczne przemiany, jakie zmieniają oblicze tej mało znanej na ogół krainy i ułatwiają jej zwiedzanie.

Do niedawna jeszcze miasta i miasteczka w województwie białostockim brudne, zamorusane, pogrążone w błocie, pozbawione niezbędnych urządzeń sanitarnych,

nych, były jaskrawym w swoim niechlujstwie przykładem „przejściowego” charakteru tej ziemi od zachodnio-europejskiego kontynentu cywilizacji i postępu do umarłego świata „wschodnich ostateków”.

Odrodzone młode państwo polskie nie mogło długo ścierpieć na swych ziemiach trwania tych smutnych „wschodnich pozostałości”. Przystąpiło więc do energicznego ich likwidowania.

Ta konieczna i zbawienna dla zdrowia naszego narodu likwidacja najenergiczniej bodaj w chwili obecnej przeprowadzana jest właśnie w woj. białostockim.

Pierwszym zadaniem była akcja europeizacji miast.



Krajobraz białostocki. Wieś Dąbrowa nad Biebrzą.

Osuszanie bagien w śródmieściach i przebudowa targowisk i bazarów, tym bardziej, że nawet niektóre małe osiedla stanowią w Białostockim poważne ośrodki handlowe i jarmarczne. Taka np. kilkutyśieczna Suchowola byłaby osiedlem zupełnie nieznanym, gdyby nie targi końskie, które uczyniły ją znaną daleko poza granicami województwa białostockiego. Toteż akcja europeizacyjna zaczyna się tu od zabrukowania, uporządkowania targowisk, od zniesienia na nich wstrętnych bud i kramów i pobudowania nowych, koniecznym warunkom higieny miejskiej odpowiadających stoisk.

Znacznej pomocy w tej sprawie udziela miastom Fundusz Pracy, który na zabrukowanie targowisk i ścieków w małych miasteczkach asygnuje znaczne sumy.

Na pierwszy ogień poszło pogranicze Grajewo, któremu umożliwiono usunięcie bagna, zajmującego znaczną część miasta, utrudniającego racjonalną jego rozbudowę.

Niektóre miasta, jak np. Wołkowysk, własnymi siłami dążą do pełnego przeistoczenia. W Wołkowysku ener-

giczny zarząd miejski systemem gospodarczym przebudował targowisko, osuszył bagna, regulując przepływającą przez środek miasta Wołkowyję i pobudował kanał burzowy.

Przytoczone fakty są tylko przykładami, ilustrującymi wysiłki władz administracji państwowej i samorządowej, zmierzających do przebudowy miast Białostoczczyzny.

Niedawno w całej prasie było ogłoszone zestawienie miast w całej Polsce, posiadających kanalizację i wodociągi, z którego wynikało, że tylko 17 proc. miast i miasteczek posiada te konieczne do zbiorowego życia ludzkiego inwestycje. Procent ten zostanie wkrótce wydatnie powiększony przez miasta woj. białostockiego. Przy wybitnej pomocy Funduszu Pracy i z pożyczki inwestycyjnej budują kanalizację i wodociągi miasta: Białystok, Grodno, Łomża, Druskieniki.

Z sum pożyczki inwestycyjnej i dzięki Funduszowi Pracy budują nowoczesne rzeźnie — konieczne ze względu na fatalny stan higieniczny, w jakim dotychczas dokonywano uboju zwierząt w małych miastach — Ostrołęka i Gródek.

Wszystkie miasta, a więc Grodno, Łomża, Suwałki, Ostrów Mazowiecka, Sokółka, Augustów, Bielsk Podlaski, Grajewo, Ostrołęka, Szczuczyn itd. przeprowadzają regulację ulic, roboty ziemne, porządkowanie fasad, elewacji, oczyszczanie i gruntowny remont domów i zakładanie kwietników.

Niedaleki już jest ten dzień, w którym miasta woj. białostockiego upodobnią się do chłodnych, białych miast i miasteczek Wielkopolski i Pomorza.



Obelisk Tyszkiewicza w Swisłoczy.



Trakt „Napoleoński” pod Skidlem.



Kościół w Krzemienicy.



Starożytny Ratusz w Bielsku Podlaskim.



Starożytny trakt z Wołkowyska do Łyskowa.

Wszystkie wyżej wyszczególnione prace napotykają na jedną poważną przeszkodę, którą jest zupełny brak pomiarów tych miast i panujący w nich dotychczas nieprawdopodobny chaos budowlany.

Aby położyć kres chaotycznej zabudowie, aby móc przeprowadzić gruntowną regulację miast ziemi białostockiej, zostało powołane do życia Biuro Pomiarów i Zabudowy miast woj. białostockiego.

Do zadań tego biura (jak już jego nazwa mówi) należy dostarczenie wszystkim miastom i osiedlom województwa w liczbie 34 w ciągu najbliższych 10 — 15 lat planów pomiarowych i regulacyjnych wzamian za pewne stałe na ten cel opodatkowanie się.

Zwrócona została uwaga w pierwszym rządzie na Suwalszczyznę, jako na teren letniskowo-turystyczny z tym zamiarem, aby osiedla suwalskiej ziemi jak najprędzej przygotować do zadań wynikających z ich uroczego położenia wśród jezior i lasów.

Również Druskieniki z tegoż względu otoczono baczna uwagą. Pomiary Druskienik zostały już dokonane, a obecnie opracowywany jest plan osiedla.

Tak oto w szybkim tempie europeizują się miasta woj. białostockiego. Dzięki temu, w niedługim być może czasie zwiedzanie ziemi białostockiej należeć będzie do najprzyjemniejszych atrakcyj turystycznych.

Dnia 25 stycznia 1938 roku odbyło się w Centrali P. K. O. w Warszawie 36 z rzędu losowanie książeczek na premiiowane wkłady oszczędnościowe Serii II.

Po złotych 1.000 otrzymują właściciele następujących książeczek:

50.343,	51.795,	53.688,	53.733,	54.715,	56.740,	57.195,	57.917,
58.900,	58.948,	59.023,	59.257,	59.367,	59.523,	59.873,	61.953,
62.938,	64.564,	65.223,	67.773,	69.230,	75.361,	78.581,	78.603,
80.774,	81.251,	83.708,	84.395,	84.422,	84.484,	85.041,	86.848,
90.465,	95.456,	95.471,	95.878,	96.045,	97.800,	98.719,	99.569,
100.042,	100.113,	101.105,	101.404,	101.639,	103.198,	103.465,	103.527,
104.326,	105.497,	106.704,	106.856,	107.276,	108.031,	108.169,	109.532,
110.694,	110.854,	112.104,	113.089,	113.527,	114.607,	115.419,	116.110,
116.323,	117.726,	118.170,	118.556,	118.644,			

Książeczka premiiowana Serii II wylosowana dawniej a nie-zrealizowana nr 79.773.

POWIEDZMY SOBIE PRAWDĘ W OCZY...

(NA MARGINESIE KSIĄŻKI HELENY HALUSCHKA: „ADAM I EWA”.)

Zarzuty, jakie Ewa uczyniła Adamowi, były straszne. Pod ich ostrymi ciosami Adam moralnie wił się jak piszczak rzucony na piasek.

Na koniec wreszcie, gdy Ewa na chwilę umilkła, Adam odzyskał prawo głosu...

„Ewo, twoje najbardziej życiowe argumenty, to łzy, wdychanie i płacz. Nawet w mózgu masz serce. A w dodatku to twoje serce jest jak zwariowany zegarek: chodzi za prędko i bije za głośno.

Aż do śmierci zostaniesz łatwowiernym dzieckiem, któremu trzeba opowiadać wciąż piękne bajeczki o życiu.

Mówisz za wiele i za wielką wagę przywiązujesz do twej drobiazgowej działalności. Jesteś drobiazgową, dziecinna, słaba i próżna. —

A teraz postaram się, aby przed twymi oczyma przesunęły się wszystkie Ewy, te wszystkie jej rodzaje i typy, które na mnie działają jak czerwona chustka na indyka...

Kobieta fatalna.

Jest kobietą-sfinksem. Cały świat — to rama jej piękności.

Tajemnicą jej niezbadanej głębi jest — pustka. Cóż jej szkodzi, że mężczyźni próbują ciągle napełniać beczkę Danaid własną tęsknotą?

Jest ona nieśmiertelna, bo królestwo jej zbudowane jest na głupocie. Ważne dla niej jest tylko jedno: zawsze przystosować swoje oblicze sfinksa do zmienności czasu i epok.

Jako grecka Helena, w rwącym oczy stroju, kroczyła lekką stopą przez rumowiska Troi; jako Kleopatra w pancerzu piękna przepływała morza, aby wypróbować miłość mężczyzny.

Za czasów romantyków zalotne loczki, zamglone oczy, blade jagody... była chora na płuca, opłakiwała śmierć kanarka, rozkoszowała się melancholią księżycowych promieni, oświetlających pływające o północy po stawie łabędzie.

Potem odkryła, że bardziej jej do twarzy z lekko-myślnością. Udrapowała się w południowy żar, w ręce chwyciła kastaniety, we włosy wpięła różę.

„Miłość — to cygańskie dziecię...”

Dziś nie nazywa się już Carmen: dziś jest wampem. Wygolone brwi nadają jej twarzy wyraz dziecinno-demoniczny — ma „sex-appeal”.

Dziś serce już nie jest „noszone”; „noszone” są nogi. Jest szykowna, ma ruchy pantery. Jest bezpieczna i niebezpieczna zarazem, perwersyjna i niewinna. Jednym słowem jest po prostu dzieckiem natury, ale dzieckiem dekadentem. Fatalna kobieta w nowoczesnym wydaniu.

Niewolnica cnót domowych.

Ta nie wyłazi nigdy ze swego fartucha, a nawleczona igła stale tkwi w jej staniku.

Suknia jej jest tak solidna, że nie ma wątpliwości, że starczy do końca życia. Każda rzecz w jej pobliżu błyszczy jakby była pociągnięta arcypoliturą. Każde jej słowo dźwięczy oszczędnością, porządkiem, bo nawet zużycie głosu i mimika twarzy poddane są ścisłym prawidłom oszczędności.

Niewiasta zapobiegliwa podniesie na ulicy każdy znalezione guzik, a na skórkach od kiełbasy potrafi ugotować smaczną zupę.

Dnie świąteczne są jej nieznanne, natomiast dni domowych porządków, dni „czystki”, są jej świętami. Nawet gdy idzie z wizytą nie zapomina zabrać ze sobą robótki. — Przecież szkoda czasu.

Dla wydatków serca prowadzi ta roztropna niewiasta taką samą książkę rachunkową, jak i dla wydatków domowych, prowadzi ją wedle bardzo oszczędnego formularza, bo nuży budżet serca załamał się przed pierwszym?

Jej dobrze odżywieni synowie i mąż, mienią się szczęśliwymi, że posiadają taki okaz cnoty, takiego kolosa cnoty. Ale jeżeli przypadkowo kolos cnoty zamknie zmęczone oczy, wtedy z westchnieniem ulgi wymykają się ze swej lśniącej czystością klatki.

Dama w najlepszym tonie.

Dzień i noc pozostaje na najwyższych szczytach dobrego tonu.

Taka wytworna dama nie zna ani ulicznego błota, ani pyłu; deszcz interesuje ją o tyle, o ile szeleszczącymi melodyjnie kroplami spryskuje rabaty delikatnych kwiatów.

Nigdy nie jest chora, co najwyżej „niedysponowana”, nigdy nie boli ją brzuch, lecz „niedomaga żołądek”. Przechodząc przez łąkę, błyszczącą od rosy, z przerażeniem chwytą za swoją suknię, a w tramwaju nakłada samochodowe okulary.

Jest zawsze dystygowana — nawet gdy ma katar. A gdy w jej nieobecności zdarzy się coś niedystygowanego, wtedy jest „duchowo nieobecna”.

W jej obecności mąż nie śmie być głodny, co najwyżej może mieć apetyt. O jej życiu wewnętrznym wie jej rodzina tylko jedno: „trzymaj się prosto”.

Niechlujna.

Obojętne czy to jest w południe, czy wieczorem, przecież ubrana i tak nie jest nigdy. Jej suknia wygląda jak psu z gardła. Włosy albo przylizane, albo sterczą na wszystkie strony jak strzechy; dziś wieczór nie ma zamiaru nigdzie iść, po cóż właśnie miałyby się czesać? Pończochy wiszą na jej nogach jak obwarzanki.

Nie siedzi nigdy, tylko przysiada na poręczach foteli, albo znów leży rozwalona w głębi fotelu, jak rzucony niedbale tłumok brudnej bielizny.

Ukończywszy swoją dzienną pracę siedzi skrzywiona i nadąsana, opierając o stół łokcie, które wyłażą z rękawów i płacze, bo mąż odgrodził się od niej parawanem z największej gazety, jaką tylko mógł znaleźć.

Ruchliwa.

Wpada do pokoju jak burza, trzaska drzwiami, okno otwiera z impetem, nogą prostuje zagięty dywan, kolanem poprawia krzesło, łokciem popycha stół, woła męża, beszta służącą, rozpoczyna jakieś zdanie, urywa w połowie i z głośnym okrzykiem wybiega z pokoju.

W jej głowie kręci się nieustający karuzel: myśli pracują jak drożdże, i jeszcze dobrze póki kołują jej tylko w głowie; gorzej, gdy ku przerażeniu otoczenia, zaczyna je wprowadzać w czyn! Ma specjalny talent, aby siać dokoła siebie rozgardiasz i niepokój. Nieustanny bałagan jest jej żywiołem. —

Niedoceniona.

Od świtu do nocy krząta się i narzeka. U niej w domu jest zawsze dwa razy tyle roboty, co we wszystkich innych domach. Ona zawsze pracuje, wysila się dwa

razy więcej, niż wszyscy najbardziej pracujący, tylko... tylko nikt nie chce na to zwrócić uwagi. Tak to bywa, gdy ktoś jest za skromny, za dobry, zanadto obowiązkowy, za mało wymagający. Taki jest los kobiety wyjątkowej.

Podejrzliwa.

Nie chodzi, tylko krąży, zjawia się zawsze tam, gdzie jej się najmniej spodziewają, a gdy ktoś przestraszony jej nagłym zjawieniem się drgnie, albo zrobi żywszy ruch — na jej twarzy odbija się triumf: „A jednak nie masz czystego sumienia” — zdają się mówić jej podejrzliwie oczy.

Każde usłyszane słowo, każdą dostrzeżoną czynność obraca na wszystkie strony, bada, nicuje, przeszukuje, ogląda pod słońce i ustaje w swych zabiegach dopiero wtedy, kiedy odnajdzie w nich jakieś kłujące ostrze.

Kobietę podejrzliwą można zawsze spośród tysiąca rozpoznać.

Nie wychodzi nigdy bez parasola, nawet w najpiękniejszą pogodę; ma zawsze przy sobie bandaż, gazę i angielski plaster (od wypadku); swojej torebki nie wypuści nigdy z ręki, nie powierzy jej własnej matce, kluczy nie zostawi nigdy na wierzchu, na każdy projekt powie zawsze kiwając smutnie głową: „A ja wam mówię, że i tak z tego nic nie będzie”.

Piękna.

Jej uroda jest jej powołaniem, jej fachem, jej pracą. „Jak ja dzisiaj wyglądam?” „Jakie wrażenie zrobiłam na tobie, gdy mnie pierwszy raz zobaczyłeś?”

Piękna kobieta ma tylko jednego pana i władcę: krawca. Jedną myśl: pokazać się. Jedną troskę: starość. Mąż u jej boku jest tylko dekoracją, najmniejszy dowód czułości z jej strony jest łaską najwyższą, ale najmniejsza nieuwaga ze strony męża jest zbrodnią obrazy majestatu.

Ona jest osią domu — wszystko musi się kręcić dokoła niej. Jeśli ona uzna za stosowne przeprowadzić kurację odchudzającą — mąż też musi się żywić tylko sałatą i owocami.

Mąż czy jest zmęczony, czy nie, czy ma ochotę, czy nie, musi ją prowadzić na bale, dancingi, koncerty. Tam dopiero zbiera należne sobie hołdy. Skromny, cichy mąż ma się przypatrywać w milczeniu jej tryumfom i biada mu jeśli znudzony lub zmęczony nie okazuje promieniającego szczęściem oblicza.

Chłopczyca.

Chłopczyca jest ubrana po męsku od stóp do głowy, ręce trzyma w kieszeniach, gwizdże zamaszycie, spluwa zgrabnym łukiem, wita znajomych koleżeńskim „serwus” i z każdym jest „per ty”.

W miejscu publicznym śmieje się na całe gardło, opowiada najbardziej pieprzne anegdotki i klepie do brodusznie swego sąsiada po łopatce. Mężczyznę uważa za przeciwnika, którego musi zwyciężyć i przewyższyć; naśladuje go we wszystkim, ale w pierwszym rzędzie przyswaja sobie jego przyzwyczajenia najgorsze.

Stara się być „wyszczekana”, zamaszycista i naśladuje ruchy parobka.

Niezdecydowana.

Kobieta niezdecydowana nie mówi nigdy „tak” lub „nie”, odpowiada zawsze „może”, „prawdopodobnie”. Żadnej myśli nie może domyśleć do końca, bo nawet, gdy jakaś myśl snuje się po linii prostej, musi ją w pół drogi skrzywić. Mówi zawsze bez końca, powtarza każdą rzecz w kółko, objaśnia, przeprasza co drugie słowo, uniewinnia się i tłumaczy.

W podróży taka kobieta jest ósmą plagą egipską. W ostatniej chwili okazuje się zawsze, że zapomniała

czegoś ważnego, a gdy w końcu wyjedzie — namyśla się, czy właściwie naprawdę ma zamiar wyjechać.

Zazdrosna.

Cierpi, gdy słyszy, że chwali się inną kobietę.

Boli ją głowa, ma pilną pracę, chciałaby być sama — ale woli ścierpieć wszystko, niż pozwolić, żeby jej mąż poszedł sam się zabawić czy rozerwać.

Gdy się zestarzeje, nie wie co to spokój, słodycz, życzliwość. Cudza młodość ją razi i drażni, cieszy się w duszy z jej niepowodzeń. Zazdrości drugim nawet cierpienia, bo jednak cierpienie budzi ludzką życzliwość i ludzkie zainteresowanie.

Sentymentalna.

„Czy kochasz mnie?” — zapytuje nagle między zupą a pieczenią.

Każdą rzecz otula tkliwością i owija uczuciem. Wszystkie szuflady i pudełka wypełnione są „pamiątkami”. Znajdziesz tam wszystko, począwszy od zasuszonych listków róży, a skończywszy na starym kapeluszu. Każdy dzień jest rocznicą. Biedny mąż chcąc się w tym wyznać, powinien by sporządzić sobie specjalny kalendarzyk tych wyjątkowych dni. Kobieta sentymentalna jest znakomitą konsumentką wstążeczek, kokardek, obrazków — kolekcjonuje pamiątki ze wszystkich punktów globu. Każdy mebel w domu dźwiga na sobie brzemień wzruszającego wspomnienia. Każdemu szeroko objaśnia te okultystyczne walory sprzętów i każdy obowiązany jest wzruszyć się odpowiednio.

Gdy przechodzi koło dworca, cierpi wszystkimi cierpieniami zegnającej się i rozstającej ludzkości, a gdy ma kazać zabić kurę na obiad mdleje i marzy o bezbolesnych sposobach usypiania zwierząt.

Struny jej duszy są napięte do ostateczności i wspańiale brzmią nieustającą pieśnią miłości i cierpienia.

Jakże inaczej wyobrażała sobie małżeństwo: śniła, że utulona w ramionach męża będzie mogła całe życie ronić słodkie łzy; tymczasem w najlepszym razie, ten powiernik jej tęsknot zapytuje nieśmiało, czy choć raz uda mu się zjeść sznycel z kapustą bez przyprawy łez i bez wynurzeń udręczonego ducha.

Gęś.

Prawdziwa gęś, naśladująca gąskę, kroczy w obłokach kadzidla, wysoko zadziera nos i głowę, raczy z wysoko rzucać perły swych cennych słów i pełna zachwyty dla samej siebie czeka na pomruk podziwu zdumionego tłumu.

Z uśmiechem na ustach poci się latem w modnych futrach, z uśmiechem na ustach marznie zimą w pajęczych pończoszках. Z uśmiechem na ustach pozwala sobie wyrwać brwi, czasami i włosy; o ileż wyżej stoi od swojej siostry, gęsi autentycznej, która energicznie protestuje, gdy jej ludzie wyskubują pióra.

Dla mody może zrobić wszystko: zażywać kokainę, przejść na mahometanizm. Zwykle drży ze strachu w autobusie, ale wsiądzie bez zmrużenia powiek do awionetki, wyruszającej w podróż dookoła świata — jeśli to właśnie jest ostatnim krzykiem mody.

Zresztą gęsi bywają rozmaite: są uroczyście gęsi wiedzy i cnoty, zblazowane, męczeńskie gęsi życia światowego, nadęte gęsi bogactwa, dumne gęsi arystokratyczne, są także i gęsi wzruszające, te, które w najbardziej podeszłych lecjach są jeszcze ciągle gąskami! Ale wszystkie gęsi mają jedną wspólną cnotę: dzielnie i nieustraszenie bronią kapitolu ludzkiej głupoty!” —

Karty codziennych grzechów rzucone na stół. Partia rozegrana świetnie. A wynik? — Niestety, na remis.

Zarzuty Ewy były słuszne i Adama również nie w mniejszym stopniu!



NA FALACH CZASU

ZE SPRAW RODZINY

Na szerokim świecie.

Wracamy raz jeszcze do aktualnego zagadnienia, podnoszonego przez akatolickie ugrupowania świata: uznania pracy kobiet w rodzinie za pracę zawodową (profession), bronioną i ochranianą przez związki zawodowe, wynagradzaną przez męża lub państwo.

Do Ligi Narodów w Genewie zgłoszono przez Międzynarodowy Związek Równouprawnienia „Statut kobiety”, w którym obok wielu słuszych żądań, żądano uznania pracy kobiecej w rodzinie za zawód i wynagradzania pieniężnego kobiety zamężnej.

W poprzedniej naszej kronice podaliśmy punkt widzenia katolicki na sprawę wynagradzania pieniężnego matki i żony przez męża, czy przez państwo. Zgodne głosy całego świata katolickiego streszcza nam wydawnictwo: „Notes Documentaires” ze stycznia i lutego br.

Jednolite głosy podnoszą zdecydowany protest przeciwko utożsamianiu pracy w rodzinie i gospodarstwie rodzinnym żony

i matki we własnym ognisku rodzinnym ze zwykłym zawodem, i w dodatku zawodem płatnym.

W inny sposób należy dążyć do uznania godności tego stanowiska kobiety, jego znaczenia ekonomicznego, ważności misji wychowawczej, znaczenia inicjatywy i odpowiedzialności, które to zadania łącznie z mężem musi podjąć i dokonać kobieta zamężna.

Wydawnictwo Międzynarodowego Centrum Dokumentacji pt. „Notes Documentaires” każdorazowo podaje do wiadomości prasy całego świata wszelką działalność prawną-ekonomiczno-obyczajową, podjętą przez różne narody świata w celu uznania „matki w rodzinie”, nie za wynagradzaną piętę robotniczą, lecz za wielkiego znaczenia „czynnik postępu ludzkości”.

* * *

Wychodząc z założenia, że rodzina jest komórką społeczeństwa, to znaczy instytucją odtwarzającą na małą skalę zorganizowane społeczeństwo ludzkie, musimy dojść do przekonania, że praca w rodzinie jest tak różnorodną dla wszystkich członków rodziny w mniejszym lub większym

stopniu, jak jest różnorodną w ojczyźnie, czy państwie.

Wielka ilość „zawodów” mieści się w granicach potrzeb rodziny, ale one spełniane być muszą dla dobra ogółu danej rodziny bez wynagradzania pieniężnego, a wynagrodzeniem winno być stanowisko oraz właściwe prawo w zespole rodzinnym, które w naturalny sposób wynagradzają spełnianie obowiązków. Im więcej kto wkłada spełnionych obowiązków w zespół rodziny, tym wyższe ma być jego *stanowisko*.

Jest to nie tylko jedynie moralny, ale i jedynie racjonalny punkt widzenia na wynagrodzenie członków rodziny za spełnione na rzecz rodzinnego zespołu czyny. Obok ojca rodziny, najwyższym stanowiskiem i najrozleglejszymi prawami ma być obdarzona matka w rodzinie.

W Polsce.

Komisja do Spraw Rodziny Z. Z. R. w Polsce, rozsyłając do organizacji doroczny kwestionariusz z dziedziny ich działalności na rzecz rodziny, dołączyła w tym roku, w formie załącznika, zestawienie naj-



Prezydent Stanów Zjednoczonych przyjął w Kapitolu na audiencji najliczniejszą rodzinę stolicy U. S. A., Waszyngtonu, państwo William, liczącą siedemnaścioro dzieci. Nasze zdjęcie przedstawia nam ową rodzinę przed wejściem do Kapitolu.

ważniejszych zadań zorganizowanych ojców rodzin. Komisji chodziło o zebranie w kraju danych, dotyczących tych dziedzin akcji na rzecz rodzin w Polsce, które winny być podjęte przez mężczyzn, ściślej biorąc przez ojców rodzin.

Załącznik podajemy w całości:

PUNKTACJA W SPRAWIE ZORGANIZOWANEJ AKCJI OJCÓW RODZIN

A. Zadania w dziedzinie materialnej.

I. Utrzymanie rodziny.

1. Nastawienie prawnogospodarczo-społeczne „na rodzinę” a nie „na jednostkę”. Propaganda tej zasady.

2. Zarobki, to znaczy dodatki zarobkowe dla rodzin w formie premii lub wyrównawcze.

3. Dochody. Warsztaty pracy ojców rodzin, specjalna nad nimi opieka prawna, społeczna, gospodarcza, m. inn. zniżki podatkowe, kredyty, kasy bezprocentowe.

II. Mieszkanie rodziny.

1. Nastawienie budownictwa mieszkaniowego na potrzeby rodziny: współpraca z Bankiem Gospodarstwa Krajowego, z sekcją mieszk. Pań Domu, Wydziałami Architektury na Politechnikach, z Magistratami, odpowiednimi Wydziałami Izb Rolniczych itd.

2. Pomoc prawna i gospodarcza: pomoc kredytowa na własne domy i mieszkania, ulgi podatkowe, ogródki i ogródki działkowe. Eksmisja.

III. Aprowizacja rodziny.

1. Podatki konsumpcyjne (bezpośrednie i pośrednie) ujęte z punktu widzenia dobra rodziny.

2. Samowystarczalność warsztatów rodzin wiejskich.

3. Spółdzielczość.

B. Zadania w dziedzinie moralnej.

I. Organizacja rodziny:

1. Nauka prawidłowej organizacji rodziny i domu (służby itd.).

2. Postawienie każdego członka rodziny i domownika na właściwym miejscu.

3. Przestrzeganie przywilejów i obowiązków poszczególnych członków.

4. Dawanie dobrego przykładu wypełniania ojcowskich zadań „głowy rodziny”.

II. Zadania wychowawcze ojców:

1. Współwychowanie z matką.

2. Wychowanie synów.

3. Dawanie dobrego przykładu przez samodoskonalenie.

4. Organizowanie kursów o obowiązkach wychowawczych ojców.

III. Pomoc w zakładaniu nowych rodzin:

1. Uświadamianie synów jak mają zakładać nowe rodziny.

2. Kursy dla dorosłej młodzieży jak zakładać nowe rodziny, wskazania ważności tego zadania.

3. Pomoc moralna: m. in. życie towarzyskie, kojarzenie dobranych małżeństw.

4. Pomoc materialna: wyposażenia młodzieży, kasy posagowe, samopomoc młodzieżowa.

* * *

Dnia 1 lutego br. odbyło się w szerszym gronie, bo z zaproszonymi gośćmi, zebranie Komisji do Spraw Rodziny Z. Z. R.

Dla scharakteryzowania organizacji samej i rodzaju prac podjętych przez Komisję, przewodnicząca zobrazowała Komisję w następujący sposób:

„Komisja była i jest komisją studiów i dokumentacji w sprawach dotyczących rodziny, jako instytucji i komórki społecznej. Działalność komisji na zewnątrz jest pośrednią; — działa ona w pierwszym rzędzie poprzez Zjednoczenie Zrzeszeń Rodzicielskich, w drugim rzędzie przez inne pokrewne organizacje, z którymi jest w bliższym lub dalszym, ale stałym kontaktem. Dostarcza też rzeczowego materiału prasie. Ponieważ komisja jest komisją studiów i dokumentacji, więc czerpie swą wiedzę z trzech najważniejszych źródeł: Kościoła, społeczeństwa polskiego i zagranicy.

Wiedza religijna, czerpana z nauki Kościoła, jest ideową podwaliną komisji; stąd stały i bliski kontakt komisji z instytucjami wiedzy religijnej, badanie przez nią encyklik, osobiste audiencje u Ojca świętego.

Znajomość rodziny polskiej, jest zasadniczym postulatem komisji; nauka o środowiskach, bliski kontakt z organizacjami społecznymi oraz instytucjami państwowymi, a także studia nad prawodawstwem małżeńskim i rodzinnym, daje komisji znajomość terenu działania w państwie polskim dla dobra rodziny polskiej.

Wiedzę specjalną dotyczącą rodziny jako instytucji (rodzinoznawstwo), czerpie komisja z ruchu naukowego świata, w analogicznych do komisji ośrodkach studiów zagranicznych i międzynarodowych, oraz na kongresach, związanych z zagadnieniami rodziny: kongresach narodowych, zagranicznych i międzynarodowych.

W bieżącym okresie czasu nie brak alarmujących nasze społeczeństwo objawów w kraju. Jakże przęgnębiające wrażenie zrobiły wybory do naczelnych władz Związku Nauczycielstwa Szkół Powszechnych! Rodzice Polacy obowiązani są do wzmocnienia uczynności, gdyż groźba demoralizacji wisi nad głowami wszystkich polskich dzieci!

W prasie pojawiają się krytyki niektórych audycji młodzieżowych. Jeden z czytelników „Małego Dziennika” pisze w sprawie audycji z dnia 13 stycznia br.:

„Mały Dziennik” występuje w obronie praw katolików i Kościoła, a obecnie przychodzi czas kiedy po prostu trzeba wystąpić w interesie Państwa i Narodu. We wspomnianej audycji, słuchając rozrzucającej opowieści o dokarmianiu biednych dzieci w szkole, przez wiejską nauczycielkę, posłyszałem takie mniej więcej słowa:

„Tyle dzieci, i po co to, komu to potrzebne? Chłop, jak to mężczyzna, wszystko mu jedno, niech się rodzą dzieci, jak kto inny potem musi karmić — ale kobieta, czy ta musi rodzić do ostatka? Przecież i drzewo nie rodzi ciągle, choćby mogło, tylko ma swoje czasy odpoczynku”.

„W słowach tych po prostu wyczuwało się apel do kobiet, że powinny ograniczyć się w rodzeniu dzieci. Podkreślić należy również, że była to audycja przeznaczona dla organizacji młodzieży wiejskiej. Sprawa ta, rzeczywiście aktualna i o tyle ciekawa, że powszechnie wiadomo, iż P. R. służy specjalnie interesom Państwa. Czy taki jest istotnie interes Państwa, jakby to wynikało z treści audycji?”

„Mały Dziennik” dodaje od siebie: „List czytelnika naszego jest tak wymowny, że wszelkie komentarze są tutaj niepotrzebne”.

Ale mamy do zanotowania wiele dodatkowych objawów.

Donosłe zagadnienia, które były omawiane w końcu ubiegłego roku 1937 na „Tygodniu Filozoficzno-Religijnym” z dziedziny moralności płciowej, znalazły głębokie echo wśród licznej rzeszy akademickiej naszej stolicy. Wypełniała ona po brzegi auditorium maximum Uniwersytetu. Brak literatury wyświetlającej naukowo tak ważne w dobie obecnej zagadnienia skłonił Zarząd Studium Filozoficzno-Religijnego S. U. J. P. do ogłoszenia drukiem wykładu ks. prof. dra F. Sawickiego pt. „Fenomenologia wstydlivości”. W broszurce tej znajdują się podstawowe zasady moralności małżeńskiej.

* * *

Zjednoczenie Zrzeszeń Rodzicielskich przystąpiło do wydawania drukiem swego „Biuletynu”.

W pierwszym „Biuletynie”, wydanym w styczniu br. znajdujemy opis działalności Zjednoczenia z pierwszych lat drugiego 10-lecia. Jest to poważny odcinek akcji na rzecz rodziny i współpracy rodziny ze szkołą na terenie Polski, gdyż zahacza o wielką ilość organizacji oraz instytucji państwowych w kraju.

Zofia Jankowska.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Niemcy Hitlera wymierzili nowy cios w katolicyzm. Nastąpiło rozwiązanie organizacji młodzieży katolickiej i zamknięcie szkół wyznaniowych w Rzeszy, co wywołało ze strony katolików niemieckich silną reakcję. Wiele rodziców zgłosiło protesty w bawarskim ministerstwie kultury w Monachium, wskazując na trudną sytuację, w jakiej znajduje się, z ich punktu widzenia, kwestia wychowania dzieci. Rodzice katolicy protestują przeciwko uniemożliwieniu istnienia ugrupowania młodzieży o charakterze ściśle katolickim. Powoływało się przy tym na konkordat. —

Ze strony reżimu hitlerowskiego przeciwstawia się tym zarzutom przede wszystkim konieczność jednolitego wychowania młodzieży niemieckiej w duchu narodowo-socjalistycznym. Ponadto sfery rządowe w III Rzeszy podnoszą kwestię „politycznego „katolicyzmu”, uprawianego rzekomo przez związki młodzieży katolickiej. Jest to oczywiście zarzut bezpodstawny. Wydarzenia te wykazują, że walka reżimu nazistowskiego z Kościołem katolickim zaostrza się. —

W tym samym czasie w innym potężnym państwie, w Stanach Zjednoczonych, katolicyzm zdobywa coraz większe uznanie, a zwłaszcza wśród szerokich kół tamtejszego społeczeństwa, nawet u tych, co formalnie do Kościoła nie należą, wielkie zainteresowania wzbudzają wskazania Akcji Katolickiej, dotyczące naprawy ustroju społecznego. —

Arcebiszop Chicago, kardynał Mundelein, wygłosił dłuższe przemówienie, w którym bardzo energicznie wystąpił w obronie praw robotników. „Akcja Katolicka — mówił kardynał — powinna oznaczać czyn, a nie puste słowa. Nie ma sensu organizowania konferencji i odczytów na temat komunizmu i jego niebezpieczeństwa, jeśli się będzie ten problem jedynie omawiać w sposób teoretyczny. Gdy się chce osiągnąć jakiś cel, trzeba przejść energicznie i odważnie do środków praktycznych, do czynu.

„Tak jak w medycynie lekarz przygotowuje odtrutkę na zakażenie, tak i my winniśmy szykować antidotum. Odpokutowaliśmy, i to nader boleśnie, w niedalekiej przeszłości za to, żeśmy przez zbyt długi czas byli współnikami tych, którzy nie szli właściwą drogą. Zbyt często pracodawcy w sposób pełen hipokryzji dla swych egoistycznych celów umieli wykorzystywać autoritet Kościoła prosząc członków hierarchii o interwencję w ich obronie, gdy miał miejsce jakiś spór, mimo, że płacili swym robotnikom wprost skandalicznie niskie pensje. Mam nadzieję, że czasy te należą do bezpowrotnej przeszłości. —

„Nasze miejsce jest przy biednych, przy robotnikach, oni są naszymi ludźmi, oni to wnoszą kościoły, oni to do tych kościołów chodzą, ich to dzieci uczęszczają do naszych szkół, oni to dają nam kapłanów i bojowników. Wszyscy oni spodziewają się od nas wskazań, wytycznych i podtrzymania moralnego... —

„Nie sposób ukrywać niebezpieczeństwa wpływów komunistycznych pośród nas. Sam Ojciec św. stwierdza to wyraźnie. Uważamy pilnie na tych, którzy oficjalnie występują przeciwko komunizmowi, równocześnie krzywdzą i wyzyskują, którzy zwalczają ustawę, zapewniającą pewne minimum płacy, którzy pozwalają, by pracownicy byli wyzyskiwani. Wobec takiego postępowania nie możemy pozostawać obojętnymi widzami. Pamiętajcie, że nadeszła godzina Akcji Katolickiej”.

Cała prasa amerykańska żywo omawia powyższe przemówienie kardynała Mundeleina, tym bardziej, że niebezpieczeństwa akcji, skierowanej przeciwko katolicyzmowi w Stanach Zjednoczonych, od pewnego czasu mocno się zaakcentowały. Okazuje się na przykład, że liczba członków partii komunistycznej w tym kraju wzrosła z 26 tysięcy do 40 tysięcy (od r. 1934 do roku 1937).

Na zlecenie biskupów amerykańskich zostały w całych Stanach Zjednoczonych przeprowadzone dokładne badania, dotyczące rozwoju komunizmu w tym kraju. Amerykańska partia komunistyczna jest sekcją moskiewskiej międzynarodówki; nie jest właściwie partią robotniczą, gdyż robotnicy stanowią zaledwie jedną trzecią jej członków. Jest to raczej partia inteligencji i pracowników umysłowych. Na zebraniach partyjnych omawia się obecnie analogię pomiędzy pracą reformatorską a rewolucyjną. Połowa członków rekrutuje się z Nowego Yorku i Kalifornii. Partia jest doskonale zorganizowana i zdyscyplinowana. —

Położenie Kościoła w Sowietach w dalszym ciągu jest tragiczne. Jak stwierdza prasa belgijska, wbrew tendencyjnym wiadomościom pewnych dzienników, fala prześladowań religijnych w Sowietach nie tylko nie zmniejszyła się, lecz przeciwnie w wielu wypadkach przybrała na sile. Na przykład w Charkowie gromady komsomolców na własną rękę dokonują „wywiadów” w mieszkaniach prywatnych, badając, czy nie odprawiane są w nich modły. Wszystkie urzędy zobowiązane są wspierać w najszerszym zakresie akcję agentów bezboźnictwa. Przykład temu daje sam Stalin, który niedawno przyjął tytuł „wielkiego protektora ruchu bezboźniczego”. Godność tę ofiarowała mu nowa rada naczelna związku bezboźników, złożona z 600 członków, kierowników związków lokalnych. Scentralizowanie ruchu bezboźniczego we wspomnianym radzie ma na celu umożliwienie ściślejszej współpracy i ujednostajnienie akcji

bezboźniczej we wszystkich dziedzinach życia sowieckiego. Stalin, przyjmując ofiarowaną mu godność, oświadczył, że pragnie przez to dowiedzieć, iż „urzędy oficjalne popierać winny ideologię bezboźnictwa i nie oddawać w ręce prywatne iniejiatywy, która przystoi najwyższemu kierownikowi państwa”. —

Stosownie do rozporządzenia kierownika G. P. U. Jeżowa, duchowni wszystkich wyznań, którzy w swoim czasie zostali umieszczeni w sowieckich obozach koncentracyjnych, nawet po odbyciu wyznaczonej kary nie będą wypuszczeni na wolność, ponieważ „uwolnienie ich jest sprzeczne z interesami państwa. Wobec tego wszystkie wyroki skazujące duchownych automatycznie utrzymują się w mocy przez dalszych pięć lat po wygaśnięciu terminu kary, niezależnie od stanu zdrowia i wieku więźniów”. Rozporządzenie powyższe zostało wydane na skutek usilnych starań związku bezboźników, który w tym celu interweniował u miarodajnych czynników państwowych. —

W tym samym czasie, gdy w Sowietach religia przeżywa okres wzmoczonych prześladowań, w kraju sąsiednim, w Rumunii, położenie katolików łańcieńskiego jak i greckiego obrządku znacznie się poprawiło, zwłaszcza od czasu podpisania przez rząd rumuński konkordatu ze Stolicą Apostolską. Specjalny dodatkowy paragraf omawia sprawę kościołów katolickich, małżeństw mieszanych itd. Rumunia liczy obecnie 1.314.641 katolików obrządku greckiego i 1.077.036 katolików obrządku łańcieńskiego. —



Podobnie w krajach nadbałtyckich położenie katolików ulega stałej poprawie. W połowie stycznia r.b. bawił w Rzymie minister spraw zagranicznych Łotwy Munters. Omawiał on z kardynałem sekretarzem Stanu Pacellim sprawę otwarcia wydziału teologii katolickiej na uniwersytecie ryskim. Między Stolicą Świętą a Łotwą istnieją stosunki jak najlepsze, umocnione konkordatem z r. 1922, zawsze przez Łotwę wiernie dotrzymywanym. Dnia 25 stycznia r.b. nastąpił uroczysty akt podpisania dodatkowych konwencji do konkordatu Stolicy Apostolskiej z Łotwą. Konwencja ta dotyczy dwóch spraw, a mianowicie rozciągnięcia przepisów wspomnianego konkordatu na nową diecezję Lipaja (Lipawa) oraz założenia wydziału teologii katolickiej na uniwersytecie ryskim. Diecezja lipawska, erygowana w 1937 roku, obejmuje około 100 tysięcy wiernych w 52 parafiach, rozdzielonych na trzy dekanaty.

Podobnie jak w krajach nadbałtyckich, tak samo i w Danii w ostatnich czasach daje się zauważyć bardzo wyraźny wzrost zainteresowania się katolicyzmem i nauką Kościoła. Dużo w tym zasługi konwertyty, słynnego literata Jørgensena. Niedawno zmarły minister Knud Muller również się nawrócił na katolicyzm. Inny minister duński, Kaj Munk, pisarz i poeta, wyraża się o katolicyzmie w słowach pełnych podziwu i uznania. Ostatnio Munk oświad-

czył, że bardzo możliwym jest, iż Dania stanie się z czasem krajem katolickim. Podobnego zdania jest i Helge Rode, który twierdzi, że Kościół katolicki jest w stanie rozwiązać najbardziej zawile problemy społeczne naszej epoki. —

We Włoszech odbył się w obecności Ojca św. uroczysty akt inauguracji nowego roku Papieskiej Akademii Nauk. W uroczystości tej wzięło udział 18 kardynałów, gubernator Miasta Watykańskiego, Wielki Mistrz Zakonu Maltańskiego oraz 36 akademików, m. in. prof. doktor Emil Godlewski. Wśród przemówień na uwagę zasługuje przede wszystkim referat, który wygłosił uczeń słynnego Hertza, akademik Wilhelm Bjerkes, profesor fizyki matematycznej na uniwersytecie w Oslo, który podkreślił, że Marconi oddał na usługi ludzkości fale elektryczne, odkryte przez Henryka Hertza, i to w rozmiarach, jakie przedtem trudno było sobie wyobrazić. —

Na przemówienie akademików odpowiedział Ojciec św., zwracając się w szczególności w języku niemieckim do profesora Bjerkesa i stwierdzając, że aczkolwiek Norwegia geograficznie jest oddalona, duchowo jest mu bliską w tej chwili i szczególnie drogą jego ojcowskiemu sercu. Hertz i Marconi byli umysłami, które pojęły misję wyznaczoną im przez Boga. —

Z FILMU

Polska twórczość filmowa stoi obecnie pod znakiem przeróbek na ekran powieści poczytnych autorów. Wyrazem tego było opracowanie „Znachora” Dołęgi-Mostowicza.

Obecnie przygotowuje się do nakręcenia „Wrzos” Marii Rodziewiczówny. Jest to jedna z najlepszych powieści odtorki „De-wajtisa”.

Postacie powieści to nie ludzie papierowi, lecz z krwi i kości. Reżyseria spoczywa w rękach Juliusza Gardana, który nową wersją „Trędowatej” dobrze się wylegitymował ze swych możliwości.

Skoro mowa o powieściach Heleny Mniszchówny, trzeba wspomnieć o „Gehennie”, do której nakręcenia przystąpił obecnie Agefilm, dobrze zapisany wyprodukowaniem „Barbary Radziwiłłówny” z popisową rolą dla Jadwigi Smosarskiej.

Sentymentalny charakter twórczości Mniszchówny, która zjadła jej tyłu zwolenników, zwłaszcza wśród kobiet, i odbił się w krzywym zwierciadle parodii Magdaleny Samozwaniec, niewątpliwie gwarantuje powodzenie nowemu filmowi.

Na ogół biorąc w całej twórczości naszej dominowała tendencja realizowania tematów sentymentalnych, zarówno w dramacie jak i komedii. Unikano zarówno sensacji jak i historii. Wiąże się to zresztą z właściwościami polskiego rynku. W kraju o niskim poziomie kultury, trudno liczyć na powodzenie wielkiego dramatu, czy komedii. Trzeba poprzestawać wciąż na namiastkach.

Polski do pewnego stopnia temat poruszył film „Pani Walewska”. Oczywiście bohaterem jego będzie Napoleon, który pociągnął już takich wielkich reżyserów jak Abel Gance i takich aktorów jak Charlie Chaplin, marzący wciąż o filmie historycznym.

Głównym tematem będzie wyprawa na Moskwę, przepleciona incydentem polityczno-romantycznym z p. Walewską, i zakończona klęską z trzema generałami: głodem, chłodem i pustynią.



Księżna Well-Wisher podarowała księżnie Julianie z racji urodzin rasowego bociana.



Tłumy w Holandii wiwatują na cześć nowonarodzonej następczyni tronu Beatrice.



Powitanie regenta w Barbakanie w Krakowie.

Powitanie regenta Horthy'ego na dworcu w Krakowie.



Bratanica Mussoliniego Róża wyszła za mąż za redaktora naczelnego „Popolo d'Italia”.



Król Albanni Ahmed Zogou i jego narzeczona węgierska hrabianka Geraldina Apponyi.



Książę Bernard z nowonarodzoną swą córeczką Beatrycą następczynią tronu.



Marszałek Śmigły-Rydz w Krakowie u regenta Horthy'ego.



Kompania honorowa na dziedzińcu wawelskim wita regenta Horthy'ego.

Potęę tych trzech zwycięskich rosyjskich generałów ukazać w całej pełni, to jest właśnie podstawowe zadanie reżysera.

Wśród filmów, jakie wkrótce ukażą się na ekranach, zwraca przede wszystkim uwagę „Szeik” z Ramonem Novarro.

Dawno niewidziany amant przypomni się w ten sposób swoim wielbicielom, którzy podziwiali zarówno jego aktorskie zalety jak i nieprzeciętny talent śpiewaczy. Tło filmu stanowić będzie pustynia afrykańska, a temat miłość arabskiego księcia do Europejki. Temat ten, na pozór zgrany przez takie gwiazdy ekranu, jak słynny Rudolf Valentino, zawsze jednak pociąga swą egzotyką. Powodzenie filmu wydaje się więc zapewnione.

Przez tę samą wytwórnię „Monarep” wyprodukowany został obraz pt. „Tajemnica prezydenta”. Autorem scenariusza jest ni mniej, ni więcej sam prezydent U. S. A., Roosevelt.

Do ważnych nowości zaliczyć się da film produkcji „20-th Century-Fox” z Annabellą, zatytułowany obiecująco „Księżniczka i lokaj”. Partnerem jej jest William Powell. Zza kulis tego filmu przedarła się wieść o konflikcie Annabelli z naczelnym charakteryzatorem. Chciał „zmienić twarz” uroczej gwiazdy, nadać jej bardziej amerykańskie piętno. Lecz rezolutna artystka nie pozwoliła na tę operację upiększającą.

„Chcę być taka sama — powiedziała — jak w Europie. Inaczej zrywam kontrakt”.

I stało się jej zadość. Słowem Annabelli udało się wyłamać spod tyranii charakteryzatorów, której nie zdołały się oprzeć nawet takie gwiazdy, jak Greta Garbo.

Do efektownych wznowień sezonu zaliczyć należy „Kurierka carskiego”. Niezapomniany był w roli Michała Strogowa Iwan Mozzuchin. Obecnie rolę tę objął amerykański aktor, Artur Walbook, odwórcą czołowej postaci filmu „Maskarada”.

Jako swoisty odpowiednik do filmu „Nowe czasy” stworzył obecnie Charlie Chaplin film pod tytułem „Stare czasy” (Temps anciens). Film jest pełen doskonałych sytuacji, tchnie pogodnym humorem i subtelną ironią.

Któż nie zechce spotkać się znów z niezrównanym komikiem świata, by wziąć udział jako widz w jego bezradnych przekomarzaniach się z nieprzyjaznym losem.

Do filmów o podkładzie historycznym zaliczyć należy „Orlątko” z Rolfem Moebiussem w roli ks. Reichstadtu.

Marta Eggerth-Kiepurowa, która miała ostatnio szereg doskonałych filmów, jak „Słowik Wiednia”, a przede wszystkim klasycznie wprost doskonała trawestacja „Cyganerii”, pokaże się w nowym filmie „Uwielbiana”. Niewątpliwie wielbiciele jej głosu i aktorskiego wdzięku z niecierpliwością oczekują zjawienia się jej na ekranie.

Pamiętamy przecież wszyscy te głębokie wzruszenia, jakich dostarczyła nam utalentowana aktorka w roli murgerowskiej Mimi. Scena śmierci „teatralnej”, będącej jednocześnie śmiercią samej bohaterki dorównuje siłą tragicznego wyrazu scenie śmierci Damy Kameliowej, którą podziwialiśmy w odtworzeniu Greta Garbo. Powiązanie zaś teatru z życiem jest jednym z majstersztyków reżyserskich.

Dziedzina sportu od pewnego czasu słuszy za wdzięczną kanwę do serii interesujących obrazów filmowych. Producenci mieli przy tym odwagę poszukać sobie aktorów wśród gwiazd olimpijskich.

W ten sposób przeszła pod władztwo X Muzy fenomenalna łyżwiarka Sonia Henie. Okazało się przy tym, że talent jej filmowy nie jest mniejszy od sportowej sprawności.

Obecnie Hollywood może poszczycić się nową zdobywcą. Jest nią tym razem znakomity lekkoatleta, mistrz olimpijski w dziesięcioboju, Glen Morris. Wspaniały ten przedstawiciel męskiej urody znalazł partnerkę w Eleanor Holm, mistrzyni świata w pływaniu.

Z MUZYKI

Jubileusz polskiego artysty — czy może być temat bardziej wdzięczny dla krytyka? Zwłaszcza jeśli jubilat jest w całym tego słowa artystą, a zarazem człowiekiem godnym szacunku. Wiemy dobrze, z jakimi trudnościami walczyć należy wśród swoich, ile kamieni rzucają nam pod nogi rywale, którzy najczęściej do nas nie dorosli... To też kilkadziesiąt lat pracy artystycznej w Polsce liczyć należy do „emerytury” moralnej co najmniej w dwójnasób.

Tadeusz Mazurkiewicz jest typem artysty w całym tego słowa znaczeniu. Nie zaklepiął się on nigdy w martwych formułkach, ani nie był jednostronnym, jakimi są zazwyczaj instrumentalisci. Całe jego życie było wyrazem nieustannego dążenia ku doskonałości. Nie oglądał się za pochwałą, ani za tanią popularnością, co najwyżej spychając niekiedy głazy, stawiane mu na drodze życia. Po studiach fortepianowych, odbytych w Lipsku, przyszył zamiłowania dyrygenckie w twardej szkole Nikischa, potem — w okresie 1905 — 1914 prace niepodległościowe, po czym znówu muzyka. Widzimy Mazurkiewicza u pulpitu opery warszawskiej, we Lwowie, Zakopanem i za granicą — w Wiedniu, Berlinie, Sztokholmie i nawet odległym Oslo. Gdzie tylko może, krzewi on znajomość polskiej muzyki symfonicznej, ba! — propaguje nawet opery polskie, jak w Sofii, gdzie dzięki jego wpływom ujrzała światło kinkie-



Tadeusz Mazurkiewicz.

FABRYKA BIELIZNY I KRAWATÓW
pod firmą:
Zakłady Przemysłowo-Handlowe CZARNOWSKI I JEZUITKOWSKI sp. z o. o.
Warszawa, Mokotowska 50, tel. 9-35-91,
ODDZIAŁ w Łodzi, ul. Piotrkowska 111,
poleca swoje wyroby: bieliznę, kołnierze
białe, sztywne, krawaty i chustki męskie
ozdobne.

tów nasza nieśmiertelna „Halka”. Przed kilku laty Mazurkiewicz był na czele wydziału muzycznego Polskiego Radia, który za jego czasów stanął na najwyższym poziomie. Jestem przekonany, że gdyby dzisiaj był tam jeszcze jubilat, nie rozpanoszyłoby się w muzyce radiowej żydostwo, nie byłoby potrzeba tak nas kompromitujących sejmowych interpelacji. Co najważniejsze, wzrosłaby liczba abonentów, z dobrej i polskiej muzyki zadowolonych. O Mazurkiewiczu i jego działalności można by jeszcze wiele napisać. Wolę jednak spojrzeć na niego w dniu dzisiejszym — powrotu do pulpitu dyrygenckiego w operze warszawskiej. Dobrze się stało, że nastąpiło to właśnie w „Lohengrinie”, bo Lohengrin, to symbol dążeń najszczytniejszych i ukochania ideału. Tak stylowego wykonania Wagnera nie słyszałem już dawno. Mogę zestawić wieczór lutowy w operze jedynie z „Lohegrinem” w sopockiej operze leśnej. Nie dlatego, abyśmy mieli piękniejsze od Karén i Nilssena głosy. Mam w tym zestawieniu przede wszystkim na myśli wielki i słuszny pietyzm dyrygenta. Pietyzm dla dzieła, stojący powyżej wszelkich możliwych kompromisów z wykonawcami. To, co ma w sobie niewiele dyrygentów, tej miary, co Abendroth, którzy pragną wydobyć z orkiestry w pierwszym rzędzie — intencje muzyczną kompozytora. Pisząc o Mazurkiewiczu, oddam szczerą pochwałę Dyrekcji Opery za dawno oczekiwane przez nas wznowienie, a następnie najprzedniejszemu solistom naszym. Taki Mossakowski — niezapomniany Purnemanz, to śpiewak wysokiej klasy, godzien najlepszych scen europejskich. Lohengrin Wolniskiego posiada w sobie nie tylko liryzm, ale i pierwiastek bohaterski, jakże często przez wykonawców tej pięknej roli należycie nie podkreślany. Brzmienie orkiestry pełne, soczyste, „błacha” daje z siebie ile może, niezawodna czystość waltorni! Chóry, trzeciego aktu zwłaszcza, pełne poezji i tego, co Wagner pisząc o „Lohengrinie” nazywa „innigkeit”. Piękne, na długo pamiętne przedstawienie. Jak się dowiaduję, uroczystości jubileuszowe 25-lecia pracy artystycznej Mazurkiewicza odbyły się w sali Filharmonii warszawskiej w dniu 14 lutego. Wobec konieczności wcześniejszego zamknięcia numeru napiszemy o nich w następnym felietonie.

Obok poziomu artystycznego „Lohengrina” należałoby postawić bardzo staranne wznowienie opery naszych dziadów, prześmiego „Ptasznika z Tyrolu” Zellera.

Ile szczerzej, wruszającej poezji i ile pięknych myśli posiada „Ptasznik”. Można by z tego bogatego materiału napisać co najmniej ze trzy „współczesne” komedie muzyczne. Okazuje się, sądząc z powodzenia „Ptasznika”, że pierwiastek melodii nie przeżył się, jakby sobie tego życzyli „Kakofoniści” polscy. Wręcz przeciwnie melodie te i akcja ujmują nas i zachwycają zarazem. Maryla Karwowska wygląda w tej opercie jak brylant w stylowej oprawie, a śpiewa piękniej, niż wszystkie ptaki tyrolskie. Jeszcze jedna chluba naszej muzyki, mimo wszystko — należycie nie do-

ceniona. Nowa „gwiazdka” operowa, *Kostrzewska*, którą słyszeliśmy już w roli Juanity w „Słońcu Meksyku”, to niewątpliwie utalentowana i z przyszłością śpiewaczka. Głos czysty, dobrze „niosący”, może gra jeszcze trochę nie śmiała. Kostrzewska umie nawiązać systematyczny kontakt z publicznością, która przyjmuje ją serdecznie. Witano również gorąco Adama Dobosza i oklaskiwano go owacyjnie zwłaszcza za arię z ostatniego aktu. Słuchając go i patrząc nań, trudno wprost uwierzyć, że to również... jubilat! Bardzo udany przedstawienie nazwałbym również „Traviatę” z *Adą Sari, Badescu i Tasianu* w rolach głównych. Mieliśmy również gościć znaną rumuńską gwiazdę wokalne, *Pii Igi* oraz *Ladisa* — *Kiepury*. Dała się również słyszeć Wanda *Wermińska* w najlepszej, zdaniem moim, roli — w „Carmen”. I jeszcze jeden jubileusz — tym razem mistrza sztuki choreograficznej, popularnego od lat 35 *Piotra Zajlicha*. Dobrze się stało, że związane ten moment uroczysty z wznowieniem dawno nie granego „Pana Twardowskiego” Ludomira Różyckiego. Dzieło to — pamiętać należy — obiegło w ciągu ostatniego 10-lecia najcenniejsze sceny europejskie. Zwiedzając w antراكcie *wystawę baletową* w foyer I piętra Opery dowiadujemy się z przeróżnych zdjęć, afiszów i programów o triumfalnej wędrówce „Pana Twardowskiego” po Austrii, Czechosłowacji, Danii i Szwecji, a może i innych krajach. Nic w tym dziwnego, jeśli się zważy, że polskość tego arcybaletu zawiera się nie tylko w akcji i fabule, ale równolegle idzie ku nam z każdego taktu partytury. Takie obrazy, jak roztańczone przekupki (i stragany!) krakowskie, jak karczmia „Rzym”, czy też wizja królewska muszą zachwycać nie tylko nas, ale i najbardziej czułych cudzoziemców. Opera nasza dobrze zażyła się sztuce w okresie sprawozdawczym. To należy podkreślić. Nagroda — będąca zarazem radością sztuki polskiej, winno być najrchlejsze jej upamiętnienie. Zobaczymy wówczas, co pokażą nasi dyrygenci, orkiestra i zespoły wokalne! Jakich zdobędziemy solistów!

Oddając tym razem tyle uwagi Operze warszawskiej, mogę jedynie syntetycznie omówić najważniejsze zdarzenia z życia estrady. Kilka kolejnych „piątek” w Filharmonii dało nam poznać niemal wyłącznie wielkich pianistów. Grali zatem ostatnio: *Claudio Arrau, Kaempff, Rummel* (bardzo pięknie podany koncert Czajkowskiego), wreszcie ulubieniec naszej publiczności i laureat I nagrody konkursu chopowskiego, *Aleksander Uniński*. Gra Unińskiego, raczej refleksyjna, niż błyskotliwa, pełna dyskretnej rezerwy i umiaru, czaruje nas jednak na swój sposób. Odegrany koncert e-moll, a następnie długi szereg utworów tegoż kompozytora (w Konserwatorium) dowiódł raz jeszcze, że nagroda, jaką dostał Uniński, była słuszną. Zupełnie odmiennym typem pianisty jest *Czerkassky*. Tu w koncercie e-moll Rachmaninowa zabłysło wielkie wirtuozostwo, zawrotna technika. Grał wreszcie wielki *Alfred Hoehn*, jak zwykle, ulubionego przezeń *Brahmsa* (koncert B-dur). Z dyrygentów spotkaliśmy się ponownie ze znanym nam z lat ubiegłych *van der Palsem*. *Korensternem* i *Walerianem Bierdiajewem*, najlepszym mimo wszystko w muzyce rosyjskiej.

Z koncertów w sali Konserwatorium (zasłużone kierownictwo dyr. Markiewicza) udało mi się słyszeć III wieczór utworów

Szymanowskiego. Pietyzm dla zgasłego kompozytora wielki. Lepiej by jednak było urządzać mniej koncertów, a wyposażyć je w lepszych wykonawców; bodaj zagranicznych, jeśli takowych jeszcze nie posiadaliśmy. Właśnie przez pietyzm dla autora „Harnasiów” należałoby to uczynić. Wdzięczni za to jesteśmy zasłużonemu *Towarzystwu Muzyki Dawnej* za parę ostatnich jego audycji. Jedną z nich wypełniła świetna poza artystów w osobach *Unińskiej* i *Dygata* (sonety Mozarta, Brahmsa i „Kreutzerowska”). Ten wieczór sonetowy, dzięki wysokiej klasie wykonawców, pamiętać będziemy długo. Również i następna audycja, zawierająca szereg zgoda nie znanych utworów dawnej muzyki polskiej odnalezionych, jak głosił program, za granicą, przyniosła nam wiele. Druga jej część w wykonaniu ulubienicy stolicy, *Anieli Szlemińskiej* dobrze kontrastowała z pierwszą. Przy tej sposobności apelujemy do zasłużonego kierownictwa koncertów w sali Konserwatorium o... *naoliwienie krzesel*, zresztą nowych i bardzo wygodnych. Najpiękniejsza audycja, czy też recital, przerywany co chwila żalnym piskiem krzesel, traci co najmniej połowę swojej wartości. Te braki należy co prędzej usuwać podobnie jak plagę, w kraju naszym spotykaną — rozstrojonych fortepianów (na estradach!), spóźniających się słuchaczy koncertowych i — postrachu wszystkich koncertów — szeleszczących papierków „cu-kierkowych” podczas produkcji.

Wł. B.

ZE ŚWIATA PLASTYKI

Wystawa druków i rękopisów z okresu powstania styczniowego.

Każda wystawa dzieł sztuki, kultury, pamiątek historycznych itd., zdjętych ze ścian lub wyjętych z gablot i szaf muzealnych; wywołuje właściwy sobie nastrój. Obrazy bowiem, papiery i książki, zebrane żmudną ręką badacza — organizatora wystawy, tworzą chwilowy zespół żywych świadków myśli twórczych, wysiłków ludzkich, wypadków. Ten zespół wnosi ze sobą na sale wystaw osobliwą atmosferę. Każdy kto zwiedza taką wystawę, jest otoczony ową atmosferą, i jeżeli tylko zechce się jej dobrowolnie poddać, zechce ją w siebie wchłonąć — może otrzymać w zamian całą moc sugestii, płynącej od pozornie martwych przedmiotów.

Nie przypominam sobie, ażeby większe wzruszenie ogarnęło mnie przy zwiedzaniu którejkolwiek wystawy, jak tej, co zwiadałem niedawno w Muzeum Narodowym. Może wiek mój jest tego przyczyną, może mimo tego wieku żywo w mej pamięci zatrzymany obraz dawno minionych lat, wspomnienia okružających mnie — dzieł powstania — bohaterów walk z okrutnym, nieubłaganym wrogiem Ojczyzny... może?... Przysnągę się otwarciu do tego wzruszenia, do tej pokory i modlitewnej czci, z jaką oglądałem te święte relikwie narodowe. Przysnągę też, że wartością moralną drogocennej spuścizny styczniowej naprawdę odczuwa to pokolenie i te warstwy, którym matki i ojcowie przekazali tradycje narodowego obowiązku i wszczępili część dla ofiar krwi polskiej. Straszliwa zaiste była ta ofiara. W 1.200 bitwach i potyczkach poległo około 30.000 powstańców, dziesiątki tysięcy pograne były na Sybir, lub zgniło w wilgotnych lochach katog i więzień trzech zaborów,

dziesiątki tysięcy zostało oderwanych od ojczyźnej ziemi, od rodzin, na których zjechał się zjadły zbir, niezależnie od kar przeciw samym powstańcom wymierzonych.

Oto patrzmy teraz na dowody nadludzkich mąk naszych dziadów i ojców, na świadectwa heroizmu, co kończył się na hańbiącym drzewie szubienicy lub wsiąkał bezimiennie wraz z uciekającym życiem w tajgi i kopalnie Sybiru. Zatrzymujemy wzrok na pożółkłych kartach żandarmerskich aktów, na wyrokach śmierci i wygnania, gdzie każda litera kaligrafowana starannie ręką kata woła straszliwym głosem: „Patrzcie, czytajcie pokolenia Polaków, jak my te nikłe litery byłymy potężne, że mogliśmy zniszczyć najlepszych synów waszego narodu. Oni nie ulekli się naszych armat i karabinów, a my jednak zepchnęliśmy ich w ciemną mogiłę”.

Ze wzruszeniem niesłabnącym spoglądamy (1-sza gablota i ekran) na druki, ulotki, zaproszenia, przypominające nam owe tłumne manifestacje, rozpedzane dzikim żołdactwem, nabożeństwa żałobne, pogrzeby, uroczystości narodowe. Mieszczą się tutaj również akta kancelarii sądów wojennych, korespondencja (prześlicznym maczkiem pisana) *Andrzeja Zamoyskiego*, ówczesnego duchowego przywódcy szlachty Królestwa; protokoły delegacji z r. 1861, jako prawowitej władzy obywatelskiej, która po demonstracji lutowej (pięciu poległych) była dopuszczona przez namiestnika rosyjskiego *Gorczakowa* do współrzędów stolicą; pismo *Bakunina* do ruskich, polskich i wszystkich słowiańskich przyjaciół; pismo *Garibaldi*, tekst paryskiego tygodnika „Illustration”, zaczerniony przez cenzora, z dodaną ryciną, przedstawiającą manifestację na Placu Saskim. Wreszcie znajdują się tutaj drogie pamiątki: bransoletki w kształcie kajdanek, pasy żałobne, emblematy patriotyczne, krzyżki itd.

Opodal druga gablota zawiera manifesty Centralnego Komitetu Narodowego jako Tymczasowego Rządu Narodowego (22. I 1863 r.), wzywającą wszystkich obywateli polskich do powstania i zapowiadającą uwłaszczenie włościan, blankiety, awizacje, pieczętiki.

Z kolei (2-gi ekran, 3-cia gablota) oglądamy dokumenty tajnego Rządu Narodowego, akty organizacyjne i inne druki.

Powstanie styczniowe obok krwawego gwałtu ze strony zaborców, tłumione było na drodze dyplomatycznych posunięć, dla zabezpieczenia się przed jakąkolwiek interwencją Europy w sprawach polskich. Pomimo jednak największych zabiegów ze strony Rosji i Prus, nie udało się zmylić i całkowicie uspić sumienia ludów Zachodu. Publiczne wyrażania sympatii wszystkich niemal narodów europejskich, łącznie z amerykańską republiką, dla naszego ruchu wyzwolenczego — zmusza w końcu rządy poszczególnych państw, jak Francji, Anglii, Turcji, Stanów Zjednoczonych i in. do przedsięwzięcia kroków na terenie międzynarodowej akcji dyplomatycznej w obronie katowanej Polski. Niezdecydowane stanowisko cesarza Napoleona III, kokietującego Rosję, zaangażowanego przy tym w meksykańskie sprawy, zwrócone przeciwko Stanom Północnym, które wówczas walczyły ze Stanami Południowymi, niedanie realnej pomocy Polsce, liczącej na ową pomoc — wrocie intrygowanie Bismarcka, przyspieszyło tragiczny koniec powstania. Papierowym notom i mglistym zapowiedziom ogólnoeuropejskiej konferencji, wysunię-



Słynny automobilista niemiecki Rosemeyer zabił się w wypadku samochodowym.



P. Prezydent Mościcki i Regent Horthy na raucie na Wawelu.



Wielki most na Niagarze załamał się pod naporem lodów.

Król Faruk i królowa Farida na bankiecie ślubnym w Kairze.



P. Prezydent Mościcki i Regent Horthy w Białowieży.

Pożegnanie na dworcu w Warszawie.





Regent Horthy w krypcie pod Srebrnymi Dzwonami.



Prezydent Roosevelt przyjmuje wodzów indyjskich.



Obiad galowy w Sali Rycerskiej na Wawelu na cześć regenta Horthy'ego.

Regent Horthy przed grobem Nieznanego Żołnierza.



Nowy rząd francuski z premierem Chautemps na czele.

Kancelarz Hitler składa życzenia urodzinowe min. Neurathowi



tym przez Francję i Anglię — Rosja zrzęcznie odpowiedziała, uważając zaś w dalszym ciągu sprawę polską za wewnętrzną sprawę państwa rosyjskiego, zalała bezlistość powstanie potokami krwi. Okazała się jeszcze raz niezbita prawda, iż naród i państwo mogą oprzeć się tylko na własnej sile ducha i oręża i wtedy tylko mogą być brane w rachubę przez sąsiadów bliższych, lub dalszych. Ekspozyty (3-ci ekran, 4-ta gabłota, 4-ty i 5-ty ekran, 5-ta gabłota), tutaj znajdujące się ilustrują szeroko rozgałęzioną działalność Rządu Narodowego za granicami kraju. Są tutaj wystawione polskie despesze dyplomatyczne, szyfry i klucze do szyfrów państw wrogich, umowy i inne akty międzynarodowe, dokumenty zagranicznych komitetów polskich, odezwy komisarzy Rządu Narodowego do naszej emigracji itd. Osobno zgrupowane są adresy wyrażające sympatię dla Polski rozmaitych organizacji społecznych w Anglii, Francji, Szwajcarii, Belgii, Italii, Hiszpanii, Skandynawii, Turcji, Stanów Zjednoczonych Ameryki i in., apele kobiet angielskich i francuskie, adresy Ligi Niepodległościowej, listy i druki w sprawach kolonizacji Polaków w Ameryce Środkowej, odezwy do emigrantów, głos kleru polskiego „Vox sacerdotum Poloniae ad venerabilem Clerum Totius Orbis”, okólnik do agentów zagranicznych, proklamacje Rządu Narodowego, objaśnienia o szpiegostwie rosyjskim za granicą, charakterystyczny rękopis pieśni robotnika francuskiego, skierowanej do Polski i odpowiedź na nią ks. Czartoryjskiego. W środku umieszczony został duży plakat z podpisami profesorów, studentów, robotników, urzędników i mieszczan Brukseli, wzywający Belgów na zebranie w sprawie Polski.

Następnie przychodzimy (6-ta gabłota) przed zbiór regulaminów poszczególnych rodzajów broni w formacjach powstańczych i instrukcji tworzenia oddziałów partyzantycznych. W gablocie jest rękopis pułk. Stelli-Sawickiego historii powstania wraz z planami bitew, tuż widać ilustracje współczesnych pism obcych.

Dalszy ciąg litografii i drzeworytów, obrazujących sceny powstania, oglądać możemy obok (6 i 7-my ekran). Na ilustracjach tych jesteśmy w stanie śledzić różny sposób odnoszenia się zagranicy do naszego ruchu zbrojnego, idealizowanie, wrogą tendencję, nawet złośliwą karykaturę.

Inne gabloty (7-ma i 9-ta) zawierają rozkazy Rządu Narodowego i wybitnych dowódców powstania, raporty, odezwy Langiewicza, Mirosławskiego i inne.

Gdzie indziej (8-my i 9-ty ekran) zgrupowane są wizerunki dowódców powstania, są to litografie italskiego pochodzenia, zatem portrety: Wysockiego, T. Costy, Borełowskiego, J. de Blunkenheima, A. Komorowskiego, Działyńskiego, Rochebruna, Caliera, D'Abina, Godlewskiego, Zychlińskiego, Langiewicza, Śmiechowskiego, Bolesława Kołyszki, Orłowskiego... wreszcie zatrzymujemy się jakby przy żywym sercu powstania, a równocześnie jego żałobnym ołtarzu, przy pamiątkach po Romualdzie Traugucie. W medalionach ekranu (10-tego) widnieją twarze czterech towarzyszków stracenia, naczelnika Romualda Żulińskiego, Józefa Toczyńskiego, Rafała Krajewskiego, Jana Jeziorańskiego, a w środku portret samego Traugutta. Na dole w gablocie (10-tej) spoczywa wyrok Berga, skazujący Traugutta i jego towarzyszy na śmierć. Drżałem czytając zimne, bezduszne wyrazy tej tragicznej karty dziejów

Polski, karty zdeptanej godności człowieka. A potem wzruszające drobiazgi: fotografia rodziny Naczelnika, listy żony i dzieci do ojca, pamiętnik Traugutta, mała księżeczka w oprawie szytej paciorkami z wyhaftowanym monogramem i datą 1855 w girlandzie kwiatów, tchnącym całym romantyzmem epoki. W końcu przyciągają wzrok znakomite dwa rysunki Traugutta. On także, podobnie jak poprzedni Naczelnik Kościuszko, odznaczał się talentem plastyka i rysował jak skończony artysta. Ze zdumieniem patrzyłem na jego ręką wykonany miniaturową manierą, portret kolorowy dwójga dzieci. Drugi ołówkowy rysunek wyobraża wnętrze...

Zamyślony szedłem dalej zobaczyć (11-ta i 12-ta gabłota, 11-ty i 12-ty ekran) inny wyrok śmierci, wydany na ostatniego naczelnika Warszawy Aleksandra Waszkowskiego. Obok spoczywają zeznania Pawła Landowskiego, naczelnika „Straży Bezpieczeństwa”, plany ówczesnych fortyfikacji miejskich, wydobyte od Rosjan przez władze powstańcze, nakazy kontrubycyjne, jakimi obkładali Moskale stolicę, w ich mniemaniu siedlisko „miateża” (buntu), akty spalenia ratusza itd.

Charakterystycznie dla tego okresu brzmią tytuły ówczesnej naszej prasy (13-ty ekran) powstańczej: „Wolność”, „Strażnica Polska”, „Naprzód”, „Prawda”, „Niepodległość”, „Dziennik Narodowy”, „Dzwon Duchowy”. Przegląd tych wydawnictw dopełnia umowa między tajnymi władzami polskimi, a grupą drukarzy warszawskich, oraz wyrok skazujący Szwarcęgo po wykryciu tajnej drukarni.

Obraz powstania nie byłby całkowity, gdyby w przeglądzie jego historii brakło dziejów bohaterstwa ruchu wyzwolenczego i walk orężnych na ziemiach litewsko-ruskich. Już na początku okresu powstania styczniowego, potężne manifestacje Uscitnga i Horodła stwierdziły łączność południowo-wschodnich województw z ziemiami Królestwa, potem przez cały ciąg walki z Moskwą powstanie płońgo bodaj najżywiej tutaj w lasach Podola, Wołynia, Ukrainy, ostępach Polesia i kniejach Litwy i Zmudzi. A kiedy w Królestwie milkły już strzały powstańców, jeszcze ks. Mackiewicz z bronią w ręku uragał potędze „białego cara”, jeszcze na rubieżach Polski niepokonany powstańca groził oddziałom wojsk rosyjskich. Czyż zresztą najzdolniejsi obok Traugutta wodzowie powstania Edmund Różycki i Zygmunt Sierakowski nie pochodzili z tych ziem?...

Dusza powstania na Ukrainie, Podolu i Wołyniu była młodzieżą polską uniwersytetu kijowskiego. Ona to w uniesieniu romantycznym zwróciła się do ludu rusińskiego z gorącym apelem braterstwa i wolności, chcą zaś zadokumentować swój szczerzy demokratyzm posłała na wieś z aktem uwłaszczeniowym, ową słynną „Złotą Hramotą” — w nagrodę otrzymała — rzeź Sołowiówki. Chłopstwo tych ziem zajęło wrogą postawę wobec powstańców, wydając „idealistów” w ręce siepaczy moskiewskich, ci bowiem umieli mądrze wytłumaczyć chłopu, iż „pany” modlą się w kościołach nie o wolność włościan, a o powrót pańszczyzny. Toteż Moskale dufni w swą moc nie zawahali się drwiąco pisać o Polakach:

Zrobić powstanie, chłop nas nie posłucha,
Bo już swobodny do nas nie należy,

Wolać do niego, nie nastawi ucha,
Zadarłszy nogi na pościeli leży¹⁾.

Dlatego z dziwnym uczuciem żalu przebiegałem oczyma (13-ta i 14-ta gabłota, 14-ty ekran) odezwy płomiennie, redagowane przez inicjatorów polsko-litewsko-ruskiego zbratania, w językach rusińskim, białoruskim, litewskim i jakby odpowiedź na to leżące opodal rozkazy powieszenia Kołyszki i Sierakowskiego, wysiedlania włościan w głąb Rosji i inne dokumenty terroru Moskwy. Tutaj też zebrane są pieśni i wiersze powstańcze, tajnie przepisywane, śledzone czujnym okiem żandarma, a krążące po domach miast i dworach dalekich wsi. Dopełniają ten zbiór — listy najwybitniejszych przywódców powstania litewskiego: ks. Mackiewicz, Z. Sierakowskiego, F. Dalewskiego i K. Kalinowskiego.

Również w tej grupie mamy przegląd dokumentów, tyjących się ruchu powstańczego na obszarach zaboru austriackiego, wprawdzie bardzo pobieżny, lecz interesujący, choćby dla porównania z późniejszym ustosunkowaniem się do Polaków cesarza Franciszka Józefa, tego arcyfałszywego dynasty. Podpis jego widnieje pod manifestem z dn. 24. II 1864 r., ogładanym obecnie na tym miejscu. Widzimy dalej nazwiska szpiegów austriackich w Krakowie, zestawione przez policję narodową; karty ewidencyjne powstańców, sporządzone przez dyrekcję policji austriackiej we Lwowie, zeznania i akty rewizji u ks. A. Sapiehy, memoriał Zygmunta Kaczkowskiego o powstaniu, powielony i rozesłany władzom, obwieszczenia sądów wojennych itd. Całość zamykają odezwy organizatorów powstania w zaborze pruskim, oraz pamiątki świętochliwej działalności gorącego patrioty arcybiskupa Feliksa Felińskiego. Tutaj znajduje się jego uroczysty protest przeciw wyrokowi śmierci na ks. Konarskiego i list papieża Piusa IX, adresowany do nieustraszonego pasterza, wywiezionego przez Moskale.

Trzy obrazki na ścianach mówią również bardzo wiele. Pierwszy, olejny, pędzla Aleksandra Lessera (1814 — 1884) oddaje w doskonałym malarskim ujęciu grozę oświetlonej pochodniami nocy, pamiątkę manifestacją na Rynku Starego Miasta, drugi przedstawia pogrzb pięciu poległych, trzeci masakrę w r. 1861 na Placu Zamkowym w Warszawie...

Zakończona wędrówka po polskiej Golgocie...

Kiedyś zapewne zbudowane zostanie potężne mauzoleum, wzniesiony będzie gigantyczny pomnik wiekowych walk Polaków o wolność kraju, o wolność ludów, pomnik streszczający jego cierpienia, jakie nie poniósł żaden cywilizowany naród Europy, ukazujący jego bohaterstwo najwyższe w nowoczesnej historii Zachodu.

Wystawa grottgerowska.

Równocześnie z wystawą pamiątek styczniowego powstania w sąsiednich salach Muzeum Narodowego otwartą została wystawa obrazów Artura Grottgera, właściciwie trzech wielkich cykliów, mianowicie: *Warszawy, Polonii i Wojny*. Jest to bardzo chwalebny czynem Komitetu organizacyjnego i zupełnie słusznym połączenia tych dwóch wystaw razem, gdyż arcydzieła Grottgera wiążą się najistotniej z powstaniem 1863 r.

1) Mgr Stanisław Hertel, „Echa powstania styczniowego na Wołyniu w literaturze polskiej”. Druk. „Ilustr. Kurier Codzienny”. Kraków 1937, nr 18, z 18. I.

Poza tym cykle owe, jako dzieła artyzmu, nie mają sobie równych kompozycji w dziejach nowożytnej sztuki. Z dumą i radością możemy twierdzić²⁾, „że ani Jena, ni Lipsk, Walterloo, Trafalgar, ni Sedan, ani Solferino, ni Custozza, żadne klęski, ni zwycięstwa narodów walczących w zeszłym wieku o wolność i niepodległość nie wydały nigdzie dzieła mogącego się równać choćby w dowolnej mierze głębokością i szczytnością uczuć narodowych z cyklami Artura Grottgera”. Treść tych słów rozciągnąć możemy i przenieść nawet na okres wielkiej wojny i inwazji bolszewickiej.

Kysunki cykłów dlatego otrzymują pierwsze miejsce w pantheonie sztuki narodowej, ponieważ, oprócz technicznej doskonałości, posiadają nieporównaną wartość moralną. Każdy bowiem naród przechodząc w swej historii chwilę przełomową, jeśli otrzyma z ręki wybrańca-pośłannika widomą syntezę „Dobra” i „Zła”, wstępuje na wyższy stopień rozwoju duchowego. Wówczas wzmagają się żywotne siły narodu i odradza się niejako jego wewnętrzna treść. Grottger był właśnie owym wybrańcem Bożym. On podniósł swą twórczością — kulturę duszy polskiej na przeogromne wyżyny, on skierowując wzrok tej duszy na ból Ojczyzny — uzdolnił ją do zrozumienia cierpienia całej ludzkości.

Niestety, nie oglądamy na wystawie cyklu *Lituanii*, gdzie artysta zdołał świat rzeczywisty przeniknąć światem nadzmysłowym — tworząc mistyczną niemal wizję sześciu scen — wstrząsających niezmiernym urokiem Piękna.

Cykl *Polonii* dotychczas u nas znany tylko z reprodukcji, po raz pierwszy od chwili kiedy artysta wystawił go w Wiedniu w 1863 r. przybył teraz do Ojczyzny. Kartony kupione przez hr. János Palfy'ego, raz tylko były wystawione w Paryżu w roku 1930. Magnat węgierski rozmiłowany w polskim arcydziele — przez cały ciąg życia († 1908 r.) strzegł go zazdrośnie wśród innych obrazów, wzbraniając wstępu do swych bogatych zbiorów w Wiedniu, potem w Budapeszcie.

Warszawa, mająca najwięcej może z czterech wielkich cykli charakter ilustracyjny — powstaje w r. 1861 w Wiedniu, bezpośrednio po wypadkach żałobnych w stolicy. Już wówczas wśród Niemców cykl „Warszawy” wzbudził ogromny entuzjazm, tłumy zwiedzają wystawione publicznie kartony, reprodukcje widnieją w witrach głównych księgarń, poeci wiedeńscy komponują wiersze, poświęcone Warszawie, niebawem druga jej wersja zakupiona zostaje w Anglii.

Wojna stanowi najwyższy punkt twórczości Grottgera, jest najwyższym punktem, do którego myśl polska się wzniosła. Linia duchowego rozwoju narodu prowadzi przez sam środek tego cyklu, tak jak przez *Bitwę pod Grunwaldem* Matejki³⁾. Miłość do kobiety była bodźcem stworzenia tych kompozycji — zrodziła zaś jej bezgraniczną miłość artysty do Ojczyzny i ludzkości.

Poza tym na wystawie znajduje się *portret własny artysty*, zdaje się, że najpóźniejszy ze wszystkich jego autoportretów — świetny swoim światłocieniem, smutny bezmiernie swoim wewnętrznym wyrazem...

Dwa obrazy olejne: *Nocturno*, przejmujący eichym, tragicznym liryzmem i *Pożar*

dworu pod Miechowem, kontrast żywiołowy poprzedniej kompozycji, pochodzący ze świętego okresu powenneckiej twórczości Grottgera z lat 1864-5.

Wchodząc na wystawę pełni zubożonego skupienia, poddałmy się całkowicie władczemu urokowi geniuszu, co prowadził mistrza poprzez „Dolinę łez”. Oglądając po raz wielokrotny szereg arcydzieł, nie staraliśmy się mędrkować, jak to czynią u nas pewni historycy sztuki z okazji wystaw grottgerowskich — uważają się, co najmocniejsze, za urzędowych znawców Piękna!... Odchodząc czuliśmy bezmierną wziętność dla Grottgera za to, iż mogliśmy bodaj przez krótką chwilę spoglądać jego oczyma na zamkniętą pieczęcią smutku — historię własnego narodu.

Zachęta.

Wystawa zbiorowa Adama Bunscha. Kartony polichromii i witraży do dekoracji kościoła N. P. Maryi w Katowicach.

A. Bunsch do transcendentalności nie ma zupełnie (przynajmniej obecnie) danych, stąd najlepiej się przedstawia tam, gdzie traktuje po prostu realnie malowany „sujet” np.: „Opuszczone dzieci”, „Więźniowie”, „Miłosierny Samarytanin”, przy tym nie wyczuwa dekoracyjności. Bryłowane ultrarealistyczne malowanie nie odpowiada charakterowi monumentalnej dekoracji, tym więcej, że surowe w tonie i ostre, niezharmonizowane dysonanse mijają się z podstawowymi wymogami malarstwa ściennego. Najszabszy jest karton nr 16 *Chrystus na krzyżu*. Powykręcane karykaturalnie, niby w konwulsjach, ciało Zbawiciela ma stanowić gest artysty w stronę „modernizmu”. Na pojęcie wibrującego światła można by zgodzić się, lub nie, przynajmniej jednak na brak wszelkiego majestatu w postaci Chrystusa i Matki Boskiej, której figura teatralnie upozowana ma wytworzyć jakieś neobarokowe idee. Wreszcie artysta zupełnie nie uznaje kolorowej przestrzeni. Jakiś ponury purytański-żałobny ton góruje nad całością kartonów. Jeżeli jeszcze zwrócimy uwagę na wadliwą architekturę kompozycyjną, zwłaszcza w „Śnie Jakuba”, i zupełnie w kościelnym nastrojem nieliczącą terazniejszość ubrań, to twierdzenie początkowe zdaje się być, niestety, udowodnione.

Wiesława Jasińska wystawiła 21 prac — wszystkie niemal przedstawiają martwą naturę przechodzącą w „szantard”. Wprowadzając do tzw. „martwej natury” pierwiastek, ślisiej mówiąc — symbol życia — sądzę, że należy utrzymać konsekwencję. Dramat wewnętrzny musi wytworzyć się na tle bezwładu przypadkowości, inaczej traci logikę psychiczną, co właśnie uwidoczniła się w kompozycjach z lalkami. Zresztą „Lalka i pierrot”, odwieczny temat, jest najlepszym wśród tego zbioru.

W pracach *Feliksa Rolińskiego* znać pewne łamanie się — skutek — nie osiągnięcia celu. Widać rozmiłowanie się u artysty w efektach świetlnych. Do najlepszych z obecnego zbioru prac pragnę zaliczyć: „Stogi”, „Altankę”, „Kościół w Bielsku”, „Nad stawem”, „Z Bystrej”, „Chatę góralską” i „Zimę w Beskidach”.

Aleksander Sołtan nie wnosi nowych walorów, maniera jego graficzna sąsiaduje z dyletantyzmem.

Kolekcja prac *Bronisława Kopczyńskiego* pn. *Polski wschód* odznacza się dużym odczuciem światła, wskutek czego wydobywa zamierzony „lokalizm”. Większy znacznie sukces osiągnąłby artysta, gdyby nie krę-

pował się zbyt realizmem. Tam, gdzie Kopczyński daje ujście pewnej niesamowitości kształtów, jest najbardziej sobą. Akwarela w ogóle nie lubi skrzętności i detalizmu!... Osobiście uważam za najwięcej malarskie prace: „Maj w Krzemieniu”, „Białokamień”, „Hrubieszów”, „Krzemień”.

Maciej Nehring zgromadził kolekcję bardzo dobrych akwael. Przerzucenie się jego do śniegowych widoków jest szczęśliwe — znać duży postęp. Bałbym się trochę już lekkiej manieri mgławicowej, zresztą technicznie doskonale rozlanej („Droga do lasu”, „Las we mgle”). Myślę, że do „czołowych prac” należą obecnie: „Ślad zająca”, „Mnich w zimie”, „Śnieżycą”, „Osnieżone świerki”, „Dolina Białej Wody”, „Śnieg”, „Jaworzyna” i „Bukowina”.

Wystawa prac Włodzimierza Nałęcza i Stefana Manasterskiego w salonie Komitetu Przyjaciół Sztuki.

Prekursor polskiego malarstwa morskiego wystawił szereg interesujących obrazów olejnych, z których np. „Mewy”, „Wschód słońca”, „Łódki na morzu” tchną rzeczywistym morskim powietrzem. Znajduje się tutaj duży zbiór jego grafiki, przedstawiającej statki polskiej floty wojennej („Blyskawica”, „Burza”, „Wicher”, „Grom”). Artysta ukazał nam również bardzo ciekawy model polskiego statku wojennego z XVII w., przechowywany w ratuszu Zirig See (Holandia). „Kompozycję Nałęcza „Bitwa pod Oliwą” przed 25 laty cenzura rosyjska nie pozwoliła pokazać”.

Stefan Manasterski wystawił szereg drobniejszych olejnych pejzaży z różnych stron kraju i zagranicy. Artysta włada bardzo biegle pędzlem w tego rodzaju „imprezjach”, umie podpatrzeć charakter architektury i otaczającej ją przyrody. Miłe są widoki z jeziora Wigierskiego, Wisńca, z Wenecji, Jugosławii, wreszcie zmiękają widać się kontury uliczek staromiejskiej Warszawy.

Salon Koterby gościł zbiór pejzaży *Aleksandra i Janiny Tesslarów* afrykańskich. Nie wszystkie są należycie „postawione”. Do najlepszych należą: „Madagaskar”, „Osiedle w Marokko”, Targ w Marakeszu”.

Dr M. Nałęcz-Dobrowolski.

Z TEATRU

Nie można powiedzieć, by dzieło Tołstojaja „Anna Karenina” zyskało na przeróbce scenicznej. Istotna wartość powieści polega na wnikliwie przeprowadzonej analizie psychologicznej oraz gruntownie podmalowanym tle obyczajowym i społecznym. Konflikt sam jest bowiem schematycznie prosty: trójkąt — małżeństwo i ten trzeci. Lecz Tołstoj właśnie w ramach tego zasadniczego szematu postanowił wykazać całą wartość instytucji małżeństwa, formy uświęconej sankcją Boską i społeczną. Małżeństwo daje miłości niezbędną pozycję, by mogła rozwinąć się w pełni i ujawnić cały swój urok i walor.

Małżeństwo Anny Kareniny istotnie dało jej piękną pozycję towarzyską. Mąż jej, wysoki dygnitarz, jest niewątpliwie postacią interesującą, łączącą w sobie niemal sumę zalet umysłowych i ten tak ważny dla równowagi ogniska domowego autorytet. Jedynym brakiem jest zbyt może poważny już wiek pana męża, który stwarza dystans oziębłości tam wszędzie, gdzie najistotniejszym łącznikiem okazać by się mogła czułość.

²⁾ Jan Bóloz Antoniewicz, „Grottger”. Lwów. Str. 348 itd.

³⁾ J. B. Antoniewicz. Ibid. Str. 499.

Tę czułość, ogromny, nienaruszony niżym jeszcze kapitał miłości, ofiarowuje Annie por. Wroński. Świety kawalerzysta reprezentuje niezwalczony urok młodości i męskiej urody, który musi podbić Annę, wyekspluować niewyżyte w małżeństwie z rozsądku pokłady serdeczności.

Lecz i dla tego przeżycia potrzeba odpowiedniego forum, warunków, które by dały możliwość osiągnięcia jego pełni. Potajemna miłośćka zapewnić ich nie może. Przeciwnie sprawia, że słodycz miłości fermentuje, przemienia się w zły kwas. Wspinały oficer musi zerwać z karierą, Anna ucieka od męża. W rezultacie oboje tracą swą pozycję towarzyską, a wraz z nią tę niezbędną atmosferę współżycia, która bywa czasami uciążliwa, ale bez której obyć się nie można, jak bez ubrania.

Najmocniej odbija się to na Annie. Wytrącona z równowagi, popada ona po prostu w historię. Atakuje swego męża w sprawie rozwodu (rzecz możliwa w Cerkwi prawosławnej), gdy mąż odmawia, szaleje z gniewu, gdy zgadza się, pod warunkiem zachowania pozorów — nie przyjmuje...

Podobnie pastwi się nad swym kochankiem, tyranizuje go wymaganiami absolutnej miłości, nie mogąc zrozumieć, że mężczyzna ma w życiu poza kobietą jeszcze inne cele i ambicje.

Wynik tego wiadomy — desperacja i skok pod pociąg.

Gorzki jest smak tej „niedobrej miłości”, jakby ją nazwała Z. Nałkowska. Poczynamy rozumieć cały sens aforyzmu, jaki wypowiada przyjaciel Wrońskiego:

„Ślubna żona, to ciężar dobrze umocowany na plecach; i iść z nim można długo i ręce ma się wolne; ale życie z kochanką, to ciężar, który niesie się trzymając go cały czas na rękach; i mężczy bardziej i ręce są zajęte”...

„Balladyna” Słowackiego, wystawiona na scenie Teatru Narodowego, niewątpliwie stanie się atrakcją kulturalnej elity. Przede wszystkim poza jednym z najcudniejszych tekstów Słowackiego, kipiących całym młodzięcym jego żarem, będzie to zasługa inscenizacji Osterwy i oprawy scenicznej prof. Ruszczyca.

Podwójny, czy nawet potrójny wątek dzieła: baśń, tragedia i komedia został w miarę możliwości uwidoczniiony i roznuty na scenie w celowym, artystycznie trafnym powiązaniu, w czym jest niemała zasługa fantazji malarskiej Ruszczyca.

Historia dwu serc, bo tak właściwie jest w tym dramatycznym poemacie, serca Goplany, pełnego lirycznego sentymentu i serca Balladyny, pełnego drapieżnych instynktów, została należycie skontrapunktowana.

Goplana, niby szekspirowska Titania, zaślepiona miłością do głuptasa, stanowi wymowny kontrast do intelektualistycznego szafu Balladyny, z potwornym rozmysłem idącej od zbrodni do zbrodni.

Pod tym względem pod szekspirowsku obarczył 25-letni poeta sumienie Balladyny: siostra, mąż, Kostryn, Grabiec, matka zaiste fantastyczna to lista. I dopiero piurun, w którego blasku jawi się Goplana, szlachetna mścicielka, zamyka ten cykl zbrodni.

Przy takim założeniu wykonanie aktorskie Balladyny powinno kipieć żarem tłumionej namiętności. Tymczasem Eichlerówna dziwnie rozpieściła swą bohaterkę, pozwała jej mdleć co chwila, słynne zaś słowa: „A gdybym cię, siostrze, zabiła?” — wypowiada tak miękko, jakby Alinie pro-

ponowała do malin łyżkę śmietany z cukrem.

Interesująco wypadła natomiast postać Grabca, „dziedzica” Korony i protegowanego Goplany. Pefen żywiłowego temperamentu Jerzy Leszczyński owiał tę postać tchnieniem bujności prostaczki.

Rycerz fon Kirkor znalazł również odpowiednie wcielenie, może nieco za sztywne, ale wcale ciekawe. Oddzielna uwaga należy się postaci pustelnika, która, jak słusznie ktoś podkreślił, nie może być traktowana zupełnie na serio.

W tym pokątnym lekarzu, znachorze ciała i dusz, poeta dał szereg podpatrzeń karykaturalnych.

Postać matki odtworzyła Solska-Groszowa. Może nie wszystko w niej było trafne. Ale nie jest to wina samej aktorki. Skreślenie niektórych scen jest tego przyczyną, co zresztą mąci w ogóle linię sztuki. Ale cóż robić. Balladyna jest zbyt obszerna, by można ją całą na scenie pokazać.

Dickens w bogatym dorobku swej twórczości ma wartościową powieść „Mała Dorrit”. Znany dobrze z „Klubu Pickwicka” motyw tzw. marszałkowskiego więzienia dla niewypłacalnych dłużników, stał się tu właściwie osią główną wydarzeń.

Papa Dorrit jest nieomal weteranem takiego więzienia. Spędził w nim bowiem dwadzieścia lat życia.

Więzienie to zresztą osobliwe i nie tak znów uciążliwe. Dziwowno się kiedyś, nie tak zresztą dawno, stosunkom panującym w więzieniach rumuńskich, co też zapewne przez sąsiedztwo udzieliło się niektórym więzienie małopolskim. Więźniowie żyli tam jak w raj, mieli wychodne, nie mówiąc już o klasycznych urlopach zdrowotnych, ze strażą więzienną grali w karty, urządzali sobie wesołe birbantki.

Ten familijny tryb życia charakterystyczny był właśnie dla więzień angielskich, przeznaczonych dla dłużników. Oczywiście atmosfera takiego więzienia musi pociągać swoją osobliwością.

Autor przeróbki scenicznej „Małej Dorrit” Fr. Schöntan zostawił na boku całą filozofię dickensowską, natomiast zgrupował wszystkie rysy komediowe i starannie je zaakcentował.

Te małe wdzięki artystycznej inwencji Schöntana wydatniła należycie reżyseria p. Wiercińskiego. Szczególnie ciekawie i efektownie wypadły dwa pierwsze akty, rozgrywane się w więzieniu. Na jego tle należycie wypukliła się „maleńkość” i nieporadność, pełna naiwnego wdzięku, „małej Dorrit”, znakomicie zagranej przez E. Barszczewską. W drugiej części sztuki, kiedy już koło fortuny przechyliło się na stronę bohaterki za wiele natomiast jest banału.

Świetnie, ostro zarysowaną postać papy Dorrita, skłaniającą się jednak zbyt wyraźnie ku karykaturze, odtworzył p. Mażyński.

Role amanta, wyciętego z żurnalu, zarysował z przekonaniem p. Kreczmar.

Sztuka przez swój pogodny nastrój wzięć może i publiczność młodocianą. —

Z PIŚMIENICTWA

Za granicą.

Chłpiące listy wielkiego dramaturga angielskiego. E. V. Lucas drukuje ostatnio na łamach „Sunday Timesa” wyjątki z listów wielkiego współczesnego dramaturga angielskiego, Sir Jamesa Barrie, który

zmarł w roku zeszłym, a którego jedna ze sztuk (*The Admirable Crichton*) była wystawiona w Warszawie jesienią tegoż roku, niestety, w starym tekście, odbiegającym daleko od doskonałości i głębi ostatecznej, powojennej redakcji.

Listy te są niewątpliwie ciekawe, ponieważ ciekawym jest wszystko, co dotyczy niepospolitej osobowości oryginalnego autora. Pochodzą one z lat 1875-7, kiedy Barrie był młodym, piętnastoletnim chłopcem, uczniem Dumfries Academy. Ale mogą one rozczarować nieco zwolenników jego talentu, spodziewających się jakichś szczególnych wynurzeń, zapowiadających przyszłą twórczość. — E. V. Lucas przywodzi nam na pamięć powiedzenie poety Andrew Langa (jednego zresztą z najlepszych w świecie tłumaczy poezji), że każde małe dziecko jest geniuszem, poczem większość z nich z tego wyrasta. „Barrie mógł być geniuszem — stwierdza E. V. Lucas — jako siedmioletni chłopiec; wyrósł na innego geniusza — wraz z dojrzałością; ale w stadium pośrednim, jak to wykazują obecnie opublikowane listy, był po prostu normalnym, inteligentnym chłopcem”. Bo listy te ukazują nam młodego Barriego, przejętego lekcjami i wędkarstwem; zdobywającego piątki z algebry i laury na egzaminach; grającego w teatrze amatorskim, zapalonego widza na meczach cricketa, uczestnika dyskusyj publicznych i wygłaszającego komiczne monologi. Gdzie tu szukać melancholijnej zadumy przyszłego twórcy?

Ostatni lot Amelii Earhart. (Amelia Earhart: *Ostatni lot*, ułożył George Palmer Putnam, wyd. Harrap.). Jest to książka godna pięknej postaci amerykańskiej lotniczki. Większość tekstu została napisana przez nią własnoręcznie. Bo trzeba wiedzieć, że Amelia Earhart przed wyruszeniem na swój lot dookoła świata zobowiązała się napisać książkę, dochód z której miał pokryć częściowo wielkie koszty jej śmiałego przedsięwzięcia.

Amelia Earhart była osobistością nie tylko podziwianą za swe wyczyny lotnicze, ale i kochaną za swój stosunek do nich. Nie szukała ona reklamy, ale i nie stroniła specjalnie od dziennikarzy i ciekawości ludzkiej. Latanie było jej prawdziwą, rzetelną pasją i mało co więcej ją obchodziło poza bezpośrednio w nim osiągniętymi doznaniemiami. Była prosta, szczerą, naturalną, rzeczową i serdeczną.

Taka sama jest jej książka. Nie ma żadnych pretensyj literackich. Nie ma w niej żadnego wysiłku wystylizowania jej w tym, czy innym kierunku; nie ma nic prócz starania sumiennego oddania napotkanych trudności i niebezpieczeństw i jej własnej pracy.

Mimo to, a może właśnie dzięki temu, książka osiąga efekt, o który ubiega się wszelkie, świadomie tworzone, dzieło sztuki: — wzrusza do głębi i trzyma czytelnika cały czas w napięciu. „Nie jest to, jak powiada mąż lotniczki w swej przedmowie, kronika żalów, ale wznośszej i szcześniejszej przygody”. — Tak, że nawet śmierć zda się być nieprawdopodobnym jej zakończeniem.

O założycielu Australii. Wszyscy wiedzą, że Australia, ta najmłodsza część cywilizowanego świata, powstała początkowo jako kolonia poprawcza dla przestępców angielskich. (Podobno 92½% skazanych na zesłanie posiadało wyroki na lat siedem, kara zaś siedmioletniego zesłania przysługiwała za kradzież przedmiotów wartości około 20

złoty). Rola dowódcy i opiekuna pierwszej grupy zesłańców przypadła w udziale kapitanowi Arthurowi Phillipowi. Któż mógł przypuszczać, że przypadkowe nazna-

czenie tego niepozornego kapitana marynarki stanie się faktem brzemennym w ważne dla dziejów świata skutki? — Bo los, niestety, obdarzył Arthura Phillipa tak mało pociągającą wyobraźnię ludzką postacią, że nawet w Anglii imię jego nie jest dostatecznie znane, mimo iż należy mu się poczesne miejsce w rzędzie największych pionierów imperium brytyjskiego. Dopiero świeżo wydana książka (*Phillip of Australia*, Harrap.), w której dwie australijskie autorki kryją się pod pseudonimem M. Barnard Eldershaw, rzuca właściwie światło na postać istotnego założyciela Australii, pkt. Arthura Phillipa. Bo tylko jego niezmordowanej wytrwałości, żelaznej cierpliwości i prawdziwie ludzkiemu poczuciu sprawiedliwości, które potrafiły przeprowadzić Australię przez nader ciężkie początki, zawdzięcza ona, że stała się tym, czym jest. Arthur Phillip posiadał bowiem pełną świadomość, że stwarza nowy naród, a nie tylko odległe więzienie. Toteż najlepszą „miarą jego umysłowej i moralnej postawy jest fakt, że od 150 lat kolonia idzie przez niego wyznaczonym szlakiem”.

Coś dla filozofów i historyków mody.

A może takich u nas nie ma? Na pewno są, jeśli się nawet niezawsze do tego otwarcie przyznają. Dr C. Willett Cunnington wydał ostatnio książkę pt. *Angielskie ubiory kobiece w XIX w.* (*English women's Clothing in the nineteenth Century*, Faber & Faber). Ta prawdziwa encyklopedia wszelkich akcesoriów i szczegółów mody kobiecej na całej przestrzeni ubiegłego stu-

lenia jest zarazem zabawna i zajmująca, lecz może być również pożytecznym skarbem dla ilustratorów książek i reżyserów teatralnych czy filmowych. A to jeszcze



Balladyna — p. Eichlerówna.



Alina — p. Łubieńska.



„Balladyna” na scenie Teatru Narodowego: dekoracje F. Ruszczyca.

nie wszystko. Książka ta często nawiązuje do poprzedniej, która ukazała się dwa lata temu, pt. *Postawy kobiece w XIX wieku*, w której autor dowiódł, że w historii ubiorów kryje się wiele z historii jakiegoś kraju, i to nie tylko historii wewnętrznej obyczajów, ale i jego historii politycznej nawet. Przedstawił bowiem, jak zdarzenia polityczne, odbite w zmianach psychologii narodu, odzwierciedlają się następnie w zmianach mody, panującej w dziedzinie strojów i tzw. manier.

Zgon największego lingwisty Francji. Zmarły niedawno Ferdynand Brunot, bezspornie największy współczesny lingwista Francji, urodził się w r. 1860, w Saint-Dié (Vosges). Otrzymał tytuł doktorski w r. 1891 za doskonałą pracę o Malherbe'u, po czym został niezwłocznie powołany do wykładania na Sorbonie. W r. 1901 uniwersytet ten stworzył dlań katedrę historii języka francuskiego. W latach 1919—1928 Brunot był dziekanem wydziału humanistycznego (*Faculté des Lettres*) tegoż uniwersytetu. W r. 1925 został członkiem Akademii *des Inscriptions et Belles-Lettres*.

Ferdynand Brunot słusznie cieszył się sławą człowieka, który techną życie w gramatykę. Głównym jego dziełem jest *Historia języka francuskiego*, której, niestety, nie było mu danym dokończyć. Ołbrzymia ta historia, zapoczątkowana w r. 1905, liczy obecnie 16 tomów, a tom XVII, traktujący o w. XIX, jest przygotowany do druku według wskazówek autora. Obok *Historii języka francuskiego* godnie może stanąć *Mysł i język* (*La pensée et la langue*, 1922), gdzie „porzucając tradycyjną klasyfikację form gramatycznych, Brunot przedstawia fakty językowe według kategorii myśli”. Z pozostałych wymienić należy *Gramatykę historyczną języka francuskiego* (1886) i *Nauczanie języka francuskiego* (1909). Warto przypomnieć, że Akademia Francuska skomponowała swą gramatykę bez udziału Brunota. Jednak gdy skierował on przeciw niej szereg zarzutów, w następnym wydaniu zostały one w zupełności uwzględnione. Był on również założycielem *Office de la langue française*, pożytecznej instytucji, mającej na celu bronić wstępu do języka źle zbudowanym neologizmowi i połączyc modernizm z tradycją.

Ferdynand Brunot był człowiekiem wielkiego poczucia obowiązku (czego najlepszym dowodem, że w ostatnich latach, od czasu dymisji, kontynuował swe wykłady zupełnie bezinteresownie) — i wielkiej pracy. Oprócz pracy naukowej, pisarskiej, pedagogicznej, administracyjnej (na uniwersytecie) i społecznej — przez długie lata (zwłaszcza w ciężkim okresie wojny) był dzielnym *mair'em* XIV *arrondissement*.

Najmilszym sposobem spędzania wolnych chwil (na które w tak wypełnionym życiu nie wiele było miejsca) było dla Brunota rzeźbienie w drzewie. Można by powiedzieć, że siedł w tym względzie za przykładem Victora Hugo, którego był gorącym miłośnikiem. Ale Brunot twierdził, że poprzednikiem jego był poeta nieporównanie dawniejszy, Joachim du Bellay, wielbiciel pracy rąk, pierwszy poeta, który zrozumiał, że język rodzi się z ludu.

O ostatnich salonach literackich. Znany krytyk francuski, Ferdynand Vandérem, wydał ostatnio książkę, zatytułowaną *Gens de Qualité* (Płon). Są to wspomnienia autora, nie mające jednak w sobie nic z autobiografii. Vandérem maluje nam prze-

łom XIX i XX stulecia, ale więcej mu zależy (jak stwierdza Edmond Jaloux) na nakreśleniu portretów indywidualnych różnych swych przyjaciół, niż na odtworzeniu ogólnej atmosfery. Wśród tych najbardziej udani i najżywi są — na ogół niedoceniiani obecnie — Paul Hervieu, Alfred Capus, Mirbeau i René Boylesve. Spotykamy także i kobiety (jak Mme Aubernon), a w związku z nimi ostatnie bodaj francuskie salony literackie, kwitujące około 1900 roku. I tu Francis de Miomandre (w swej rubryce *Propos d'Enfant Terrible* na łamach *Nouvelles Littéraires*) ze złośliwym smutkiem zauważa, czemu nie można znaleźć złotego środka pomiędzy nudnym rygiorem i niepotrzebną stratą czasu owych dawnych „salonów”, a bezładem „obiadów” nowoczesnych, gdzie nikt nie umie słuchać, i najprzedniejszy mówca musi przekrzykiwać wiecznie trzepocący, pośpieszny gwar — i tak narażając się, że słowa jego będą wielokrotnie przerywane.

M. Buyno.

W Polsce.

Nagrodę młodych P. A. L. otrzymał w tym roku poeta, Stanisław Piętaś za pierwszy bodaj utwór prozaiczny: powieść pt. „Młodość Jasia Kunefała”. Książka napisana jest z niewątpliwym talentem, budzi jednak smutne refleksje... Autor, (urodzony w r. 1909 w ws. Wielowieś pow. tarnobrzeskiego), dał literaturze polskiej miniaturę „sagę rodu Kunefałów”. W przeciwnieństwie do teżyzny, bijącej ze stronice Reymontowego arcydzieła — wyczuwamy tu niepokojące objawy rozkładu rodziny chłopskiej, której najmłodszy (w czwartym już pokoleniu) przedstawiciel — maturzysta Jaś — włóczy skroś kurczących się mógów ojcowizny dekadencją „chandrę” inteligenta. Motyw siekiery i wódki, wyjąłowiony z domieszki innych składników ludowego „temperamentu” brzmi jak żałosne *memento*, jak mimowolne ostrzeżenie, czym się stać może potomek piastowskiego szczepu, zwolniony, dzięki „nowym prądom”, od nakazów religii i wielowiekowych tradycji. Skłaniający się ku podszeptom najniższych instynktów, leżący — dosłownie — w błocie ulicznym pijany dwudziestolatek z wyższym wykształceniem, to bolesny przykład zmarnowanej energii twórczej człowieka, którego kręgosłup moralny pozbawiony został podpory. Nawet jedyne czyste i piękne uczucie — żywiłowa miłość młodego Kunefała do matki — stać się musi źródłem cierpienia i goryczy tam, gdzie życie płynie bez dogmatu, bez celu, zdane na łaskę i niełaskę przypadku.

P. A. L. nagrodziła talent pisarski. Ale talent, nie wprężnięty w służbę jakiegokolwiek idei, może się stać dźwiękiem pustym, jako miedź brząkająca. Po „młodości” Jasia Kunefała oczekiwać należy dalszych etapów, które przemienią go — w człowieka.

Literackie wieczory dyskusyjne Zjednoczenia Polskich Pisarzy Katolickich, urządzane w domu im. Piusa XI w Warszawie cieszą się coraz większym powodzeniem. Odczyt prof. Oskara Haleckiego zgromadził literalnie tłumy i to publiczności dorodowej ze świata wyższej inteligencji.

Świetny prelegent obrał sobie za temat „Krzyżowców” Zofii Kossak i w odczycie, wygłoszonym po mistrzowsku, zanalizował głęboko i trafnie dzieło, któremu autorka zawdzięcza zaszczytne zestawienie z Hen-

rykiem Sienkiewiczem. Profesor Halecki, polemizując z tymi krytykami, którzy ostatnim pracom pisarki zarzucają nadmiar realistycznych aż do jaskrawości scen, udo-wniódł, że to historyczne „Krzyżowców” jest najzupełniej zgodne z najnowszymi poglądami na dzieje wypraw krzyżowych. Prelegent podniósł z uznaniem, że znakomita autorka wykazała ogromną intuicję, gdyż jeszcze przed ukazaniem się pomnikowego dzieła Grousseta o krucjatach, doszła do tych samych wniosków, co słynny historyk francuski.

W dyskusji po odczycie zabierali głos: ks. Kosibowicz T. J., redaktor „Przeglądu Powszechnego”, oraz docent Pajewski. Obecnej na sali autorce „Krzyżowców” publiczność zgotowała serdeczną owację.

Trzecia powieść o krucjatach. Ostatnia praca Zofii Kossak¹⁾ opisuje tragiczne dzieje krucjaty dziecięcej i wyprawy rycerstwa pod wodzą kardynała Pelagiusza, oraz króla jerozolimskiego, Jana de Brienne. Jednak piąta wyprawa krzyżowa nie jest właściwym tematem tej pięknej książki. Głównym, powiedziałabym nawet *jedynym*, bohaterem jest święty Biedaczyna z Asyżu. Autorka ukazuje go nam po raz pierwszy tak dyskretnie a prosto, jak musiała stapać gromadka braci mniejszych, wiedzionych pragnieniem, aby Ojciec św. raczył zatwierdzić regułę nowego zakonu, opartą na słowach Ewangelii. Postać brata Franciszka, snująca się brzegiem szerokich gościńców, raz po raz ginie nam z oczu w pyłe, wzniecanym przez zbrojne poczty wszelakich możnych tego świata. Ambicja, chciwość, pycha, sobkostwo — cała niedoskonałość natury ludzkiej — znajdzie swoich przedstawicieli w armii krzyżowców, którym przyswiewca przecież tak wzniosły cel: odzyskanie Grobu świętego! Może dlatego właśnie załamało się powodzenie wyprawy już nieomal u wrót zwycięstwa, że nie jeden chrześcijanin z imienia tylko — wniósł w zamęt walki serce nieoczyszczone z grzechów, nieraz śmiertelnych. Prywatnie, następne życie świeckiego magnata (Jana de Brienne) i zbyt świecka ambicja legata papieskiego w przysporzeniu Kościołowi dóbr doczesnych, ambicja, która wreszcie przysłańca cel główny i jedyny — odebranie Ziemi Świętej z rąk pogan — stają się przyczyną klęski ostatecznej w Egipcie. Ale wśród krzyżowców jest przysłyły Święty. To, czego nie mógł zdobyć i nie zdołał obronić miecz rycerski, zdobywa krok za krokiem ów ewangeliczny prostaczek w dziurawym habicie, owo lekceważone i często gęsto wyśmiewane żywe wcielenie Chrystusowych pouczeń.

Bez oręża, zbrojny jedynie w istic dziecięcą wiarę, dotrze ów niepozorny człowieczek aż do sułtana, by mu bezwiednie uacocznić, jaki jest *prawdziwy* chrześcijanin. Bez oręża — śladami Najświętszej Panny zawędruje z ziemi egipskiej aż po Gólgotę i tam — w mużułmańskiej Jerozolimie, pod bokiem sułtańskich pachołków — omiecie z brudu zaniebdany Grób Jezusowy. Bez oręża w dłoni, a tylko ze słowami modlitwy na ustach — obejmuje straż Ziemi Świętej — i bez oręża zacznie brać w niewolę coraz liczniejsze serca ludzkie. Spełni to właśnie, co papież Innocenty III ujrzał w proroczym śnie: Biedaczyna z Asyżu podtrzyma ramionami chwiejące się, splekane mury Lateranu²⁾...

1) „Bez oręża”, powieść w 2 tomach. Wyd. Św. Wojciecha w Poznaniu.

2) Papiaska Bazylika Laterańska jest tu symbolem całego Kościoła katolickiego.

Piękne jest nowe dzieło Zofii Kossak. Przejmujące w poszczególnych obrazach, jasne, mocne, proste w budowie. Od pierwszych kart zarysowuje przed nami autorka ręką pewną dwa równoległe tory. Jednym płynie spieniona ludzka fala: burzy się, rwie brzegi, tworzy liczne zatoki, rozlewiska i sama siebie niszczy, sięjąc w koło zniszczenie. Drugi — to małeńka, polna ścieżyna, tuż nad rwącym potokiem. Dźwięczy tam śpiew skowronków, czysty jak przebaczenie, wzruszający jak miłosierdzie Boże nad grzesznym, pokalany światem. Gdybyście podnieśli oczy w górę, dojrzelibyście idącą ową ścieżyną najpiękniejszy twór Boży: człowieka, który nie potrafił ani gniewać się, ani zazdrościć, ani złościć, ani nawet zawiłych spraw rozsądzać. Umiął jedynie kochać i dlatego — bez oręża! — utrzymał dziedzictwo Chrystusowe na ziemi.

Niektóre stronicie książki są tak piękne w swojej prostocie, że można je czytać ze skupieniem pobożnym, jak „Kwiatki św. Franciszka”. Na przykład scenę, gdy św. Franciszek stanął oko w oko z Papieżem, albo chwilę beztroskiego bujania się na desce wspólnie z bratem Jałowcem... Byli jako dzieci, więc trudno dostrzec blask poezji w beztroskiej, a niewinnej zabawie tym, co nie mieli serc równie żarliwych, a czystych.

Za tak artystycznie opracowane, pełne głęboko katolickiego ducha dzieło należy się autorce gorąca wdzięczność czytelników. Pozwolę sobie tylko zwrócić uwagę na drobne skażenia mowy, które mniej rażą w utworze słabszym, ale przy umiejętności pisarskiej Zofii Kossak miejsca mieć nie powinny. Przytoczę dla przykładu zdanie z tomu I, str. 296: „Blanka... nagli gniewnie cieśli, wymyśla kapitana...” Nawet królowa Szampanii może tylko wymyślać... kapitanowi, albo kapitanu *wymyślać*, w żadnym jednak wypadku nie mogła go *wymyślić*, skoro istniał już na galerze.

Niech Szanowna Autorka wybaczy tę uwagę. To nie przytyk, albo czepianie się drobiazgów. W zalewie żydowszczyzny trudno język literacki uchronić od szpetnych okaleczeń, zadawanych systematycznie mowie naszej. Tym bardziej pisarze rdzenni polscy powinni dbać o nieskazitelną polszczyznę.

Zgon Karola Huberta Rostworowskiego

okrył żałobą całą Polskę. Odczuło powszechnie, że odszedł nie tylko wielki poeta, ale i niezłomny bojownik prawdziwej wolności, mężnie stawiający czoło wszystkiemu, co Polskę pomniejszało. Wsparty o Stolicę Piotrową, jednolity i konsekwentny w twórczości jak i w życiu, był wzorem chrześcijanina i obywatela.

Wszechstronna działalność Rostworowskiego, jako pisarza i człowieka, omówimy obszernie w następnym numerze „Rodziny Polskiej”. Obecnie łączymy się z całym społeczeństwem polskim i katolickim w żalu nad świeżą mogiłą twórcy „Judasza”, „Kaliguli”, „Miłosierdzia” trylogii dramatów ludowych i niezapomnianego „Confiteor”.

Wanda Miłaszewska.

Jenerałowa JADWIGA ZAMOYSKA: O wychowaniu. Poznań 1937. Naczelny Instytut Akcji Katolickiej. Str. 488. Cena 6 zł.

Kto staje się właścicielem lub użytkownikiem ogrodu, czy też roli, nabywa książ-

ki, z których by mógł nauczyć się obchodzenia się z drzewami, kwiatami lub zbożem, i wczytuje się w nie z ciekawością i pilnością. Rodzice i wychowawcy mają w swych rękach i pod swą opieką istoty o całe niebo ważniejsze niż drzewa lub zboża. A jednak tylko wyjątkowo widzi się po domach podręcznik o wychowaniu dzieci i młodzieży. Do tak wielkiego zadania przystępuje się bez koniecznych wiadomości.

Tak myślała doświadczona wychowawczyni i założycielka szkoły domowej pracy w Zakopanem, kiedy opracowała książkę „O wychowaniu”. Dzieło to jenerałowej Zamoyskiej wyszło obecnie w nowej szacie już w piątym wydaniu. Wyszło też w języku włoskim, hiszpańskim, a we francuskim aż w dwu wydaniach, co już samo świadczy o wartości książki. Nie kto inny jak Prymas Polski, JEm. Ks. Kardynał Hlond w r. 1931 powiedział: „Szkoda, że postać pani jenerałowej Zamoyskiej tak mało jest znana, a jej nauki tak mało rozpowszechnione”.

Dzieło swe o wychowaniu opracowała Zamoyska na podstawie katechizmu, co uzasadnia w obszernym wstępie, dodając uwagi o potrzebie wyrobienia woli przed kształceniem rozumu. Ale że nikt nie może dawać tego, czego nie posiada, więc wychowawca musi być wzorem tego, czego uczy. Całą pracę autorka ujęła w sześciu częściach. W pierwszej mówi, że cel wychowania i cel stworzenia człowieka jest ten sam, tj. pozyskanie szczęścia przez służenie Bogu. Część druga podaje zasady wychowania na kanwie 12 artykułów wiary. Tutaj może kto zarzucić brak ścisłego związku różnych myśli i uwag, ale brylanty i perły są cenne, choć nie ułożone pedantycznie, a myśli te i uwagi, to najeńszcze brylanty. Część trzecia zawiera prawa rządzące wychowaniem, które nie mogą być inne, jak wola Stwórcy wyrażona w dekalogu. Ogrodnik czujnie baczy na ujemne wpływy przyrody i szkodników. Wychowawca *przeszkody* te upatruje w grzechach. Zatem część czwarta omawia wszelkie rodzaje grzechów. Aby zapalić do wytrwałości, autorka w piątej części wskazuje na pojętne *owoce* wychowania, na rumiane jabłuszka cnót i błogosławieństw przyrzeczonych cnotliwym. Ostatnia część uczy o *środkach* do uzyskania dobrych owoców, o rozmyślaniu, rachunku sumienia, czytaniu, o sakramentach, o modlitwie.

Cenna to książka dla rodziców i wychowawców, godna polecenia na podarek ślubny, dobra jako materiał do pogadanek na zebraniach. Szkoda tylko, że sumienniejszą korektą nie oczyszczono jej z niektó-

MAJĄTEK

Może ktoś na dogodnych warunkach odstąpi majątek, około 200 hektarów ziemi, na rzecz poważnego naukowego zakładu w Polsce.

Zgłoszenia prosimy kierować do redakcji Rodziny Polskiej.

rych rażących usterek i pomyłek. Szata jej zewnętrzna jest bardzo dobra.

„Szczęście nie do tych idzie, co go dla siebie szukają, ale do tych, co je drugim dawać mają”. „Najsukuteczniejszym środkiem do zwalczania złych skłonności jest rozwijanie dobrych”. „Krytyka powinna być jesiennym plonem; kto się do niej zabiera w wiosnę życia, zielonym żywi się owocem”. Oto próbka złotych myśli, bogato rozsianych w książce Zamoyskiej.

K. R.



Zimą

jakże często odczuwa się zmęczenie i zmniejszenie energii życiowej. Są to skutki braku życiodajnych promieni, jakimi darzy nas słońce latem. Norweski Tran Lecznicy zastępuje poniekąd promienie słoneczne, a dla swej bogatej zawartości witamin A i D stanowi źródło zdrowia dla dzieci i dorosłych.

**NORWESKI
T R A N
LECZNICZY**
słynny na całym świecie.



PODZIĘKOWANIE

Wszystkim łaskawym Czytelnikom „Rodziny Polskiej”, którzy złożyli ofiarę na budowę gmachu seminaryjnego Księży Pallotynów w Ottarzewie, wyrażamy gorące podziękowanie. Pamięć przeczonych Ofiarodawców uwiecznioną została w złotej księdze seminaryjnej. Szczerze wdzięczni jesteśmy za serdeczne słowa otuchy i uznania dla naszej pracy przy budowie, za zrozumienie wzniosłych celów powstającego domu i za gotowość do dalszej współpracy z tym dziełem. Niechże Bóg stokrotnie wynagrodzi tę życzliwość szlachetnych serc dla sprawy Bożej. Ze swej strony przyrzekamy ciągnąć pamięć we Mszy świętej o łaskawych Ofiarodawcach.

DYREKCJA DOMU STUDIÓW
KSIĘŻY PALLOTYNÓW
Ottarzew, p. Ożarów Warsz.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY

Gdzież jest człowiek, który by zdołał strzec się we wszystkim tak pilnie i przezornie, aby nie popadł niekiedy w obłęd lub w zawikłanie?

Lecz kto w Tobie, Panie, zaufał, a prostym sercem Cię szuka, ten nie tak łatwo upada.

A jeżeli przyjdzie na niego jakie utrapienie, jeżeli jakim bądź sposobem będzie uwikłany, prędzej go wyzwolisz i pocieszysz; albowiem Ty nie opuszczasz

tego, który aż do końca w Tobie pokłada nadzieję.

Rzadki jest przyjaciel tak wierny, aby przyjacielowi dotrwał we wszystkich uciskach jego.

Ty, Panie! Ty jeden tylko jesteś najwierniejszy we wszystkim i okrom Ciebie nie masz przyjaciela, który by Ci wyrównał.

Tomasz à Kempis

O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

ECHO „GWIAZDKI” DLA DZIECI KASZUBSKICH

Nie ma czynu tak małego, który by w danych warunkach nie mógł się stać dużym, jeśli mu towarzyszy w wykonaniu czy przystosowaniu do życia — rozum i serce.

„Drobne dary dla dzieci kaszubskich” — oto było hasło!

A więc: jeden kajet, jeden ołówek, jedna książeczka, jeden szalik czy czapeczka, jedne pończochy, jedna zabawka dawane i skrzętnie zbierane przez grupę dobrej myśli i szlachetnego serca członkiń „Oddziału Kobiet L. M. K. znalazły też pomoc i oddźwięk w znacznych darach naszych ministerstw, banków, naszych przemysłowców. Sypnęły się słodycze z Ziemiańskiej, czekoladki Wedla i Fuksa, kawa od Plutona. Dodatek do zamówień sukienek w firmie Matuszewskiego, mydła Schichta, Malinowskiego i Pulsa, 1.000 kajetów firmy Kadra-Kajet. Słowem żadne słowo nie przeszło bez echa, a w rezultacie: podziękki, wdzięczność i radość bezmierna. —

Oto — leży przede mną stos listów. Piszą: proboszcz miejscowy, panowie kierownicy szkół, piszą rodzice dzieci obdarowanych, piszą same dzieci. Podpisów mamy 426.

Miejscowości: Grabowo, Bożepole Królewskie, Połęczyn, Piotrowo, Kłobuszyn, Sumleś, Grabowo Pom.

Dziękują za hojne dary i mówią:

„Z dumą i wielką radością odczuwamy stronę moralną tych darów, które pozwalają nam twierdzić, że istnieją serca, które w tak ciężkich chwilach, jakie przeżywamy na rubieży kresów zachodnich, nie zapomniały o nas i czynem to dokumentują. Zobowiązujemy się utrzymać stałą łączność z L. M. K. i jej „Oddziałem Kobiet”. A w razie potrzeby oddać ostatni wysiłek dla naszej wielkiej Sprawy”.

Inny list: „Składamy gorące podziękowanie za wszystko, co nam Panie przysłały, ale i dla nas, i dla dzieci, aparat radiowy jest najcenniejszym darem, właśnie tu, na ziemi kaszubskiej, gdzie Niemcy mają rozliczne aparaty i słuchają wieści z Gdańska i Berlina. 108 dzieci zostało w naszej szkole obdarowane”.

Piszą one do nas:

„My dzieci szkolne bardzo cieszyliśmy się z uroczystości gwiazdkowej. Odegraliśmy „Jasełka polskie” i śpiewaliśmy kolędy. Ale, dopiero była prawdziwa radość,

kiedy przybył Mikołaj i zaczął rozdawać podarunki z Warszawy od Ligi Morskiej i Kolonialnej.

„Nad wszystko ucieszyło nas radio! Będziemy teraz słuchali, co nam fale przyniosą nadawane w Polsce. Później o tym napiszemy”.

Dalej podzięką z Kłobuszyna z podpisem 75 dzieci. Jeszcze z Grabowa i z Połęczyna, skąd nam donoszą o „przeżyciu wzniosłych uczuć i postanowień w dniu wigilijnym, uczynionych w szkole”.

Wielebny ks. proboszcz przesyła nam podziękę za ofiarność, zapewnia błogosławieństwo i modlitwy za pomyślność rozwoju naszej Ojczyzny.

Sz. Kierownik z Bożegopola melduje nam:

„Paczki otrzymałem. Dla mnie samego jest to wielka radość, że będę mógł rozdać, pomiędzy nasze polskie dzieci, takie piękne i bogate dary, tuż na pograniczu Wolnego Miasta, Gdańska. Że będą widzieli Niemcy bogaci, wrogo do wszystkiego, co nasze, usposobieni, że i o nas ktoś ze stolicy Polski — pamięta”.

A dalej już same dzieci, ładnie prowadzonym charakterem pisma i dobrą polszczyzną przysyłają nam listy:

„My, dzieci szkoły powszechnej w Bożempolu Królewskim, które L. M. K. obdarzyła tak pięknymi darami, składamy Oddziałowi Kobiet za to szczere i serdeczne podziękowanie.

„Takiej gwiazdki jeszcze nie mieliśmy, tylko patrzyliśmy, my, biedne dzieci polskie, jak organizacje niemieckie darzyły naszych rówieśników. Cieszyli się także i nasi ukochani rodzice, ponieważ zaoszczędzili sobie dużo kłopotu z nami, wiedząc, że zima nam nie dokuczy. Składamy więc podziękowanie i kochamy za to tych, którzy o nas biednych tu na zachodnich kresach Polski, wśród samych zamożnych Niemców — pamiętali”.

Z Piotrowa dzieci opowiadają nam, że „dostawialiśmy dawniej tylko słodycze, a teraz i ciepłe ubranka, tak, że nie będziemy marznąć ani opuszczać szkoły.

„Wyrzekaliśmy często, że o nas nikt się nie troszczy. Ale teraz to już temu nie uwierzemy, kiedy aż w Warszawie o nas pamiętają.

Chcielibyśmy też zobaczyć tę naszą kochaną stolicę, gdzie tacy dobrzy ludzie zamieszkują, a nade wszystko, gdzie pracuje Liga Morska, ale jesteśmy na to za ubo-

dzy. Więc tylko przesyłamy podziękowania" — i znów 50 podpisów.

Oto — co urosło z tych drobnych początków: jednego kajetu, jednego ołówka, jednej zabawki itd. —

Zbliżenie z setkami istot więcej niż osobiste, bo duchowe. Wzajemne rozgrzanie serc. Dotykany wpływ

tych małych posunięć na wielkim gościńcu, jakim kroczy „Liga Morska i Kolonialna”, i utrwalenie przekonania i wiary w siłę drobnej pomocy, zawsze skutecznej, byle czerpiącej natchnienie w umiłowaniu *Wielkiej Sprawy*.

L. Kotarbińska.

KURSY ZAWODOWE BIELIŹNIARSKIE DLA INSTRUKTOREK NA PROWINCJĘ PRZY CHRZ. ZW. RĘK. „DŹWIGNIA”

Umiejętność zawodowa, to zawsze najpewniejszy warunek do osiągnięcia pracy i stanowiska w niej samodzielnego.

Dlatego słusznie Chrz. Zw. Ręk. „Dźwignia” organizuje kursy zawodowe bieliźniarskie z obszernym programem, kładąc nacisk na to, że są one przeznaczone zwłaszcza dla instruktorek na prowincję. —

Kurs trwa 4 miesiące. Wykłady odbywają się wieczorem od godziny 8 do 10. Kierownictwo i wykłady obejmują zawodowcy. Przedmioty wykładane są następujące:

Rysunek ogólny, fachowy. Krój bielizny. Wykończenie bielizny, tj. haft, mereżki, cerowanie i łatanie. Pranie i prasowanie, składanie sklepowe. Towaroznawstwo. Kalkulacja. Kooperatywa. Podstawy prawa. —

Jako warunki przyjęcia, wymagane są: kilkoletnia praktyka z pokazem własnoręcznej roboty. Elementarne wykształcenie. Kwestionariusz własnoręcznie wypełniony. Opłata za 4 miesiące wniesiona w połowie

Każda KATOLICZKA niechaj kupując

NICI, JEDWAB

do szycia

BAWELNĘ I WELNĘ
do cerowania.

żąda wszędzie
TYLKO Z MARKA



„TRZY LILIE”

firma Polska
i Katolicka

przy wpisie, w połowie przy rozpoczęciu kursu. Opłata wynosi zł 15.

Każda uczennica, która dostanie świadectwo z ukończenia kursu, zapisana jest w biurze pośrednictwa pracy Związku, zameldowana w odnośnym dziale R. G. Op. oraz podane jest jej nazwisko w Związkach, mogących potrzebować jej pracy, jak np. Stowarzyszenie Ziemiaków, skąd może osiągnąć samodzielne stanowisko.

CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Każda z nas, zwłaszcza mieszkająca na wsi, a nawet na dalszych krańcach miast, powinna wiedzieć, że jest mała książeczka, w formie kalendarzyka kieszonkowego, wydana przez „Polski Czerwony Krzyż”, która nosi tytuł: „Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach”, a którą w każdym domu, sta-

rannym o swych domownikach, mieć należy.

Szybko podana pomoc, czy w wypadku omdlenia, czy skaleczenia, czy oparzenia, chroni często od ciężkich następstw, więc jeśli nie można natychmiast mieć pomocy lekarskiej, to krótkie rady i wskazania zawarte w tej książeczce mogą mieć nieobliczalną, a błogosławioną wartość.

Wiedzieć trzeba, że Związek uzdrowisk polskich złożył w minist. komunikacji memoriał w sprawie powiększenia dotychczasowych 33 proc. zniżek kolejowych w drodze powrotnej z uzdrowisk do 50 proc. Złożono także wniosek o przyznanie 50 proc. zniżek kolejowych w obie strony dla gości zagranicznych i dla lekarzy, udających się do uzdrowisk na różne jazdy.

Wiedzieć nie tylko trzeba, ale uczęszczać należy na piękne wieczory dyskusyjne, które organizuje Instytut Akcji Katolickiej, a głos zabierają pierwsi uczeni nasi. Odczyty odbywają się w sali odczytowej Domu Katolickiego, II piętro, ul. Nowogrodzka 49. —

Wiedzieć powinna każda Sz. Czytelniczka „Rodziny Polskiej”, że „Mały Apostoł”, piśmko dla dzieci naszych, powinno się znaleźć w każdym rodzinnym domu polskim. Prowadzony jest z taką miłością dla swych młodych czytelników, że dość spojrzeć na te setki odpowiedzi na listy, kierowane do Redakcji, aby zazdrościć „Staremu Ambrożemu” umiejętności zdobywania serc młodocianych. Staranny dobór treści, ładne ilustracje, kartka humoru — wszystko to składa się na całość, która może być pomocą w zdrowym zajęciu dziatwy drukowanymi słowem.

A że i „Królowa Apostołów”, w której śledzimy podróże misjonarzy po nieznanym krajach, i „Posiew”, pełen werwy życiowej, uczciwych wskazań, praktycznych rad, ciekawych wieści ze świata, także są naszymi wydawnictwami, więc każda z nas ma obowiązek propagowania tej prasy periodycznej, która zbiera zdrowe ziarna, aby wydawały w przystosowaniu do życia dobry plon.

JEDYNA PIELGRZYMKĄ NA KONGRES EUCHARYSTYCZNY W BUDAPESTCIE

Na Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny w Budapeszcie, który odbędzie się od 23 do 30 maja, uda się z Polski tylko jedna wielka pielgrzymka pod protektoratem JEm. Ks. Prymasa Hłonda. Techniczną organizację pielgrzymki przeprowadza ORBIS.

Pielgrzymka wyruszy z Polski z punktu zbornego na dworcu w Katowicach rano, dnia 24 maja i wieczorem przybędzie do Budapesztu.

Zapisy przyjmują Akcje Katolickie oraz upoważnione placówki ORBISU w 20 większych miastach Polski do dnia 10 marca.

Ceny uczestnictwa w pielgrzymce wynoszą od zł 128 — do zł 225 — za przejazd (od granicy do Budapesztu i z powrotem), 5 dni pobytu w Budapeszcie z całkowitym utrzymaniem, opieką przewodnika, zwiedzanie i udział w uroczystościach.

Według wybranej kategorii cen zmienia się rodzaj pomieszczenia w Budapeszcie od skromnych kwater zbiorowych do komfortowych hoteli.

Uczestniczenie we wspaniałych uroczystościach Kongresu Eucharystycznego w Budapeszcie będzie dla wierzących katolików niezapomnianym przeżyciem duchowym, to też Kongres ten wzbudza w Polsce bardzo duże zainteresowanie.

ZAZDROSTKA DO OKNA

Zazdrostki do okien są dzisiaj niezbędne nie tylko w mieszkaniach, których okna wychodzą na podwórze, ale i od ulicy, szczególnie w parterze.

Zazdrostka, której model podajemy, jest bardzo łatwa do wykonania. Jako materiał użyta markizeta, a cała ozdoba, to merezki, których szerokość i sposób wykonania pokazane na próbcie. Dół jako dopełnienie ma szereg groszków, wykonanych atłaskiem. Naokoło obręb dochodzi do merezki, po bokach węższy, a na dole szerszy.

E. K. Onichimowska.



P.K.O. — NAJWIĘKSZY OŚRODEK OSZCZĘDNOŚCI OLBRZYMIĘ KAPITAŁY Z SUM DROBNYCH CIUŁACZY

W dniu 22 stycznia br. w Centrali PKO odbyła się pod przewodnictwem prezesa Grubera konferencja prasowa. Charakteryzując działalność PKO w roku 1937, prezes dr Gruber podkreślił na wstępie doniosłą wagę faktu, że kapitały wkładowe wzrosły w roku sprawozdawczym o 144,5 miliona złotych i przekroczyły miliard złotych, osiągając 1.037,3 miliona złotych. Tak pokaźna suma wkładów stawia PKO na pierwszym miejscu wśród instytucji finansowych w Polsce. Analiza poszczególnych działań pracy PKO potwierdza też opinię, że instytucja ta spełnia pionierską rolę krzewienia idei oszczędności wśród najszerszych warstw społeczeństwa polskiego.

Tak więc w dziale oszczędnościowym czysty przyrost wkładów w roku 1937 osiągnął nienotowaną dotychczas sumę 120,9 miliona złotych. W związku z tym ogólny stan wkładów wzrósł w roku sprawozdawczym do sumy 781,8 miliona złotych. Również ilość

książeczek oszczędnościowych wzrosła o 636.439 do ogólnej liczby 2.919.747 książeczek.

Ten świetny rozwój PKO w zakresie gromadzenia oszczędności występuje jeszcze wyraźniej przy porównaniu wyników pracy, osiągniętych w tym dziale na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat. Oto bowiem liczba książeczek w tym okresie wzrosła szesnastokrotnie, a suma wkładów oszczędnościowych dwunastokrotnie. Osiągnięcie tak pięknych wyników w dziale oszczędnościowym zawdzięcza PKO nie tylko ożywieniu gospodarstwu, a więc i postępującemu za nim wzrostowi oszczędności, ale i własnym planowym wysiłkom. Tu znowu warto przytoczyć cyfry, które, przemawiając do przekonania, zilustrują zarazem najlepiej powyższy pogląd. Mianowicie jedna książeczka PKO przypada obecnie na 12 mieszkańców, podczas gdy jeszcze 10 lat temu jedna książeczka przypadała na 162 mieszkańców.

W innym dziale pracy PKO, a mianowicie w obrocie czekowym, globalna suma obrotów wzrosła w porównaniu z rokiem ubiegłym o przeszło 4,7 miliarda złotych, osiągając w roku sprawozdawczym również nienotowaną dotąd sumę 32,7 miliarda złotych. Dodajmy, że obroty na rachunkach czekowych wzrosły w ostatnim 10-leciu z 16 do 32,7 miliarda złotych, a więc o przeszło 100%. Ogólny obrót wyniósł 34,5 miliarda złotych.

Za objaw nader dodatni należy uważać fakt szerokiego zastosowania we wzajemnych rozrachunkach pieniężnych obrotu bezgotówkowego, na który z ogólnej kwoty obrotu czekowego 32,7 miliarda złotych przypadło 24,7 miliarda zł, czyli 76%, gdy na obrót gotówkowy przypadło 8 miliardów złotych.

Dynamika rozwojowa działu ubezpieczeń na życie wykazuje wzrost zarówno liczby polis, jak i sumy ubezpieczenia; liczba czynnych polis wzrosła o 10,958, a suma, na którą zostały zawarte ubezpieczenia, wzrosła o 16,5 miliona złotych, wynosząc 200,2 miliona złotych. Tak pokaźny wzrost ubezpieczeń w PKO wskazuje wyraźnie, że ten typ ubezpieczeń najlepiej odpowiada możliwości finansowej naszej ludności.

Dział dewizowy załatwił 4 840 wniosków, zatwierdzonych przez Komisję Dewizową oraz 2 221 wniosków we własnym zakresie. W dziale inkasa weksli, prowadzonym w Centrali i Oddziałach, przyjęto 652.478 weksli (o 227.333 więcej niż w roku 1936) na sumę 91 milionów złotych (wzrost w porównaniu z rokiem 1936 o 29,5 miliona złotych).

Bank Polska Kasa Opieki, posiadający cztery główne placówki zagraniczne (Paryż, Tel-Aviv, Buenos Aires i Wydział Przekazy przy Linii Gdynia—Ameryka oraz New York) i 28 ekspozytur i agencji, a rozciągający opiekę nad oszczędnościami i interesami finansowymi naszej emigracji, zgromadził na koniec 1937 roku 34 miliony złotych. Ogólny obrót Banku P. K. O. z jego placówkami zagranicznymi osiągnął około 900 milionów złotych.

Z powyższych cyfr wynika, że PKO jest dziś największą w Polsce instytucją oszczędnościową, największym ośrodkiem kapitałów.

Ale nie tylko w tym tkwi właściwa rola PKO w naszym życiu gospodarczym: kapitały te stanowią podstawę do udzielania kredytów. Kredytów tych udziela PKO na wielkie zamierzenia natury ogólnogospodarczej, stwarzając równocześnie tą drogą realną platformę rentownej pracy dla tysięcy średnich i drobnych przedsiębiorstw.

W konsekwencji, akcja kredytowa PKO stwarza najodpowiedniejsze warunki dla regeneracji rynku kredytu długoterminowego. Należy ponadto podkreślić, że kredyty pochodzące z PKO, a posiadające charakter kredytów długoterminowych, są tańsze niż z innych źródeł, a zatem bardziej przystosowane do zmienionej stopy rentowności. Zaletą akcji kredytowej PKO jest jeszcze i to, że wykazuje ona niesłabnący wzrost.

PKO nie ogranicza się do finansowania swym kredytem jednej dziedziny życia gospodarczego, lecz obejmuje różne jego gałęzie. Np. na inwestycje przeprowadzone przez miasta i gminy, w rodzaju budowy elektrowni, gazowni i innych zakładów użyteczności publicznej, podnoszących zdrowotność ludności i zaopatrujących warsztaty pracy w siłę napędową, PKO udzieliła około 250 milionów złotych. Na budownictwa wszelkiego rodzaju PKO udzieliła około 235 milionów złotych.

Na rolnictwo PKO udzieliła przeszło 200 milionów złotych, a na rozbudowę sieci komunikacyjnej 113 milionów złotych.

Ogólna suma kredytów udzielonych przez PKO w różnych formach wynosi na koniec 1937 roku 984 miliony złotych. Pogotowie kasowe utrzymywane było — podobnie jak w latach ubiegłych — na wysokim poziomie, wynosząc 222,8 miliona złotych (21,5% powierzonych instytucji kapitałów).

Reasumując wyniki działalności PKO w roku 1937, stwierdzić należy dalszy jej rozwój we wszystkich działach pracy dla dobra gospodarstwa narodowego Rzeczypospolitej.

WIELKANOC W RZYMIE

Pielgrzymka Ligi Katolickiej

13-23.IV.

Katowice — Wenecja — Rzym —
Asyż — Neapol — Castelgandolfo —
Florenceja — Siena — S. Gimignano —
Padwa — Katowice

Zł. 195.-

LIGA KATOLICKA, Katowice, ul. Piłsudskiego 58

FRANCOPOL

Warszawa, Mazowiecka 9
Bielsko, Wzgórze 19

Katowice, Dworcowa 18

Lwów, Pl. Halicki 7

Poznań, Św. Marcin 58



SUKNIA WIZYTOWA

Ta elegancka poobiednia suknia wykonana z czarnego aksamitu. Stanik z przodu marszczony zakończony u góry wąskimi wyłogami. Kamizelka biała z crepe satin, zapięta na guziczki, można ją też wykonać ze srebrzystej lamy.

Sukienka dla dziewczynki jest z cienkiej wełny w ukośne kratki. Karczerek krótki, a od karczarka dane kontrafałdy, zeszyte u góry. Biały kołnierzyk i ciemna kokardka dopełniają całości.

Podany fason kołnierzyka z żabotem jest uszyty z koronkowego materiału.

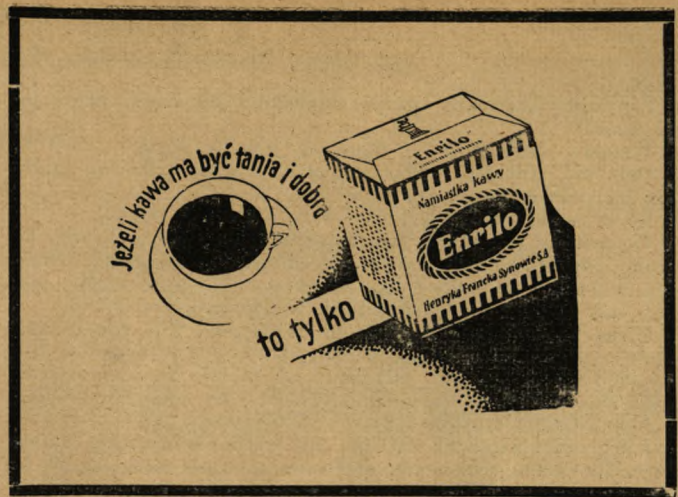
PLASZCZYK WIOSENNY

Plaszczyk wykonany z ciemnej wełny, wcięty w pasie, rozszerza się ku dołowi. Przód szeroko otwarty odsłania szalik i kamizelkę. Obszycie z lisa sięga aż do zapięcia. Po bokach dwa długie pasy z lisów fantazyjnie przyszyte tworzą kieszenie. Plaszcz powinien być krótszy od sukni.

Jednocześnie podana skromna bluzka, wykończona białym kołnierzykiem i mankietami.

Żabot z dwóch kolorów, powinien być dobrany do koloru sukni. Pasek wykonany ze złotych albo kolorowych sznurów.

E. K. Onichimowska.



Z GOSPODARSTWA DOMOWEGO

NIE TYLKO W PIĄTEK I ŚWIĄTEK, ALE CODZIENNIE — JADAJMY RYBY!

Zapytajmy pierwszej lepszej gospodyni: jak często daje rybę na obiad?

Wzruszy ramionami: — Rybę się jada w piątek.

Otóż to! Dlaczego tylko w piątek, a może tylko na wigilię lub na zimnym bufecie w barze?

Bo ryba jest mało pożywna, mówią, a przez to droga! —

Tu musimy gwałtownie zaprotestować: nie mało pożywna, ale mniej „sytna”, bo lżej strawna. Jeśli chodzi o składniki odżywcze, to karp, ryba najpospolitsza, zawiera 21.86 proc. białka, podczas gdy wołowina — tylko 20.56, a wieprzowina — 20.25.

Mięso karpia bogate jest w fosfor — 1.33 soli mineralnych, podczas gdy wołowina zawiera ich tylko 1.17, a wieprzowina 1.10. Za to mięso wołowe i wieprzowe obfituje w znacznie większą ilość tłuszczu, stąd jest trudniej strawne, leży dłużej w żołądku i daje wrazenie sytości.

Jakiż stąd wniosek? Że ryba jest idealnym środkiem odżywczym dla osób, pracujących umysłowo, których mózg łaknie fosforu, a siedzący tryb życia nie pozwala żołądkowi szybko trawić.

Z drugiej strony, przeciążanie żołądka miazgą roślinną paraliżuje fizyczną sprawność i energię. Stąd wniosek, że konsumentami ryb powinni być wszyscy sportowcy i dzieci.

Ryba odgrywa dużą rolę w diecie odtłuszczającej, zawierając minimum tłuszczu przy innych intensywnych składnikach odżywczych. O tych musi pamiętać kobieta, dbająca o linię i nie chcąc się roztyć. —

Chorzy? Dla tych zbawieniem jest szybka przemiana materii, a więc łatwe trawienie, przynoszące odnowienie organizmu.

Racjonalne odżywianie utrzymuje zdrowie i jest jednym z najskuteczniejszych środków leczniczych — mówi nowoczesna dietetyka.

Niechże o tym pamiętają przede wszystkim kobiety powołane w pierwszym rzędzie do zaznajomienia się z prawami tego wielkiego laboratorium naszego organizmu, jakim jest żołądek.

Podajemy niżej kilka mniej znanych przepisów na potrawy z ryb słodkowodnych, oraz na sosy ciepłe i zimne, w rodzaju majonezu, ale o wiele tańszy.

FLACZKI Z LINA LUB KARPIA

1 kg ryby, $\frac{1}{8}$ kg masła, 1 szklanka mleka, włoszczyzna: marchew, pietruszka, cebula, kawałek selera; pieprz, majerańek, imbir, kilka deka mąki do zaprawy.

Z oparzonej ryby zdejmujemy mięso, ości wygotowujemy w krótkim smaku. Na uduszoną na maśle cebulę rzucamy pokrajaną na drobnutki paseczki włoszczyznę, dusimy parę minut, a następnie wkładamy do smaku, gotujemy 10 — 15 minut, robimy zasmażkę, masło z mąką rozprowadzamy szklanką mleka, wlewamy do smaku, wrzucamy pokrajanego na wąskie pasy lina, obsmażonego krótko na maśle, dodajemy korzeni, soli do smaku.

Do flaczków można dodać pulpety: z ryby faszzerowanej i kaszki krakowskiej.

Pulpety z kaszki: do gotującej wody wkładamy kilka deka masła, trochę soli, pieprzu, majeranku, wsypujemy kaszkę. Po ugotowaniu formujemy kulki i dodajemy do flaczków.

BIGOS Z KARPIA

1 kg ryby, 1 kg główki kapusty, 1 cebula, 1 łyżka mąki, $\frac{1}{8}$ kg masła, 2 łyżki miazgi z pomidorów, 1 ząbek czosnku, pieprz, sól. Z oczyszczonego karpia obrać mięso. Z ości wygotować smak, posolić, na nim ugotować pokrajaną niezbyt drobno odparzoną kapustę. Mięso ryby pokrajać na małe kawałki, rzucić na masło, lekko obrumienić, włożyć do kapusty. Do pozostałego tłuszczu na patelni dodać masła, podduś pokrajaną cebulę, rozetrzeć z łyżką mąki, dodać miazgi z pomidorów i zaprawić kapustę.

Można do zaprawionej kapusty dodać ząbek utartego czosnku, popieprzyć do smaku.

BITECZKI Z DROBNICY

Kilo drobnicy — karpia, oczyścić i posiekać, dodać pieprzu, soli, cebulki siekanej, dwa jaja i mielonej bułeczki 10 deka, oraz kilka migdałów gorzkich — razem to wszystko wymieszać, porobić dużych rozmiarów kulki, które następnie należy włożyć do gotującej się rosoli z włoszczyzny i tak gotować na wolnym ogniu pół godziny. Po półgodzinnym gotowaniu wyłożyć na salaterkę, oblać (dużo) sosem i ostudzone podać do stołu. Potrawa ta wystarczy do kolacji na 5 dorosłych osób.

BIAŁY SOS BESZAMELOWY

(Przepis francuski).

Rozpuścić 20 gr masła z solą, dodać 40 gr mąki i wlewać po trochu $\frac{1}{2}$ szklanki wody i $\frac{1}{4}$ szklanki mleka, mieszając ciagle. Gotować przez kilka minut na wolnym ogniu. W chwili podawania zdjąć rondelki z ognia i dodać żółtko wymieszane najpierw z kilkoma łyżkami letniego sosu.

BIAŁY SOS „A LA MOUSSELINE”

Do przyrządzonego, jak powyżej sosu beszamelowanego, wlać w ostatniej chwili pianę z białka, uważając, by nie zaparzyć piany, gdyż wtedy mogłby się sos zważyć.

Sosy te podawać do gotowanych ryb i jarzyn takich, jak kalafior, szparagi:

SOS ZIELONY

Usiekać po garstce szpinaku, szczawiu, zielonej pietruszki, utrzeć bardzo starannie z kawałkiem wymoczonej w mleku bułeczki, dodać żółtko gotowane i surowe, dolewać po kropki oliwy. Doprawić cytryną, musztardą, solą, szczyptą cukru, ekstraktem pieprzu, wrzucić posiekane białko na twardo. Sos ten ma wielką wartość odżywczą. Podawać do zimnego mięsa, jaj na twardo i surówek, a przede wszystkim — ryb. Wład.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Pannie Ani. Dziękujemy za list i zaufanie, a na wstępie notujemy dla pamięci: Nigdy nikomu nie żałować dobrego słowa, jeśli czujemy, że na nie zasłużył. Każde życie, choćby najszcześliwsze, ma niezawodnie swoje troski i cierpienia, a taki — dobry wyraz nadesłany, choćby od zupełnie nieznannej osoby, to często bodziec do dalszej pracy w danym zakresie, skoro nań ktoś zwrócił dobrą uwagę, czasem ukojenie bólu, zażegnanie zwątpienia.

Więc nie żałować tego słowa. Dobrze Pani zrobiła, że liścik swój wysłała, a my o dalsze prosimy.

P. Anielce z Żurawiej. Marzec, to już wiosna, więc zupełnie słusznie snuje Pani plan ubrania swego balkonu i okien mieszkalnych. Te małe nasze ogródki tyle wnoszą radości w nasze życie, że warto na nie zwrócić uwagę i dać im trochę trudu. Piękną zielenią dają listki gobei, ale te trzeba gotowe wziąć z zakładów Ulrycha. Natomiast nasturcje i lobelie musi Pani mieć z ziarnka. Fłance tych roślinek mniej dobrze się aklimatyzują. Ziarnko się dobrze zasiedzi i wyda ładny plon. Fasola bujna ma zielenią, ale szybko żółknie i łatwo opanowują ją mszyca. A poza tym oczywiście pelargonie we wszystkich kolorach, najpiękniejsze do okien angielskie fuksje, które ślicznie kwitną całe lato do późnej jesieni, petonie, słowem wybór wielki. Na robotę: szczęść Boże!

P. Marii z Wiązowni. Dane statystyczne wykazały, że w roku ubiegłym około miliona pątników zwiedziło Jasną Górę. W tej

liczbie 320.000 osób przybywało koleją, 300.000 pieszo lub wozami. Około 400.000 liczyły zbiorowe wycieczki: szkolne, krajoznawcze itp. Oby wszystkie zasyłane modły przed tron Najświętszej Matki Bożej były wysłuchane!

Pani M. R. na Wspólnej. Bardzo blisko Pani, bo na Mokotowskiej 34, telefon 9.16.88, zakład racjonalnego pielęgnowania urody kobiecej prowadzi p. Józefa Czapska. Niech się Pani łaskawie powoła na nasze polecenie firmy, która tym większym staraniem otoczy Panią, co zresztą jest jej zwyczajem względem każdej klientki. —

P. M. K. w Ołtarzewie. W razie zatrucia zaczadzeniem, należy natychmiast otworzyć szeroko okna lub wynieść zatrutą osobę na powietrze, rozluźnić ubranie, a gdy to nie pomaga, to już stosować oddech sztuczny.

Jedwab do szucia

Gultermann

Fabryka w Warszawie: Firma chęchołajska



BAL BUTÓW

W małym miasteczku mieszkał stary szewc. Szył buty i buciki, ale częściej naprawiał i łątał stare zniszczone obuwie. Czego tam nie było. Za szklaną szybą na honorowym miejscu stały czerwone buty z podkówkami, które zamówił sam pan burmistrz, by godnie wystąpić na weselu swej córki, obok nich pantofelki srebrzyste panny burmistrzanki i czarne węgierskie buty z chwaścikami dla pana młodego, i cały szereg butów, i trzewiczków dla ostatnich person w miasteczku. Stały wszystkie równo, wyprostowane, błyszczące i nudziły się trochę. A w innej szafce leżały buty oddane do naprawy. Tam było wesoło! Leżała tam bracia pomieszana jak groch z kapustą. Był tam żółty but pana starosty i para wykrzywionych bucików Rojzy — handlarki i kerepcę stary, i atlasowy pantofelek panienci ze dworu, i chodak koślawy... i wiele, wiele innych.

Był to ostatni wtorek zapustny. Stary szewc siedział pochylony nad warsztatem, wykończając robotę. Z ulicy i sąsiednich domów dolatywały śmiechy, gwary i dźwięki muzyki. Wieczór się zbliżał. Stary szewc złożył robotę, zdjął z nosa okulary i rozejrzawszy się po sklepie, czy wszystko w porządku, zabierał się do



miło! Nie baczny zmęczenia i trudu nie syty — nie ustając w służbach Rzeczypospolitej.

Zaczerwieniły się czerwone buty ile tylko mogły jeszcze więcej i przestały oponować, tym bardziej, że lakierka zaczął nawoływać do zgody i tłumaczyć, że: kiedyś młody będzie starym, przyjdzie i nań czas tak luty, miło, gdy starość poważać jego — będą nowe buty. — A szkoda tracić czasu, lepiej ruszyć w tany. Raszple, pocięgle i młotki zagrały poloneza i cały tłum butów ruszył w tany. Potem nastąpił zwiewny walczyk, a po nim rozochocone buty zażądały mazura. Żółty but przytupnął dziarsko i stanął przed lakierowanym pantofelkiem zaśpiewał: Skąd znam tego lakierczka? — Z sąsiedniego podwórca — odpiewał mu lakierka. Skrzeszał ognia but żółty i zanuciwszy: — kiedyś moja sąsiadeczka, choźże ze mną do taneczka — ruszył z lakierkiem w pierwszą parę.

Po mazurze chwila odpoczynku i wtedy zauważyły buty, że stary chodak stoi wykrzywiony pode drzwiami i nie tańczy. Zaczęły się go przepytwać, a chodak im na to: Wszyscy tańczą pięknie w pary, ja samotny chodak stary, ale ja się tym nie smucę, sam tańcząc — polkę zanucę! — I jak zawiął się do tańca przyspiewując, przytupując, to aż o ścianę się obił i z głośnym kłapinięciem opadłszy na podłogę, tam odpoczywał syt chwały. Teraz z kolei puściły się buty w krakowiaka, potem oberka, kujawiaka, aż zmachane setnie, przystanął dla odpoczynku i oglądać się wzajem zaczęły. Oj! jak też wyglądały. Temu pękła przyszewka, owemu cała łąta odleciała. Czerwonym butom noski się pościęrały, a stary chodak to już i do chodaka nie był podobny. Zachodził stary szewc w głowę przyszedłszy na drugi dzień do warsztatu, co się przez noc z butami stało i nie mógł się domyślić. A wiecie skąd ja o tym słyszałam? Moje pantofelki poznały się u szewca z lakierkami, które tam wtedy były i te wszystkie im opowiedziały.

H. Rostafińska-Choynowska.

ZAGADKI

- 1) Co to za korki, co gąsienice zjadają?
- 2) Co to za rak, co w butelce się znajduje?
- 3) Co to za ług, co ziemię orze?
- 4) Co to za wety, którymi się usta obciera?
- 5) Co to za kot, który do ubrania służy?
- 6) Co to za ewa, co srebrzystymi skrzydłami nad morzem lata?
- 7) Jaki to róg, co u drzwi wejściowych leży?

Po dodaniu na początku sylaby lub litery otrzymamy właściwe słowo.

ROZWIĄZANIE WIRÓWKI Z Nr 1 1938 R.

Saba, amen, napad, dingo, opium, maki, inolie, epir, ratusz, Zeus. Sandomierz.

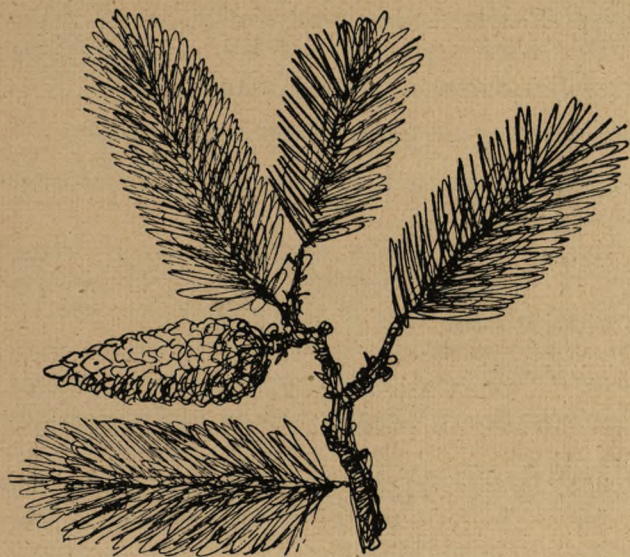
WESOLY KĄCIK

— Jasiu — pyta nauczyciel — co widzisz nad sobą w dzień pogodny?

— Słoneczne niebo.

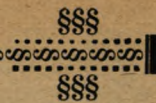
— Bardzo dobrze! A teraz w dzień deszczowy?

— Parasol! —



wyjścia, mrużąc z zadowoleniem: jutro robotę poddaję nową i naprawy — kapnie siaki taki grosz do kalety — i z tymi słowy wyszedł, zaryglowując starannie drzwi za sobą. W sklepie zapawała cisza. Przez małe okno wdzierał się wąskim pasmem promień księżyca i mieszał z czerwonym blaskiem lampki oliwnej, płonącej przed świętym obrazem. Wtem wyskoczył na środek mały lakierowany pantofelek, przytupnął świeżo podbitym obcasikiem i zawołał: Słyszeliście co szewc mówił. Skończy się nasz spokój błogi, pójdą buty nowe w służbę, stare wrócą w dawne progi... Nim nadejdzie czas rozstania, pracy ciężkiej przyjdzie pora, to zabawę pożegnającą urządzmy tego wieczora. Zawsze tańczyć tak musimy, jako buta w nas osoba. Zatańczymyż w ten wtorek tłusty, jak się nam samym podoba! Bracia buty, czy słyszycie? Nowy, stary niechaj hasa! Poloneza lub mazura, walczyka czy obertasa!

Spodobała się ta przemowa butom. Gwar się podniósł okrutny. — Dobrze, doskonale! Dalej w pląsy! Dalej w tany! — wykrzykiwały buty. Tylko czerwone buty pana burmistrza nie podzielały ogólnej ochoty i krzywiąc się wzgardliwie, rzekły: My czerwone buty, pana burmistrzowe, wprost z kopyta zdjęte, całusieńkie nowe, podkute świeżutko, błyszczące jak złoto, mamy tańczyć ze starą, łątaną chołotą? — Zapanowała przykra cisza. Buty przestały przytupywać i zatrzymały się w miejscu, wahające i nie pewne. Ale wdał się w to but pana starosty. Wyprostował się na całą swą długość, wygładził zmarszczki i fałdziki i przemówił: — Nadęte próżniaki, nieznające pracy, że was nikt nie nosił, dumnieście wy tacy?! Ze na żółtym bucie przyniszczona skóra, to on już niegodny ciąć z wami mazura? Jeszcze burmistrzowi o was się nie śniło, kiedy ja swe służby pełniłem, aż



Jadłospis dziecka w drugim roku.

Pierwsze śniadanie:

200 gr. mleka, bułeczka, sucharki, masło.

Drugie śniadanie:

surowe owoce lub soki owocowe, bułeczka lub sucharek.

Obiad:

zupa z jarzyn, lub krupnik 100 — 150 gramów, jarzyny (szpinak, kalafior, marchew, kartofle) w postaci papki z masłem, soki owocowe lub kompot.

Podwieczorek:

mleka 100 gr., lub to samo, co na drugie śniadanie.

Kolacja:

kaszka na mleku 200 gr., sucharki, mondamina, soki owocowe (kilka łyżeczek) lub jabłko skrobane.

Z tego jadłospisu matka może wybrać potrawy stosowne do pory roku i do apetytu dziecka.

Jadłospis dziecka w trzecim i czwartym roku.

Pierwsze śniadanie:

mleka 200 — 250 gr., bułeczka z masłem, marmeladą albo miodem.

Drugie śniadanie:

bułeczka z masłem, owoce.

Obiad:

zupa z jarzyn, krupnik lub rosół.

Delikatniejsze gatunki mięsa gotowanego, kartofle i inne jarzyny.

Podwieczorek:

mleka — 150 — 200 gr., bułeczka, owoce.

Kolacja:

jedno jajko, kaszka na wodzie z masłem, bułeczka z masłem, jarzyny, makaron.

U w a g a. Jadłospis podany jest dla orientacji do wyboru tych potraw, które dziecku więcej smakują.

Dlaczego dziecko należy często ważyć.

Niemowlę winno być wazone przynajmniej raz na tydzień. Waży się je po to, aby wiedzieć, czy mu należą przybywa na wadze.

Normalne niemowlę winno przybywać na wadze:

w I-szym kwartale około 180 gr. tygodn.; w II-im 150 gr. w III i IV 100 — 120 gr. tygodniowo.

Wyjątek stanowi noworodek, który w pierwszych 4-ch dniach ubywa na wadze 200 — 300 gr. Jest to ubytek normalny, który w ciągu następnym kilku dni zostaje wyrównany.

Przyrost wagi świadczy o odżywianiu dziecka.

Najlepszym miernikiem odżywiania dziecka jest jego waga.

Dlatego dzieci należy często ważyć; w I-szym półroczu — raz na tydzień, II-im — raz na dwa tygodnie, w 2-im roku — raz na miesiąc.

Niemowlę normalnie odżywiane powinno przybywać na wadze w I-szym półroczu przynajmniej 150 — 180 gr., w II-im półroczu — 70 — 120 gr. tygodniowo.

Jeżeli dziecko znacznie mniej lub wcale nie przybywa na wadze, to dowodzi, że odżywianie jego nie jest w porządku.

Wtedy należy nie zwlekając zwrócić się do lekarza.

Dr med. Z. Lamentowski.

Kącik dla dzieci.

MARZEC

„Na świętego Kazimierza
Wyjdzie skowronek spod perza” —
I choć zima chłodem dmucha,
Wiosny krzepi nas otucha;
Gdy ten ptak w lazurach dzwoni,
Wiosna zimę precz wygoni. H. R. Ch.

PAN MRÓZ

Ścisnął mróz świat cały w lodowe okowy,
Szczypie w nos, w policzki, nie wychylaj
[głowy!
Pomalował okna w różnobarwne kwiaty,
Przyozdobił dachy w rząd sopli bogaty,
Zduśił wokół uszy do życia ochotę,
Bo mróz nade wszystko miłuje martwość...
Usiadł nad jeziorem, szczęśny — nie nie
[słyszcy,
Nic mu nie przerywa ulubionej ciszy,
Lecz cóż to mignęło wśród okiści drzewa?
Cóż tam na jeziorze śmiechem rozbrzmie-
[wa?
Dzieci z saneczkami, z łyżwami, z nartami,
Mącą martwą ciszę głośnymi krzykami!

Nasrożył się imć mróz i wyciągnął ręce
— Zcierwieniły uszka i noski dziecięce,
Ale niech mróz szczypie! nie zmniejszaj
[ochoty! —

Szalik się poprawi matuli roboty,
I już znów wesóło krąży pośród śniegu,
Po jeziorze suną od brzegu do brzegu.
Słoneczko tymczasem z chmurki wyjrzało,
Zgniewanego mroza promykiem głaskało
Po głowie, po brodzie, po nosie gładziło,
Aż się mróz wykrzywił i kichnął aż miło.
A gdy kichnął — patrzcie: lód pęka w je-
[ziorze,

Leci okiść z drzewa, ptaszki nucą w borze.
Złapał się za głowę mróz pomarkotniały,
A promyczki słońca ciągle go głaskały,
Żalując, że tyle ma trosk i kłopotów,
Aż mróz niezadługo rozplakać się gotów.
Tak się sam rozżalił nad swą smętną dolą,
Tak go ptaszki świergot, śmiechy dziatwy
[bolą,
Tak się dał rozmiękczyć słońca pieszczo-
[tami,

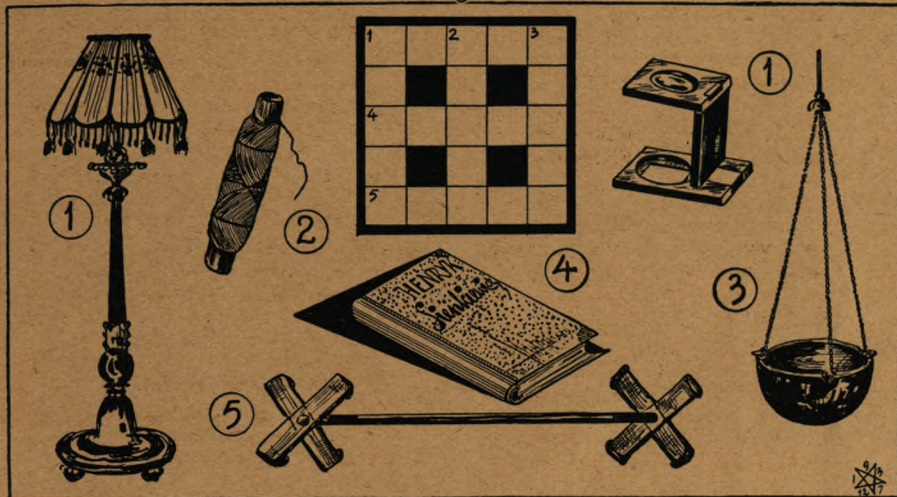
I popłynął razem z lodami do morza,
A władzę objęła pani wiosna hoża.
W zielonej sukience, słońcem jaśniejąca
I wszystko, co żyje, do siebie garnąca.
H. R. Ch.

GOSPOŚIA

Moje panny lalki
Siądźcie grzecznie rzędem,
Bo ja wam masetko
Świeże robić będę.
Nalałam w kierzonkę
Tłuściutkię śmietany
I zaraz w maśniczce
Rozpoczną się tany.
Co tłuczek raz na dół,
To śmietana w górę!
Coś chłapię zanadto —
I dostanę burę! —
Patrzcie już w masetko
Krupi się śmietana,
Oj będziez dziś syta —
Gromado kochana!
H. R. Ch.



KRZYŻÓWKA OBRAZKOWA



Do podanej wyżej figury krzyżówki należy wpisać pionowo i poziomo po trzy wyrazy, przedstawione w formie rysunków. „Wirenel” (Kl. Sz.).

MOJA PIOSENKA... SZARADA

Pamiętasz ten maj cudny... Wieczory zimowe —
 tę ławkę — naszą ławkę w zacisznej altanie,
 gdy chwytałyśmy chciwie wonie jaśminowe,
 gdy byłem przy trój-siódmej — ty przy mnie, kochanie...
 Tam w sadzie, przytulona do zielonej ściany
 stała cicha pięć-ósma... Ogródek, w nim kwiaty —
 z boku gaik maleńki, wiecznie rozspiewany,
 w chatce moja dwa-ósma i dziadek garbaty...
 Miałem złudzenie szczęścia... I maj mnie porwał —
 i słowik mi wciąż szeptał, że sześć-siódma-ósma
 mnie sześć-pięć... Nie!... Nie wierzę!... Coś w sercu ukrywasz...
 Jesteś czwór-pięta... Pójdiesz, gdy ja tylko usnę...
 Jak sześć-ósma się łasisz, szepczesz mi do ucha,
 obiecujesz, zapewniasz — lecz wiem, co trzy znaczy —
 wkradniesz się w moje serce, moich skarg wysłuchasz —
 uciekniesz i już ciebie więcej nie zobaczę...
 Sześć-siódma-trzecia, odejź!... Zostanę sam jeden...
 Wypędzę do stu diabłów wszelką myśl zalotną —
 do ręki wezmę kiję — spiorę starą biedę
 i utopię w rozrywkach męczącą samotność!...
 Już raz-druga... Śnieg pada... Czy wiecz, co ci powiem?...
 Dział rąk twych nie całuje — przed tobą nie klękam —
 dziś już kołków nie będziesz ciosać mi na głowie!...
 Wszak kobieta nie bóstwo!... Trzy moja piosenka...
 „Tońko” (Kl. Sz.).

WANDALE KULTURY SZARADA APOLITYCZNA

Przyszli z daleka, hen z dzikiego wschodu,
 choć zrab idej powstał wśród kultury.
 Spocząć nie dadzą trzy-raz-dwa*) z zachodu,
 niweczą miasta, burzą świątyni mury.
 Ledwo się tylko półdwa-jeden-półtrzy
 pierwszy ból serca po spalonym grodzie,
 już się złowroga objłia o uszy
 wieść, że zbir hula, podburza i szkodzi.
 Wyteżmy ucho, wzrok, na pulsie ręką!
 Dość mąk już mamy! Raz-czwarte gruchotać
 całym, lby ścinać, bo przez nich udręka
 zawiadnęła światem!... Gromami miotać!...

„Wadowid”.

KŁOPOT NIE LADA... SZARADA

Niejeden pierwszy w Bukareszcie
 widzi, że jego trzecia-czwarta
 będzie musiała wreszcie
 i z Rumunii być wyparta.
 Goga gdy ujął drugi silnie
 policja, zwykła i raz-trzecia
 rozkaz wykonuje pilnie,
 by nie było więcej śmiecia.
 Cała udziałem tych ludzi,
 na których nagle spada,
 ze snu słodkiego ich budzi
 i zamęt sprawia nie lada...
 T. Sobecki (Kl. Sz.).

DBAJCIE O SWOJE ZDROWIE!
 „SZWAJCARSKIE GORKKIE ZIOŁA” SA STOSOWANE PRZY KAMIENIACH ŻÓLCIOWYCH I SKŁONNOŚCIACH DO ZAPARCIA. „SZWAJCARSKIE GORKKIE ZIOŁA” SA NATURALNYM, ŁAGODNYM ŚRODKIEM PRZECIWSZCZAJĄCYM, UŁATWIAJĄCYM FUNKCJE ORGANÓW TRAWIENIA, STOSOWANYM RÓWNIEŻ PRZY NADMIERNEJ OTYŁOŚCI.

*) = drugim.

GRYPA
 DLA OCHRONY PRZED
ANGINA GRYPA
 i CHOROBIAMI Z PRZEZIĘBIENIA
PANACRIN
 BUKOWSKIEGO

SZARADA AKTUALNA

Po swym sercu zrób „wspakosiem”,
 bo wspakosystem serca trzeba!
 Zrób „wspakosmy” i w swym trzosie,
 by nie brakło i im chleba!
 Niebo sobie czynim sami!
 Po raz-piętej za kwiatkami
 ten dwa-dziewięć, jak te charty...
 Ow na szarad dziewięć-czwartej
 szosto-siódmo czas swój przedzi,
 o trzy-czwartej myśli przedzie.
 Takim raz-dwa... Więc przyznajem:
 życie w domu bywa rajem...
 Ale dla tych, co dom mają,
 i w nim głodu nie doznają. Dr J. Kadyi.

ZAGADKI WZROKOWE

I
 Czy to zgadnie który z was?
 Bo wszak sprytu na to trza:
 Przez dzień cały hucz bas,
 i na darmo wołasz „sza!”

- II
- Gdy ja się we sny pogrążę,
 mam tytuł, jaki ma książkę.
 - Gdy ty idziesz w tan,
 toś mocarny pan!
 - Gdy on na pole wychodzi,
 to istny cesarz chodzi. Dr J. Kadyi.

ZNANA KAŻDEMU... SZARADKA

Wszystkie trzy w alfabecie,
 wtór-dwa-trzy chętnie pijecie...
 Całość na „pierwsze” znacie
 i jej dobro zawierzacie.
 T. Sobecki (Kl. Sz.).
 Za rozwiązanie powyższych zadań (lub
 nawet jednego) przeznacza Redakcja do
 rozlosowania nagrody książkowej. Termin
 nadsyłania rozwiązań zadań trzytygodniowy.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NUMERU STYCZNIOWEGO

Szarada: **Wesoła nowina Bóg się rodzi.**
 Szarada: **Witam cię Nowy Roku!**
 Szarada: **Świąteczne oblicze wieczoru.**
 Rebus: **Witaj Zbawco!**
 (Wit — A — izba — w „C” — o).

Szarada: **Narodziny Syna Bożego.**
 Rebus: **Zimowe nastroje.**
 (Z „i” om wspak w „E” — na „stroje”).
 Eliminatka: **Doroczna uroczystość.**
 (Klucz: „Milek”).

Wyrazy: Dom, mroki, miecz, na, urok, leczy, lisie, litość).
 Nagrody książkowe wylosowane zostały dla WPP. Sydonii Łukasiukowej w Jaworowie i Kazimierzy Woyniłłowiczowej w Warszawie. W najbliższych dniach zostaną wysłane pocztą.

NA WIECZORY ZIMOWE

najmilszą rozrywką jest „ROZRYWKI” o bogatej treści najrozmaitszych ciekawych zadań. Numer 2 (62) lutowy już opuścił prasę. Prenumerata kwartalna tylko 2 zł. Adres: **Klub Szaradzystów, Warszawa, Żulińskiego 7, m. 10.** Telefon nr 7-06-99. Żądajcie bezpłatnych numerów okazowych! Tamże do nabycia „Tablica alfabetów chorągiewkowego, Morse’go i palcowego, po cenie 50 groszy. M. Śl.

HUMOR

P. 11 139

BUDOWA CZŁOWIEKA

Zadano klasie ćwiczenie: „Budowa człowieka”.

Jeden z uczniów pisze:

„Człowiek ma szkielet. Szkielet ma kręgosłup. Kręgosłup — to taki kij, na którego jednym końcu siedzi głowa, a na drugim my sami siedzimy”.

DOSŁOWNIE

Młoda żonka upiekła mężowi torcik. Mąż je, ale co chwila coś wypływa. Żonka pyta:

— Czy ci nie smakuje, kochanie?

— Owszem, kochanie, bardzo smakuje! Tylko że w torcie są skorupy od jaj!

— No to już nie moja wina. Przecie w książce kucharskiej wyraźnie napisane „Wziąć trzy całe jaja”.

TEMPO

Do adwokata, znanego z przeciągania w nieskończoność powierzonych mu spraw, zgłasza się klient.

— Jak pan sądzi, panie mecenasie — pyta po wyłuszczeniu sprawy — czy ja pregram ten proces?

— Pan nie — odpowiada adwokat — ale pańskie wnuki na pewno.

SKROMNA

Narzeczona (przed ślubem): — Kochany, jeśli chodzi o moje życzenia, mam tylko jedno...

— Mianowicie?

— Abyś nie odmawiał moim życzeniom!

SZCZĘŚLIWE MAŁŻEŃSTWO

Matka do córki: — Jakże się czujesz? Jakie jest wasze życie domowe?

— Nie mogę narzekać, chociaż jestem już pół roku po ślubie, kłóciliśmy się tylko jeden raz.

— A kiedy to było?

— W trzy dni po ślubie, od tego czasu nie mówimy ze sobą.

NA POCZCIE

Poste restante. Pawełek podchodzi do okienka.

— Czy jest dla mnie list?

— A pod jaką szyfrą?

— „Niecierpiący zwłoki”.

— Owszem, list leży już od siedmiu tygodni!

ZACHĘTA

Vis a vis cmentarza otwarto niedawno bar, którego właściciel wywiesił na drzwiach napis:

„Tutaj lepiej, niż naprzeciwko!”

JEDYNEJ

Młody człowiek wchodzi do sklepu i pyta sprzedającego:

— Czy ma pan karty pocztowe z napisem: „Dla mojej jedynej”?

— Owszem!

— To proszę o dwa tuziny.

W MAŁYM MIASTECZKU

Pikutów. Pan Rycynowicz, aptekarz, biada na podłe czasy i zastój w interesie.

— Jak to, czy ludzie w Pikutowie nie chorują? — pyta przejezdny.

— Naturalnie że chorują. Ale pogniewałem się z miasteczkowym lekarzem i ten drań ordynuje wszystkim chorym jarzynki, mleko i świeże powietrze.

EGZAMIN SZOFERSKI

Śliczna pani Hela postanowiła nauczyć się prowadzenia samochodu. Pilnie uczęszczała na specjalne kursy. Po przesłuchaniu kursów i po ćwiczeniach praktycznych stanęła do egzaminów. Znajomi zapytują:

— No i cóż? Zdała pani egzamin szoferski?

Teoretyczny zdałam dobrze. A co do praktycznego, to jeszcze nie mam odpowiedzi.

— Dlaczego?

— Bo mój egzaminator jeszcze od czasu egzaminu nie wyszedł ze szpitala.

HIPOKRYTKA

— Moja żona dała dziś dowód nadzwyczajnej hipokryzji...

— Czym?

— Nazwała mnie przy gościach „panem domu”.

KOMPLEMENT

— Pani mi przypomina kwiat...

— Jaki?

Zasuszony.

BŁĘDNE KOŁO

— Kupiłem plac, ale nie mam za co budować!

— To sprzedaj plac, a będziesz miał gotówkę!

MEDYCYNĄ

Pan Stanisław dostał ataku ślepej kiški. Wezwany lekarz stwierdził konieczność natychmiastowej operacji. Pan Stanisław nie chce się jednak zgodzić.

— Wolę umrzeć, niż poddać się operacji!

— Ależ drogi panie — uspokaja go lekarz — przecież jedno z drugim można doskonale pogodzić!...

DYKTATURA

— Od czego pochodzi wyraz „dyktatura”?

— Od tego, że jeden dyktuje, a wszyscy muszą krzyczeć „urra”!

TRAFNA ODPOWIEDZ

Podczas egzaminu na wydziale prawnym uniwersytetu pada pytanie:

— Powiedźcie mi, towarzyszu, kogo według prawa sowieckiego nie wolno areztować?

— Tego, kto siedzi w więzieniu.

TRUDNO WYBRAĆ

Spotykają się dwie studentki.

— Słuchaj, Marysiu — mówi jedna do drugiej — nie wiem, co począć. Czy słuchać medycyny i zostać doktorem, czy też wysłuchać medyka i zostać doktorową?...

WYGRANY ZAKŁAD

Fredek spotyka przyjaciela.

— Cóżś taki wyelegantowany

— Wygrałem zakład o 1000 złotych.

— O coś się założył?

Założyłem się z pewnym frajerem, że przez osiem dni nie będę jadł i przez osiem nocy nie zmruję oka.

— No i co?

— No, i wygrałem.

— W jaki sposób?

— Spałem w dzień i jadłem w nocy...

DOKŁADNY

Żółtko spadł z trzeciego piętra do piwnicy.

— Czy się pan bardzo potłukł, spadając?

— Spadając to nie. Ale jak już uderzyłem o ziemię, to tak!

NIECH ŚPI

— Wyrzuć tego gościa, który już tak długo siedzi i śpi za stołem!

— O nie! Ile razy go budzę, płaci rachunek!

ORIENTACJA

Kasia pierwszy raz sprzątała u państwa Z. Pani wytłumaczyła jej jak się obchodzić z odkurzaczem i wychodzi do miasta. Po powrocie widzi brak w klatce kanarka.

— Kasiu — pyta — gdzie jest kanarek?

— Otworzyłam trochę drzwiczki i uciekł gdzieś.

— No jak to, nie wiesz dokąd? To szukaj.

— Szukałam wszędzie i nie ma. Ach prawda, w odkurzaczku jeszcze nie patrzyłam.

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — zł 700, 1/2 — zł 380, 1/4 — zł 200, 1/8 — zł 120, 1/16 — zł 70, 1/32 — zł 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZA GRANICĄ WYNOŚI:

ROCZNIE:

Polska	6 zł.	Czechosłowacja	35 kor. cz.
Niemcy	4 Rmk.	Ameryka	2 dolary
Francja	23 frank.	Inne kraje	6 fr. szw.

PÓLROCZNA prenumerata w Polsce — 3 zł; KWARTALNA — 1.50 zł. CENA POJEDYŃCZEGO numeru — 50 gr.

Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. 14.664, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (Rachunek Wydawnictw).

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa 1, Krakowskie Przedmieście 71 — Telefon 2-40-15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i piątki od godz. 15 — 17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna — Warszawa, Krak. Przedmieście 71.

ale. 103/56v.